

Robota w Irlandii nie czeka

JEDYNA POLSKA FABRYKA
MILIONERÓW

s. 58.



• KAZDY Z NAS
MOŻE BYĆ BESTIA

s. 66.

PRZE KROJ

Nr 21 / 3074 • 23 maja 2004 • cena 4 zł

/w tym 7% VAT/

**CZY SZEFSZEF
„SUPER EXPRESSU”
JEST HIENA?
- ROZMOWA
NAJSZTUBA
Z MARIUSZEM
ZIOMECKIM**
s. 28.



Juwenalia

made in

USA

/bez policji/

s. 6.

ISSN 0033-2488

2 1



9 770033 248045

Indeks 371424

Już od 1 maja w UPS masz wybór, którym kraje Unii cieszą się od lat

PEŁNA SYNCHRONIZACJA WYSYŁEK

na Czwartek **RACZKOWSKI**

Na nadejście tego dnia trzeba się było dobrze przygotować. My również ciężko pracowaliśmy. W 1996 r. UPS stworzył system dostarczania przesyłek dostosowany specjalnie do potrzeb Unii Europejskiej. Teraz Ty też masz dostęp do naszej bogatej oferty usług. Możesz wybrać usługę pilną, gdy przesyłka ma być doręczona następnego dnia rano, lub standardową, gdy wystarczy, by dotarła w ciągu paru dni. Dostarczamy zarówno małe paczki, jak i duże ładunki. Możesz śledzić drogę przesyłki za pomocą internetu i co najważniejsze: cały czas pracować z jedną firmą. Witamy! Korzystaj z nowych możliwości.

Chcesz tak pracować?
Zadzwoń do nas: (022) 650 45 45
lub wejdź na naszą stronę.

www.ups.com



W ciągu kilku dni

Na jutro

Na jutro przed południem

Na jutro rano



Wymyślił i narysował MAREK RACZKOWSKI

w tym tygodniu **NIE PISZEMY:**

...o posłach Bogdanie Peku (LPR) i Mariuszu Łapińskim (FKP), którzy przed debatą nad exposé premiera Belki zniechęceni zasugerowali, że współpracowali on ze służbami specjalnymi PRL, i wywołali tą akcją sporo zamieszania w Sejmie i mediach. Bo jeśli coś nas tu oburza, to przede wszystkim nasze naiwne przekonanie, że już nie damy się zaskoczyć tym panom. Pozostaje więc nam podziwiać mistrzów prowokacji.

...o nadzwyczaj błyskotliwych komentarzach, jakimi popisywali się politycy opozycyjnych partii (Giertych: „Brzmiało żałosnie”, Lepper: „Tak cynicznego wystąpienia dawno nie słuchałem”), krytykując sejmowe exposé premiera Belki. Bo choć cieszy nas, że potrafią się czasem wykazać inteligencją,

wciąż mamy nadzieję, że nie usłyszymy ich własnych exposé.

...o tym, że byłby członek Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji Adam Halber wycofał pozew przeciwko Janowi Rokicie o naruszenie tajemnicy korespondencji przez podanie do publicznej wiadomości treści SMS-a, jaki Halber wysłał do byłego prezesa TVP Roberta Kwiatkowskiego („...Chwała nam i naszym kolegom. Ch... precz!”). Bo nie warto pisać o człowieku, który nawet przegrywając, pozostaje złośliwy – przecież wycofując się, pozabawił szefa PO „satisfakcji procesowej”, jak przyznał sam Rokita.

...o kolejnych kłopotach byłego prezydenta Warszawy Pawła Piskorskiego, który uważa, że zarzuty dotyczące nabycia

przezeń trzech mieszkań pod wynajem są całkowicie nieuzasadnione. Kandydata Platformy Obywatelskiej do Parlamentu Europejskiego szczególnie złości to, że sugeruje mu się, jakoby robił nieuczciwie etyczne interesy, a nie ma przeciwko niemu konkretnych zarzutów dotyczących łamania prawa. Bo ile razy można tłumaczyć politykom ze szczytów władzy, że nie wystarczy nie łamać prawa, by być uczciwym?

...o tym, że do europarlamentu wybiera się z listy Unii Polityki Realnej Janusz Korwin-Mikke. Bo nic w tym nadzwyczajnego – wielu naszym politykom spodobała się Wałęsowska zasada równoczesnego bycia za, a nawet przeciw. Pod warunkiem że się opłaca.

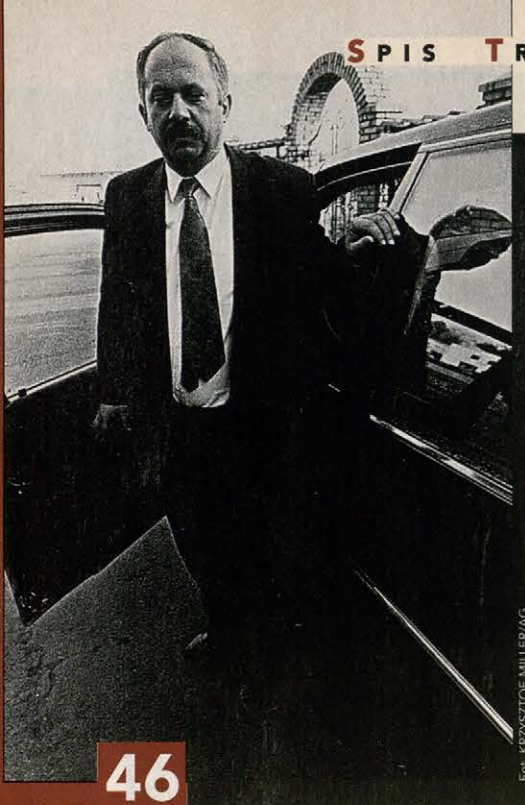
CYTAT tygodnia

Poza jednym kolegą, który przebywa w szpitalu, i to pod opieką urzędnów, od których nie da się go odłączyć, byliśmy wszyscy.

KRZYSZTOF JANIK
o frekwencji posłów SLD podczas głosowania wotum zaufania dla Marka Belki



Fot. MACIEJ MACIEJŃSKI/REPORTER



że coraz więcej będzie się ukazywać książek gejowskich i lesbijskich. Ważniejsze, czy będą to książki dobre, czy złe

LUDZIE!!!

46 KRÓL FLAKÓW

Senator Henryk Stokłosa rządzi sprawiedliwie: posłuszni mają pracę i kielbasę, nieposłuszni – kłopoty

50 Z ZIEMI POLSKIEJ
DO WŁOSKIEJ

Kariera Kasi Smutniak to nasz największy eksportowy sukces w Italii

52 ZAKŁADNICZKA CESARSKIEJ
ALKOWY

Czy japońska księżniczka Masako podzieli los księżnej Diany?

56 ŚWIECĄ LUB SPADAJĄ

HISTORIE FIRM

I MAREK

58 JEDYNA FABRYKA MILIONERÓW

To nie giełda. To Totalizator Sportowy

NAUKA

64 ŻEBYŚ WIEDZIAŁ

66 JAK ZOSTAĆ BESTIĄ?

Amerikanie, którzy torturowali jeńców w Iraku, to ludzie tacy jak my. O tym, że każdy może okazać się katem, psychologowie wiedzą od dawna

70 CHIP CIĘ WIDZI

Handlowcy mają nowy pomysł na sięgnięcie do naszych portfeli

72 INSPEKTOR GADŻET

SPORT

74 PIĘKNY UMYSŁ

Dwie w jednej: modelka i szachowa arcymistrzyni

PATRZĄC I CZYTAJĄC

76 SANATORIUM

POD PRIESSNITZEM
Jak śląski analfabeta uczył nas dbać o zdrowie

84 LISTY

85 TYDZIEŃ – KULTURALNIE
POLECAMY86 WYDARZENIE – Kraftwerk
w Polsce88 FILM – „Moja matka woli
kobiety”, niestety

Fot. SYGMA-CORBIS/FREE



Reportaż BOGDAN KRZEL

76

Nasze wodne
życie

90 MUZYKA – Múm: folk
po islandzku92 KSIĄŻKI – Piotra Kofty
pochwala nieudacznika

94 TELEWIZJA – 4funTv

ROZMAITOŚCI

96 Kulinarne PIÓRO Polski;
Winny BIEŃCZYK;
krzyżówka, jolka

98 Zalewajka KAZIMIERZA KUTZA

Inspektor
Gadżet

72



>> Uwodzicielka

>> Krawcowa

>> Wamp

>> Królowa obuwia

>> Twoje życie jest pasjonujące. A Twój
samochód? smart forfour.

Nowy smart forfour pomieści przynajmniej cztery osoby oraz każdą z Twoich osobowości. Stąd ten niepowtarzalny, ekskluzywny design. Wnętrze jest równie zaskakujące. Jeżeli zajdzie taka potrzeba możesz je zmienić w miękką, wygodną kabinę relaksacyjną. A kiedy już wypoczniesz, możesz sobie pojeździć. Zawsze bezpiecznie. Bezpieczny szkielet kabiny pasażerskiej tridion, cztery poduszki powietrzne, cztery hamulce tarczowe z abs oraz inteligentny system stabilizujący tor jazdy esp® – to tylko niektóre elementy standardowego wyposażenia, które zapewnią Ci niczym niezakłóconą możliwość rozkoszowania się wyłącznie jazdą i towarzystwem pasażerów. Zapytaj dealerów smarta. Prezentowany model: silnik benzynowy 1,3 l o mocy 95 KM ze skrzynią biegów softouch plus; zużycie paliwa na 100 km podczas jazdy po mieście: 7,4 l, poza miastem: 4,8 l, średnio: 5,8 l.

46

Henryk Stokłosa,
pilski król



Okładka:
Spring Break
Fot. NATHANIEL
WELCH/REDUX/EAST
NEWS
Fot. ROBERT LASKA.COM

6 POWIĘKSZENIA

Słynna Spring Break
K-1 Pruszków

18 PRZEKROJ TYGODNIA

– wiadomości krajowe
i zagraniczne

24 PYTAMY

Marka Edelmana, czy nie
pora wycofać się z Iraku

25 ODESZLI

26 KOMENTARZE

27 RACZEJ RACZKOWSKI

NAJSZTUB PYTA

28 POLOWANIE NA HIENY

Odsądzanie mnie od czci
i wiary to hipokryzja – broni
się atakowany za publikację
zdjęcia zwłok Waldemara
Milewicza szef „Super
Expressu” Mariusz Ziomecki

DOKUMENTY

32 WYKASTROWANA TOŻSAMOŚĆ

Modna naukowa teoria
okazała się błędna. Niektórzy
za ten błąd zapłacili życiem

36 JAK SZUKAŁEM ROBOTY

W IRLANDII
...czyli nasz człowiek na
rynku pracy w Dublinie

40 SYN GMINY

Joannę najpierw zgwałcił
bandyta, potem skrzywdziło
ją prawo

OPINIA

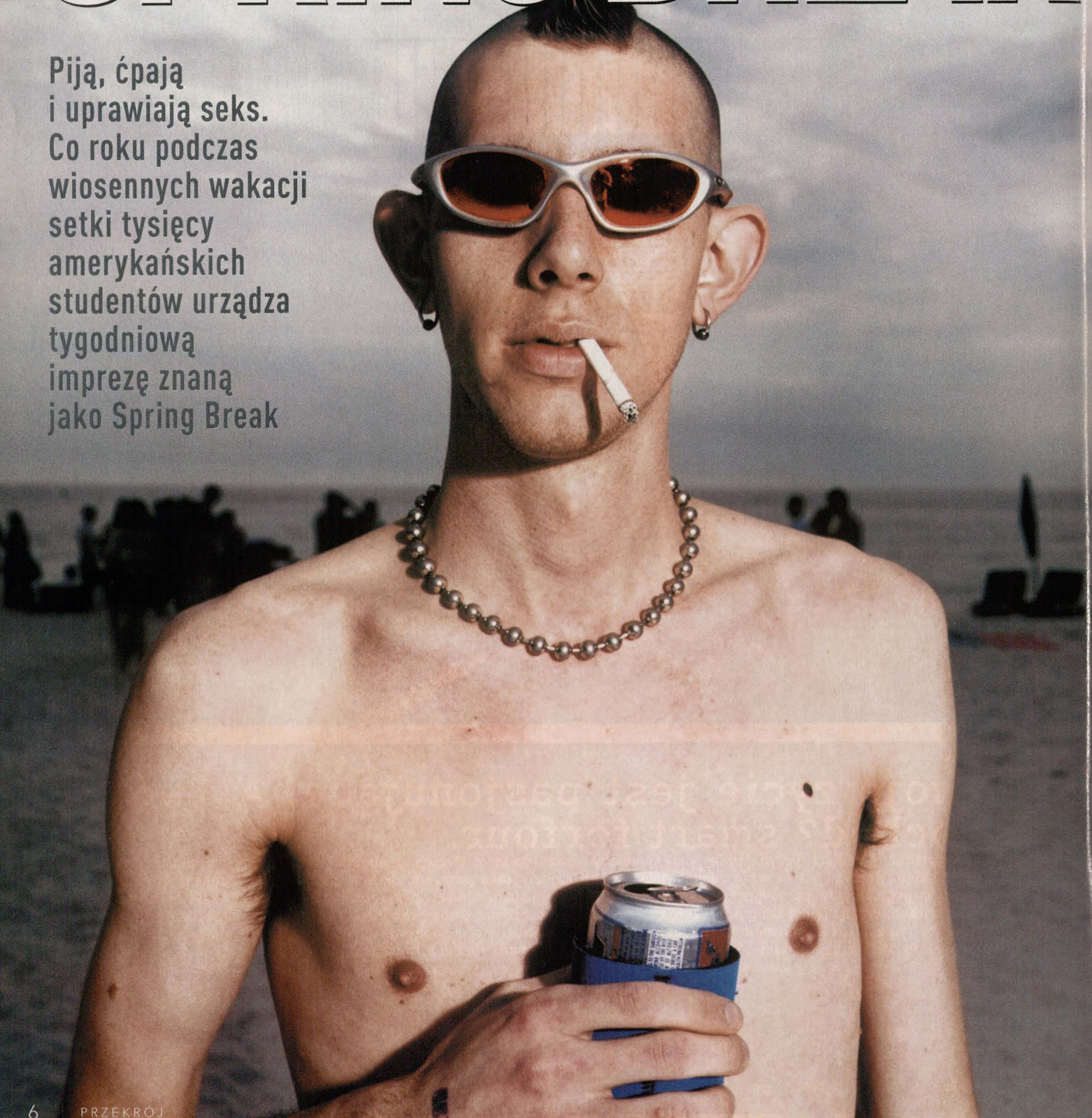
44 GEJÓW KSIĘGI WYJŚCIA

Nic w tym ekscytującego,



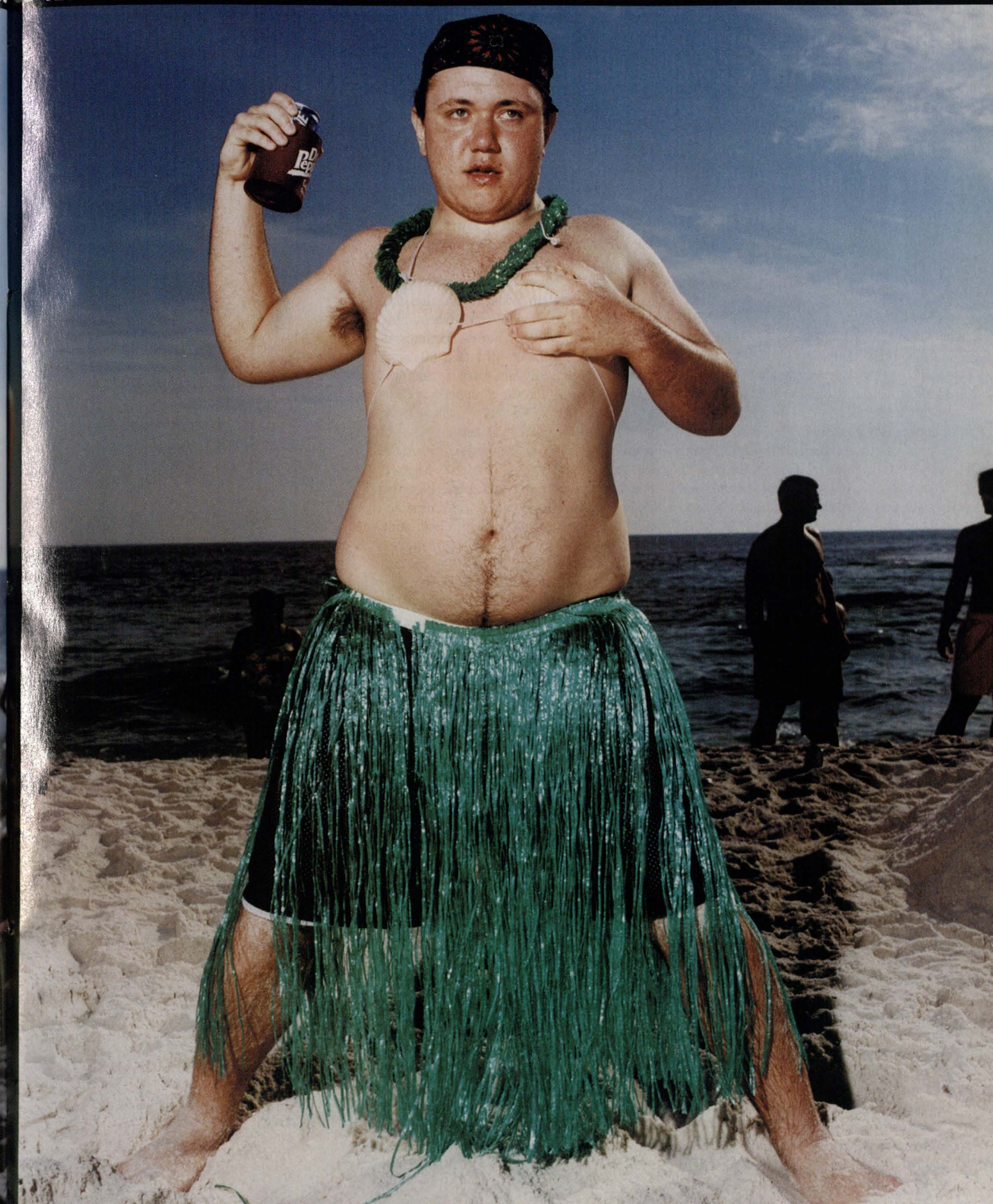
SŁYNNNA SPRING BREAK

Piją, ćpają
i uprawiają seks.
Co roku podczas
wiosennych wakacji
setki tysięcy
amerykańskich
studentów urządza
tygodniową
imprezę znaną
jako Spring Break





Policja ostrzega
przed gwałtami,
których ofiarami
pada odurzona
narkotykami
młodzież.
Co trzeci uczestnik
wiosennych
zjazdów przyznaje,
że nakłaniał kogoś
do współżycia



Wtym roku pryszczyć rumu sponsorował koncert Bacardi. Rum lał się strumieniami i każdy pił, ile tylko zdołał przełknąć. Obok setki dziewcząt w bikini

ni tańczyły w pianie. Tak wyglądają wiosenne wakacje amerykańskich studentów. Świętowanie Spring Break, czyli przerwy wiosennej, to dla młodzieży akademickiej w USA rodzaj tradycji.

„50 godzin darmowego picia” – tak reklamuje wiosenne wakacje w Meksyku jedno ze studenckich biur podróży. Według amerykańskiego prawa większość studentów to nieletni. Alkohol wolno sprzedawać tylko osobom powyżej 21. roku życia.

Za 600–1200 dolarów można ominąć drażniące prawa federalne i stanowe. W meksykańskich kurortach Cancun czy Mazatlan za tę sumę dostaje się nocleg i tygodniowy karnet wstępu do klubów z darmowym alkoholem. W cenie są też oferty „all you can drink”, czyli „pijesz, ile możesz”.

Większość młodych turystów nie zadaje sobie trudu, by zwiedzać egzotyczne okolice. Bary i kluby to jedyne miejsca, które odwiedzają. Zwłaszcza że ani barmani, ani policja – inaczej niż w Stanach – nie pytają o datę urodzenia. Wytrzymały imprezowicz poza alkoholem znajdzie dla siebie wiele innych atrakcji. – Poza picciem pełno tam imprez, na których wszyscy ćpają i uprawiają seks – mówi dziennikowi „USA Today” Sean Keener, prezes jednego z biur organizujących studenckie wyjazdy. W jego ofercie są haszyszowe coffee shopy w Amsterdamie i alkoholowe wypadki do Ameryki Środkowej.

„Pół miliona ludzi biorących udział w zbiorowej stymulacji seksualnej” – można przeczytać na jednej z internetowych stron poświęconych Spring Break. W Sieci roi się od rankingów najlepszych miejsc na wiosenną przerwę. Bywalcy wymieniają się informacjami o tym, gdzie można spokojnie palić marihuanę i gdzie topless na plaży jest tolerowany. Albo że Panama City na zachodnim wybrzeżu Florydy to miejsce, gdzie jest „80 tysięcy stóp parkietu tanecznego pod gołym niebem”.

Mieszkańcy miejscowości, w których organizowane są zjazdy Spring Break, mają powody do paniki. Muszą przeżyć najazd

setek, nawet tysięcy młodych ludzi spragnionych niczym nieskrępowanej zabawy. Ze statystyk wynika, że ponad połowa uczestników wiosennych wakacji pije na umór. Podobny procent uprawia seks bez zabezpieczeń z zupełnie nieznanymi sobie osobami i zażywa narkotyki.

Fort Lauderdale na Florydzie był niegdyś głównym miejscem wiosennych zjazdów. W latach 60. nakręcono tam nawet film „Where the Boys Are”, który portretował zjawisko Spring Break. W latach 80. władze miasta pozamykały bary i zakazały dziewczętom paradowania po plaży w bikini. Mieszkańcy mieli dosyć hałasu oraz zwałów śmieci, jakie zostawiali po sobie studenci. Strażnikom moralności nie udało się jednak wykorzenieć tradycji. Miejsce Fort Lauderdale zajęły inne plaże Florydy. Daytona czy Panama City to dziś młodzieżowe kurorty z hotelami, barami i klubami przyciągającymi co roku tłumy studentów.

Gdyby nie tradycja Spring Break, nie byłoby konkursów mokrego podkoszulka. Zabawę, która jest dziś znana na każdej plaży świata, wymyślono w Fort Lauderdale na Florydzie, zanim mieszkańcy przepędzili stamtąd rozbawionych studentów.

Legenda, jaką korporacje studenckie dorabiają do wiosennej popijawy na plaży, wywodzi tradycję od antycznych bachanaliów. Dopiero w pierwszej połowie XX stulecia, gdy na uczelnie wpuszczono kobiety, nudne studenckie pikniki nabrały rumieńców. Seks – oprócz alkoholu i narkotyków – to główny magnes przyciągający uczestników Spring Break. Popularność miejsca mierzy się nie tylko dostępnością używek, lecz także liczbą kostiumów bikini na metrze kwadratowym.

Oczywiście jest też druga strona medalu. Policja co roku ostrzega przed gwałtami, których ofiarą pada młodzież odurzona środkami uspokajającymi.

Są też tacy, którzy zamiast pić na umór, uprawiają w czasie Spring Break sporty, a nawet jeżdżą do Ameryki Środkowej budować domy dla biednych Latynosów. To jednak tylko ekstrawagancja. Prawdziwa Spring Break sprowadza się do hasła, którym reklamuje się wyjazdy do Meksyku: „Nie znamy umiaru, bądź zatem gotów sprawdzić granice swojej wytrzymałości”.

JAKUB MIELNIK

Spring Break to w USA cała instytucja. Biura podróży specjalizują się w organizowaniu wyjazdów do miejsc, w których można obejść surowe amerykańskie przepisy dotyczące sprzedaży alkoholu młodzieży poniżej 21. roku życia



powiększenie

ZWYCIĘZCA GRAND PRIX JAPONII W K-1 OTRZYMUJE 400 TYSIĘC DOLARÓW. ZWYCIĘZCA TURNIEJU W PRUSZKOWIE ZAINKASOWAŁ STO RAZY MNIEJ



Polak Mariusz Ligizyński, najlżejszy w turnieju (87 kilogramów), wytrzymał około 70 sekund w starciu z Andriejem „Buchem” Zuravkowem. Trafiony w nos wyładował na macie



TEKST MICHAŁ WÓJCIK
ZDJĘCIA KUBA DĄBROWSKI

K-1 PRUSZKÓW

Po raz pierwszy międzynarodowy turniej formuły K-1 odbył się w Pruszkowie. Polacy nie mieli żadnych szans. Już nie jesteśmy ludźmi z żelaza



Podczas jednego
turnieju
– ze względu
na bezpieczeństwo
zawodników
– żaden z nich
nie może stoczyć
więcej niż 15 rund.
W praktyce oznacza
to do 30 minut
ostrej walki



Zawodników
zza wschodniej granicy
dopingowała
kilkuosobowa grupa
przyjaciół (jeden z nich
na zdjęciu po lewej).
Polaków okłaskiwało
kilkaset osób. Doping
nie przydał się na wiele.
Wojciech Jastrzębski
wytrzymał trzy rundy,
ale skończył walkę
kontuzjowany
(na zdjęciu jego noga
z wielkim workiem lodu)

NAZWA K 1 WZIELA SIĘ OD POŁĄCZONYCH STYLÓW: KARATE, KUNG FU I KICK BOXINGU. JEDYNKA OZNACZA, ŻE WSZYSTYCY ZAWODNICY WALCZA W JEDNEJ KATEGORII WAGOWEJ I

Formuła walki K-1 jest prosta. Zabronione jest drapanie, przyduszenie i gryzienie. Nie wolno walić z byka (czyli bić głową), bić betonowcem (czyli łokciem) i w pachwinę. Nie wypada kopać leżącego i grzmocić w tył głowy. Cała reszta uchodzi. Najlepiej sprawdzają się ciosy pięściami i „lowkicki”, czyli piorunujące kopnięcia w uda i łydki. Ból ścina z nóg nawet największego zawodnika. Respekt wzbudzają również „nakładki” – uderzenia wyprostowaną nogą w kolana. Celnym ciosem można wyłamać staw. Największy jednak podziw budzi ten, kto podskoczy i trafiając kolanem w nos przeciwnika, rozstrzygnie walkę przed czasem.

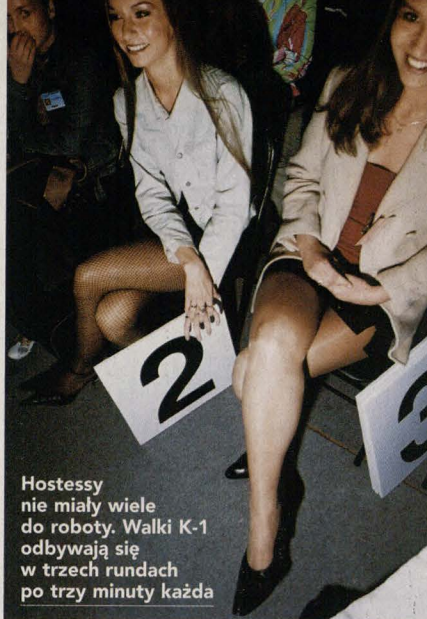
Podczas pierwszego w Polsce międzynarodowego turnieju według formuły K-1 były nokauty, lała się krew, omdlałe ciała osuwały się na ziemię. Ale w głównej roli wystąpiły gwoździe, którymi sponsor przybił swoje logo do maty. Podczas walk, gdy cały ring chodził w tę i z powrotem, gwoździe wysuwały się z desek i domagały się od zawodników jeszcze jednej sprawności. Nieuwzględnionej w kontraktach. Sprawności fakira.

ŻUCHWA JAK IMADŁO

K-1 jest niezwykle popularne w Japonii i krajach Dalekiego Wschodu. Na zawody przychodzi po kilkadziesiąt tysięcy osób. Główna nagroda w Grand Prix Japonii to 400 tysięcy dolarów. Od lat na ringach K-1 panuje niepodzielnie czarnoskóry Holender Ernesto „Mr. Perfect” Hoost o wytrzymałości cozołgu.

O ile walki z jego udziałem są przewidywalne, o tyle pełne niespodzianek są pojedynki słynnego, ważącego 170 kilogramów Boba Sappa. Ten był zawodnik futbolu amerykańskiego ma ponad dwa metry wzrostu, jego ciało to jeden wielki mięsień, a pięść przypomina żelazko. Do historii K-1 weszła jego walka z zylastym Remym Bonjaskym.

Zaczęła się jak zwykle. Przypominający parowóz Sapp ruszył z animuszem na przeciwnika. Młoty jego pięści jeły sieć powietrze jak okrętowa śruba wodę. W pewnym momencie jednak Remy wykonał zgrabny unik, cofnął się i z rozpędu skoczył kolanami na stalową szczękę giganta. Uderzenie było zabójcze. Żuchwa Sappa opadła, oczy zmąciła mgła, a na oblicze spłynął błogi uśmiech. Przez kilka minut Sapp błędził myślami w krainie dzieciństwa. Ponieważ jednak to on jest magnesem wielkich pieniędzy, zmieniono reguły gry i przedłużono przerwę do 30 minut. Ocucony i wprowadzony w stan furii olbrzym, łamiąc regulamin, zmiotł przeciwnika, jak oczekiwali tego właściciele stacji telewizyjnych transmitujący walkę na cały świat.



Hostessy nie miały wiele do roboty. Walki K-1 odbywają się w trzech rundach po trzy minuty każda



Sędzia w przerwach między liczeniem nokautowanych zawodników musiał przybijać wystające z maty gwoździe

Fot. MIKOŁAJ KRAWCZAK/SDW

Na zawody do hali Znicz przyjechał Rosjanin Ustinow, którego wytrzymałość porównywana jest do krzepy zawodników z pierwszych miejsc na światowych ringach.

WSTĘPNE PIESZCZOTY

Finał turnieju w Pruszkowie był zatem formalnością. Z gwoździami w półmetrowych stopach Aleksander „Ustin” Ustinow (prawie 130 kilogramów żywej wagi) rozbił w puch gardę Andrieja „Bucha” Zuravkova i sięgnął po zwycięstwo. Również półfinały zawodów nie miały dramaturgii walk zza oceanu.

Aplauz kilkuset widzów wzbudziły ćwierćfinałowe walki z udziałem Polaków. Do pierwszego starcia stanął Mariusz Ligizyński z Jeleniej Góry, student psychologii, z zawodu windykatorka długów, a przy okazji zdobywca Pucharu Europy i Pucharu Świata w shido-karate. Naprzeciwko niego stanął przyszły finalista Zuravkow.

Po pierwszych 30 sekundach Ligizyński kulil się w narożniku, po kolejnych 20 był liczony, zaś początek drugiej minuty pokazał, że Polacy sporo jeszcze mają do nadrobienia. Błyskawiczna seria kopnięć i prostych nadwątlila obronę i wtedy nadleciał sierp o sile pneumatycznego młota. Polak jak dąb trafiony gromem padł na deski. – Nie spodziewałem się, że on ma kondycję tura – zwierzył się „Przekroju” po walce, tamując obfite krwawienie.

Ozdobą turnieju okazała się walka Denisa „Grigo” Grigoriewa z Ukrainy z prawie dwumetrowym Wojciechem „Jastrzębiem” Ja-

strębskim. Ku zaskoczeniu gości z zagranicy Polak postanowił stanąć okoniem i walczył jak równy z równym.

Bój tradycyjnie już zaczął się od wyciągania gwoździ ze stóp. Potem związani w uściskach mocarze próbowali sprawdzać wytrzymałość łuków brwiowych w starciu z kolanami. Po wstępnych pieszczotach Polak przeszedł do ofensywy. Koszącym ciosem legendarnej prawej odepchnął gardę „Grigo” Grigoriewa i zasunął mu lewy prosty w sam środek drwiącego uśmiechu. To było to. Publiczność poderwała się z miejsc. – „Jastrząb”! „Jastrząb”! – ryknęły trybuny. – Dawaj, Grisza! – odpowiedział sektor gości.

SIŁA BULDOŻERA

Już minutę później Polak był w opałach. Ukraińiec zawisł nad linami jak Trinity z „Matryksa” i z całej siły kopnął Polaka w bok głowy. Tylko niebywałej kondycji zawodnik z Lublina zawdzięczał, że ustał na nogach. Potem Ukraińiec dobrał się do jego nieosłoniętych żeber. 22-letniego Polaka uratował gong.

Nikt nie zna poleceń, jakie w czasie przerwy doszły do obitej małżowiny „Jastrzębia”. Ale początek drugiej rundy należał do niego. Jak buldożer wgrzający się w asfalt Polak rozpoczął kanonadę trafiań. Gdy zadźwięczał gong, Polak wciąż pełen werwy wyprowadził jeszcze jeden potężny sierp w szczękę Ukraińca. Po krótkim pojedynku na spojrzenia, które zabijają, zawodnicy rozeszli się do narożników. Wydawało się, że jest remis.

W ogłuszającym huku braw lśniące od potu monstra wyszły do trzeciego starcia. I wtedy „Jastrząb” przypomniał sobie podstawówkę. No bo jak wytłumaczyć atak, który do złudzenia przypominał szarżę husarii pod Wiedniem. Ukraińiec dwoił się i troił, ale grad uderzeń masakrował mu oblicze. Wreszcie trafiony stracił panowanie nad kolanami. Ugięły się jak przęśła i Ukraińiec zaczął już wypatrywać z bliska gwoździ w macie. Niestety. Tym się różnią profesjonaliści od amatorów, że lubią silny ból. Grisza szybko doszedł do siebie i kopniakiem z obrotu nie tylko zdruzgotał Polakowi więzadła, ale przede wszystkim odebrał wolę walki.

SĘDZIA Z MŁOTKIEM

Turniej w Pruszkowie był sporym sukcesem organizacyjnym. Przyjechali zawodnicy z dorobkiem, kibice krzyczeli ile sił w płucach, zobaczyliśmy ludzi z żelaza. Jedynie mankamenty to widok sędziego, który młotkiem przybijał gwoździe do maty, i gaże, jakie otrzymali zawodnicy. Zwycięzca dostał cztery tysiące dolarów i zapewne przebalował za to resztę nocy. Nasi tymczasem korzystać musieli z usług rodzimej służby zdrowia i raczej nie wystąpią już w podobnych zawodach.

MICHAŁ WÓJCİK

Trudna
sytuacja
na drodze?



Ostre zakręty, śliska nawierzchnia, niespodziewana przeszkoda na drodze... takie sytuacje zdarzają się codziennie. Chciałbyś wtedy czuć się bezpiecznie i być pewnym, że cokolwiek stanie się na drodze, ryzyko utraty panowania nad pojazdem zostanie ograniczone lub wręcz wyeliminowane. ESP to inteligentny system aktywnego bezpieczeństwa, który w sposób ciągły analizuje i w razie potrzeby koryguje tor ruchu pojazdu. Najnowsze badania dowodzą, że ryzyko kolizji drogowych związanych z utratą panowania nad pojazdem ulega znacznemu zmniejszeniu w przypadku aut wyposażonych w ESP. Przyjdź i poznaj Citroëna Xsara Picasso i C5 w limitowanej serii Control+ z ESP gratis. Citroën. Polubisz każdą drogę.

CITROËN
POLUBISZ KAŻDĄ DROGĘ

Citroën C5 **CONTROL+ z ESP GRATIS**



Citroën Xsara Picasso **CONTROL+ z ESP GRATIS**



Citroën C8 **CONTROL+ z ESP GRATIS**



Oferta w autoryzowanych salonach Citroëna. Promocja dotyczy samochodów rok prod. 2004, zamówionych i odebranych od 22.03.2004. Ilość samochodów, modeli i wersji objętych ofertą ograniczona. Niniejsza promocja nie może łączyć się z żadnymi innymi ofertami promocyjnymi.

CITROËN poleca TOTAL

CITROËN Assistance 24h

CITROËN Kredyt

CITROËN Leasing

2 lata gwarancji bez limitu km

www.citroen.pl

Informacja o sieci koncesjonerów: 0801 111 555
(Koszt połączenia: 1 impuls TP SA)



Maturzyści nie rozumieją, dlaczego władza edukacyjna stosuje odpowiedzialność zbiorową. My też

Fot. RAFAŁ MIELNIK/AG

DOJRZEJĄ PO RAZ DRUGI

ZA WYCIĘK
TEMATÓW
MATURALNYCH
Z KURATORIUM
ZBIOROWĄ KARĘ
PONIEŚLI OPOLSCY
MATURZYŚCI

O pojawieniu się na dzień przed egzaminem tematów maturalnych w Internecie poinformowała lokalna prasa. Do dziennikarzy zgłosiła się też nauczycielka polskiego, która w przeddzień matur dostała zlecenie napisania wypracowania na jeden z ujawnionych tematów.

Opolski kurator Franciszek Minor całkowicie zignorował pytanie, jak to możliwe, że kuratorium nie zapobiegło ujawnieniu tematów. Zamiast wstydliwie podać się do dymisji, najwyraźniej uznał, że najlepszą obroną będzie atak. Zarządził więc, że matury z matematyki i polskiego zostaną powtórzone. Ministerstwo Edukacji przyklasnęło temu pomysłowi.

– To pana ludzie popełnili przestępstwo, a nie my – przekonywali kuratora maturzyści. Nic nie wskórali, więc od soboty prote-

stowali na ulicach Opola. W poniedziałek obrzucili jajkami urząd wojewódzki. Odgrali się, że zbojkotują pisanie matury.

Śledztwo prowadzi policja i prokuratura. Są podejrzenia, że źródłem przecieku mogli być pracownicy drukarni współpracującej z kuratorium. Na razie kurator zawiesił w pełnieniu obowiązków trzy osoby pracujące przy dokumentacji związanej z maturami. Dyrektor Ośrodka Informatyki Wojewódzkiego Banku Danych zawiesił kierownika sekcji wydawnictw, a następnie sam dyrektor też został zawieszony.

Kurator oddał się do dyspozycji wojewody, ale nadal pełni swoje obowiązki. Nie stracił pewności siebie i oświadczył, że czuje się potrzebny. Musi bowiem zadbać o to, aby dalsza część matur przebiegała bez zakłóceń.

DOROTA SAJNUG

PŁACĄ ZA BEZPŁATNE

ROLNICY, NIE DAJCIE SIĘ NABRAĆ!

Zaledwie trzy procent (60 tysięcy) ze spodziewanych 1,8 miliona wniosków o dopłaty bezpośrednie dla rolników dotarło dotąd do Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa. Wnioski można składać do 15 czerwca, więc urzędnicy największej fali spodziewają się na początku przyszłego miesiąca. Pierwsze pieniądze z Unii Europejskiej rolnicy otrzymają pod koniec roku. Tymczasem na dopłatach już zarabiają różne bardziej lub mniej uczciwe osoby.

Wielu zwiertżyło w tym interes – za pieniądze pomagają rolnikom wypełniać dokumenty, mimo że ARiMR oferuje to za darmo, zorga-



Szkolenie, jak wypełniać wnioski o dopłaty z UE, jest bezpłatne!

Fot. ANDRZEJ ISIDOR/FORUM

nizowała też szkolenia dla rolników. Porady można zasięgnąć w ośrodkach doradztwa rolniczego, bankach spółdzielczych i Związku Gmin Polskich. W odpowiednich kursach uczestniczyli nawet księża lokalnych parafii. – Pomoc przy wypełnianiu wniosków jest oczywiście bezpłatna – mówi Iwona Musiał, rzecznik prasowy ARiMR. Musiał przyznaje jednak, że do Agencji dotarły sygnały o firmach, które odpłatnie wypełniają rolnikom wnioski. Koszt takiej usługi wynosi do 150 złotych, a jej reklamy pojawiły się między innymi w prasie szczecińskiej i warszawskiej. Firmy powołują się na akredytację ARiMR, której najczęściej nie mają.

(IBU, RAF)

WSPIERAMY SPORT I KULTURĘ



TELEWIZJE
MUSZĄ
OGRANICZYĆ
EMISJE REKLAM
W CZASIE
FILMÓW

I WIDZ SYTY, I STACJA CAŁA

Przerywanie filmów reklamami jest wręcz haniebnie! – grzmiał onegdaj w jednym z wywiadów aktor Krzysztof Kowalewski. Także z badań firmy ARC Rynek i Opinia wynika, że 54 procent Polaków nie lubi przerywania filmów blokami reklamowymi.

Od 1 maja reklam w czasie emisji filmów powinno być mniej. – Dostosowaliśmy nasze przepisy do prawa obowiązującego w Unii Europejskiej – mówi „Przekrojowi” Stanisław Celmer, dyrektor departamentu reklamy Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. – Dotąd można było przerywać film co 20 minut. Teraz w trakcie filmu trwającego powyżej 45 minut blok reklamowy może pojawić się raz, w filmie trwającym powyżej 90 minut – dwa razy, a powyżej 110 – trzy razy – mówi Celmer.

W ciągu jednej godziny wolno będzie nadawać nie więcej niż 12 minut reklam. Do tej pory można było rozbić je na kilka bloków, teraz w godzinie zmieści się jeden. Trudno sobie wyobrazić, żeby stacja odważyła się emitować aż 12 minut reklamówek, więc reklam w czasie filmów będzie mniej.

Nadawców, którzy nie dostosują się do zmian, KRRiT może karać upomnieniem, później karą finansową. Ma ona wynosić równowartość zarobków stacji za nielegalnie wyemitowany blok. Na razie upomniany został Polsat, który omijanie nowych przepisów tłumaczy wypełnianiem wcześniejszych zobowiązań wobec reklamodawców.

(MASA)

20 maja w Rouvroy we Francji, w ramach Sezonu Polskiego, otwarta zostanie wystawa fotograficzna

„Gdańsk – ville magique”. Potrwa do 31 maja

Arkady Kubickiego podtrzymujące warszawski Zamek Królewski czekają na renowację kilkadziesiąt lat. Dzięki dopłacie z Totalizatora Sportowego do stawek gier liczbowych uzyskano środki na dokończenie inwestycji. Zamek Królewski odzyska dawny blask. Dzięki dopłacie wybudowano, wyremontowano i zmodernizowano także ponad 2.300 obiektów sportowych w całym kraju. Grając w gry liczbowe Totalizatora Sportowego, wspierasz sport i kulturę narodową.



www.lotto.pl

WICHER W KINIE

POD SZCZECINEM RUSZYŁA BUDOWA WIELKIEGO PARKU ROZRYWKI WZOROWANEGO NA NIEMIECKIM HEIDE PARKU

Siedem potężnych rollercoasterów, gigantyczne koło młyńskie, łódź podwodna i czterowymiarowe kino – to kilka z kilkuset atrakcji powstających w Parku Fantasia w Przybiernowie (przy trasie A3 między Szczecinem a Świnoujściem). Rozrywkowy kompleks złożony z siedmiu krain tematycznych zajmie teren o powierzchni miliona metrów kwadratowych. Między osadami będzie kursował specjalny pociąg TransFantasia Express. W krainie Juliusza Verne'a

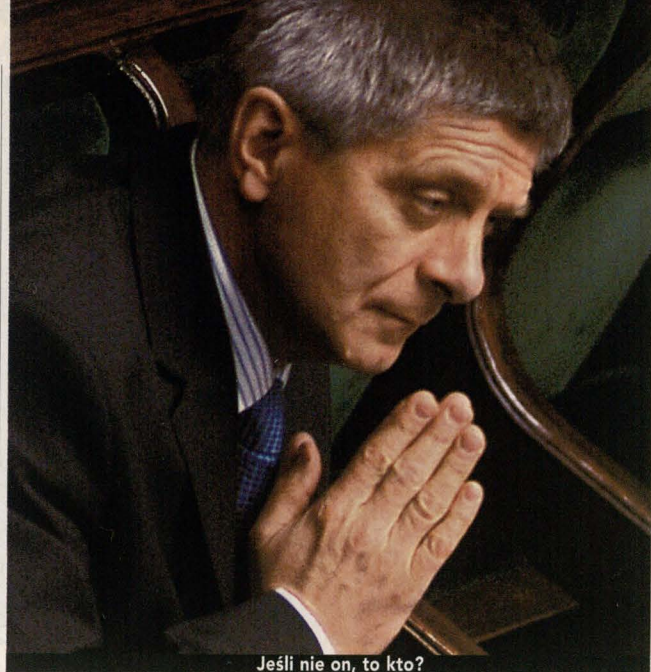


Fot. DPA/FORUM

Podobne atrakcje niedługo będą pod Szczecinem

powstanie pierwsze w Polsce kino czterowymiarowe, w którym widzowie poczną wiatr na twarzy, zapach dżungli, zobaczą mgłę, a fotel będzie się poruszał wraz z obrazem niczym symulator. Na amatorów mocniejszych wrażeń będzie czekała stumetrowa wieża kosmiczna, która w trzy sekundy wyrzuci śmiółka na wysokość 40 pięter (podobno „wyrzutek” zobaczy morze). Na Wyspie Skarbów będzie można postrzelać z dział z gigantycznego okrętu pirackiego, na Dzikim Zachodzie poszukać złota, a w Zaginionym Mieście wysłuchać legendy o Tutenchamonie. Otwarcie Parku Fantasia zapowiedziano na wiosnę przyszłego roku, ale już można zwiedzać go wirtualnie (www.park-fantasia.pl).

JOANNA GORZELIŃSKA



Fot. ADAM CHRESTOWSKI/FORUM

Jeśli nie on, to kto?

PRZYDŁUGIE OSTATKI

CZEKA NAS
TERAZ
KOROWÓD
KANDYDATÓW
NA PREMIERA

Po nieudzieleniu wotum zaufania Markowi Belce teraz Sejm ma wybrać do 28 maja nowego premiera. Jeśli coraz bardziej sparaliżowany parlament premiera nie wybierze, Aleksander Kwaśniewski drugi raz zaproponuje Belkę. W przypadku klęski tej kandydatury prezydent rozwiąże Sejm i ogłosi nowe wybory w sierpniu. Ta wizja żadnego z polityków nie pozostawia obojętnym. Dla sondażowych słabeuszy istotne staje się przesunięcie wcześniejszych wyborów z sierpnia tego roku na listopad. Oficjal-

nie bowiem wakacje są fatalnym czasem na głosowania, nieoficjalnie zaś – wówczas zostają w Polsce głównie zwolennicy Andrzeja Leppera.

Na jego zwycięstwie najwięcej straciłoby PSL i tym można tłumaczyć szczególną aktywność ludowców. Uparcie lansują na premiera swojego szefa Janusza Wojciechowskiego, przebąkują o Aleksandrze Łuczaku, a nawet Waldemarze Pawlaku. Rozmawiają z PiS o ponadpartyjnym premierze. Cel i tak jest jeden: rząd do jesieni, a potem wybory.

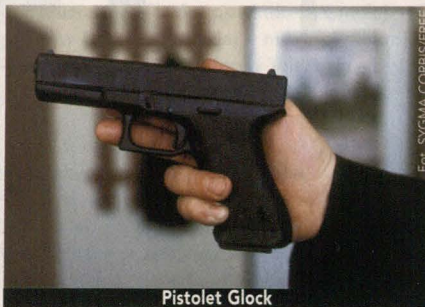
Sondażowi liderzy nie chcą czekać: Platforma Obywatelska i Samoobrona gotowe są stanąć do wyborczego plebiscytu w każdej chwili. Sekunduje im jak zawsze wierząca w zwycięstwo Liga Polskich Rodzin.

SLD „w trosce o budżet” niezmiennie chciałby wybrać nowy Sejm za rok. Dla Aleksandra Kwaśniewskiego najwcześniejszym terminem wyborów jest na razie połowa lutego 2005 roku. Prezydent liczy, że uda mu się przekonać SdPi do poparcia gabinetu Belki. SdPi może się zgodzić, jeśli plan Marka Borowskiego zdobyłby odpowiednią liczbę głosów w Sejmie. Borowski proponuje zgodę Sejmu na dobrowolne skrócenie kadencji i jesienne wybory. Pomysł byłby dla wielu do przyjęcia, jednak ogłoszony szumnie przez SdPi, nazwany już „planem Borowskiego”, może spotkać się ze sprzeciwem ambitnych szefów innych partii i klubów.

RAFAŁ MADAJCZAK

WPADKA W SEJMOWEJ TOALECIE

PISTOLET GLOCK 17
I DWA MAGAZYNIKI
Z OSTRYMI NABOJAMI
ZNALEZŁA STRAŻ
MARSZAŁKOWSKA
W SEJMOWEJ TOALECIE



Pistolet Glock

Fot. SYGMA CORBIS/EPRE

To nie była scena z polskiego serialu kryminalnego z detektywem Rutkowskim w roli głównej, choć właśnie on, poseł Federacyjnego Klubu Parlamentarnego, trafnie wytypował sprawcę zamieszania. Kiedy „Życie Warszawy” ujawniło kilka dni temu, że straż marszałkowska znalazła w sejmowej toalecie pistolet z ostrymi nabojami, w mediach zawrzało.

– Skąd ostra broń znalazła się w pilnie strzeżonym Sejmie? – zastanawiali się politycy. – Sprawa musi zostać wyjaśniona! – grzmiał oburzony Tomasz Nałęcz. Krzysztof Rutkowski typował roztargnionego funkcyj-

ariusza BOR-u, a Jerzy Dziewulski z SLD spekulował, że znaleziony glock nie mógł należeć do posła, bo żaden z parlamentarzystów nie nosi ze sobą dwóch magazynków. Zresztą posłowie nie mogą wносить broni do Sejmu, muszą zdać ją do depozytu. Tak mówi prawo, choć w praktyce różnie bywa. Ostatnio poseł Alfred Budner z Samoobrony podczas dyskusji o tragicznej interwencji policji w Łodzi bezprawnie wkroczył z pistoletem na mównicę sejmową, żeby pokazać, jak wyglądają ostre naboje. – To jest niedopuszczalne. Poseł Budner złamał prawo. Nie miał zgody na wnoszenie pocisków – mówi Nałęcz.

Prokuratura okręgowa, która badała sprawę „sejmowego pistoletu”, szybko odkryła sprawcę – jeden z agentów BOR-u poszedł do toalety, zdjął broń, żeby mu nie przeszkadzała, i zapomniał jej zabrać.

JOANNA GORZELIŃSKA



Diesel-cud



RENAULT

Odchudziliśmy ceny dCi

Tej wiosny wybrane modele z bogatej gamy Renault z silnikami Diesla Common Rail będą tańsze nawet o... 20 000 km*! Cóż, cuda się zdarzają :) Szczegóły u Autoryzowanych Partnerów Renault.

www.renault.com.pl

infolinia: (22) 575 99 99

W prezencie paliwo
nawet na 20 000 km

dCi

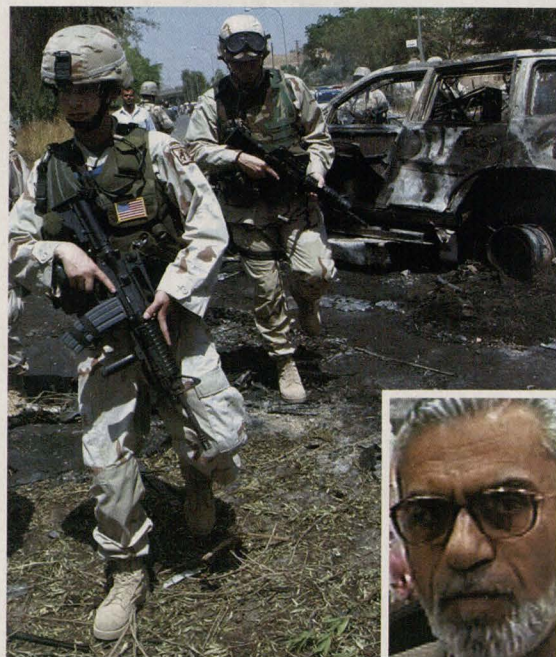
„Pasja” znalazła się na pierwszym miejscu najczęściej piratowanych filmów – tylko w kwietniu firma

monitorująca Internet znalazła w nim 36 693 nielegalne kopie filmu Mela Gibsona.

* Równowartość paliwa na 20 000 km gratis w postaci upustu cenowego – dane skalkulowane przez Renault Polska Sp. z o.o. przy średnim zużyciu paliwa dla danego modelu w cyklu pozamiejskim i przy cenie paliwa 3,06 zł za 1 litr z dnia 16.04.2004 r.

PRZEWODNICZĄCY IRACKIEJ RADY ZARZĄDZAJĄCEJ ZAMORDOWANY W BAGDADZIE. SIŁY KOALICYJNE Z TRUDEM PANUJĄ NAD SYTUACJĄ W IRAKU

RADA SAMOBÓJCÓW



W zamachu na Ezzedina Salima zginęło trzech Irakijczyków

Wóz Ezzedina Salima wyleciał w powietrze tuż przy wjeździe do tak zwanej zielonej strefy, czyli pilnie strzeżonej dzielnicy administracyjnej Bagdadu. Na jej obszarze znajduje się między innymi siedziba cywilnego administratora Iraku Paula Bremera, biura sił koalicyjnych, a także irackiej Rady Zarządzającej, której przewodniczył Salim. Tuż przed bramą zamachowiec-samobójca zrównał się z konwojem aut i zdetonował ładunek. Wybuch zmiotł trzy samochody, zabijając Salima oraz trzech jego współpracowników.

Ezzedin Salim był znanym szyickim intelektualistą, wydawcą kilku gazet i prominentnym działaczem szyickiej partii Daawa. Zamach jest interpretowany jako znak sprzeciwu wobec tymczasowych władz irackich.

W noc poprzedzającą zamach bojówki szyickie w Nasirii wypędziły włoskich żołnierzy z bazy przy strategicznie ważnym moście na Eufracie. Włochom, którzy stracili w starciach kolejnego żołnierza, nie pomogła nawet odsiecz 120 portugalskich policjantów. Dopiero amerykańskie naloty zmusiły Armię Mahdiego do odwrotu. Tymczasem w Nadzafie, głównym ośrodku mahdystów, Amerykanie przeniesli walki na miejscowy cmentarz. Zamordowany Ezzedin Salim był zaangażowany w rozmowy pokojowe z przywódcą Armii Mahdiego Muktaadą as Sadrem.

Brytyjski premier Tony Blair wezwał po zamachu do jak najszybszego przekazania władzy Irakijczykom. Z kolei Amerykanie zapowiedzieli przeniesienie do Iraku czterech tysięcy żołnierzy stacjonujących w Korei Południowej. Sytuacja w Iraku jest bardzo poważna, skoro Pentagon po raz pierwszy od pół wieku redukuje siły strzegące granicy z Koreą Północną.

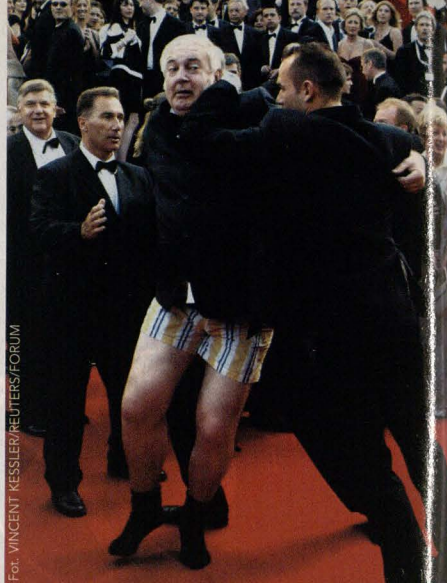
JAKUB MIELNIK

FESTIWAL STRAJKÓW

Pięciu aresztowanych, sześć osób lekko rannych, jedna z obrażeniami głowy odwieziona do szpitala – oto bilans manifestacji strajkujących pracowników technicznych festiwalu filmowego w Cannes. W niedzielę setki protestujących zablokowały bulwar Croisette, część przypuściła szturm na kino Star, poleciały szyby. Do rozpędzania tłumu policja użyła pałek.

Dla bywalców festiwalu strajki nie są żadną nowością. W minionych latach pokazom filmów w Cannes towarzyszyły kolejno protesty kontrolerów lotniczych, kolejarzy, pracowników banków, a w ubiegłym roku na Lazurowym Wybrzeżu odbył się nawet strajk generalny. Francuskie związki zawodowe po prostu odkryły, że nic tak nie działa na canneńskich pracodawców jak groźba paraliżu złotonośnego festiwalu.

Spośród filmowych gwiazd poparcia udzielił manifestantom jedynie amerykański reżyser Michael Moore, który po-



Belg Noel Gaudin zdjął spodnie w geście solidarności z pracownikami technicznymi festiwalu w Cannes

kazuje w Cannes swój kontrowersyjny dokument o Bushu. – Jestem tu, by wspierać robotników we Francji, w Stanach Zjednoczonych i na całym świecie – oświadczył filmowiec. Strajk ogłosił także personel prestiżowego hotelu Carlton. Po raz pierwszy w historii jego goście muszą zadowolić się jednym ręcznikiem, sami przygotowują sobie śniadania i sprzątają pokoje.

RAFAŁ NIEMOJEWSKI (CANNES)

EUROPEJKA RZĄDZI W INDIACH

OD ŚRODY NOWYM PREMIEREM INDII JEST SONIA GANDHI – KATOLICZKA URODZONA WE WŁOSZECH. HINDUSÓW ZNÓW UWIODŁA MAGIA SKYNNEGO RODU. GIEŁDA I BIZNES REAGUJĄ BARDZO NERWOWO

Na ulicach Delhi tańczyli uradowani zwolennicy Partii Kongresowej. O zaskakującym zwycięstwie opozycji przesądziły dziesiątki milionów najuboższych Hindusów. Podczas kampanii Partia Kongresowa umiejętnie podsycala nadzieje biedoty na pitną wodę i elektryfikację. Rządzącej dotąd partii BJP nie pomógł ani ośmioprocentowy wzrost gospodarczy, ani zawarte za jej rządów porozumienie pokojowe z Pakistanem.

Sonia Gandhi, która w środę oficjalnie została zaprzysiężona na premiera, wychowała się we włoskim miasteczku Orbassano koło Turynu. Do rodu Gandhich weszła przez ślub z Radživem Gandhim. Poznała go w Cambridge, gdzie podczas kursu angielskiego pracowała jako kelnerka. Obywatelstwo indyjskie otrzymała dopiero w 1983 roku. Pani premier nie najlepiej radzi sobie z hindi,



Zwycięstwo Soni Gandhi w indyjskich wyborach spowodowało panikę na giełdzie

natomiast biegle włada angielskim, francuskim, włoskim i hiszpańskim. Wyborców urzeka jej bezpośredniość i mit wdowy po zamordowanym w 1991 roku Radživie.

Indyjski biznes jest mniej zachwycony. Giełda w Delhi zareagowała na wyniki wyborów paniką i jednym z największych spadków cen w histo-

rii. Gdy zamykaliśmy ten numer „Przekroju”, pani Gandhi była bliska porozumienia z czterema indyjskimi partiami komunistycznymi. Kręgi biznesowe obawiają się, że nowy, mało stabilny gabinet będzie zakładnikiem lewicy i zahamuje reformy oraz prywatyzację.

MAREK RYBARCZYK

Wielka obniżka cen połączeń międzynarodowych

Rozwiązania dla biznesu

do 82% taniej z usługą wybrane kraje TP biznes

Obniżyliśmy koszty telefonicznych połączeń z zagranicą. Już od 1 maja Twoja firma może płacić o wiele niższe rachunki i łatwiej komunikować się w sprawach handlowych z inwestorami z zagranicy.

Sprawdź nowy, bardziej przejrzysty cennik połączeń międzynarodowych w planie sekundowym TP biznes.

Razem z usługą wybrane kraje TP biznes ceny są jeszcze niższe:

- Unia Europejska, USA, Kanada 0,68 zł/min (0,83 zł z VAT)
- Rosja, Ukraina, Białoruś 0,90 zł/min (1,10 zł z VAT)
- Japonia, Izrael, Chiny, Wietnam, Korea 1,13 zł/min (1,38 zł z VAT)
- Brazylia, Egipt, Zjednoczone Emiraty Arabskie 2,60 zł/min (3,17 zł z VAT)

TP TELEKOMUNIKACJA POLSKA

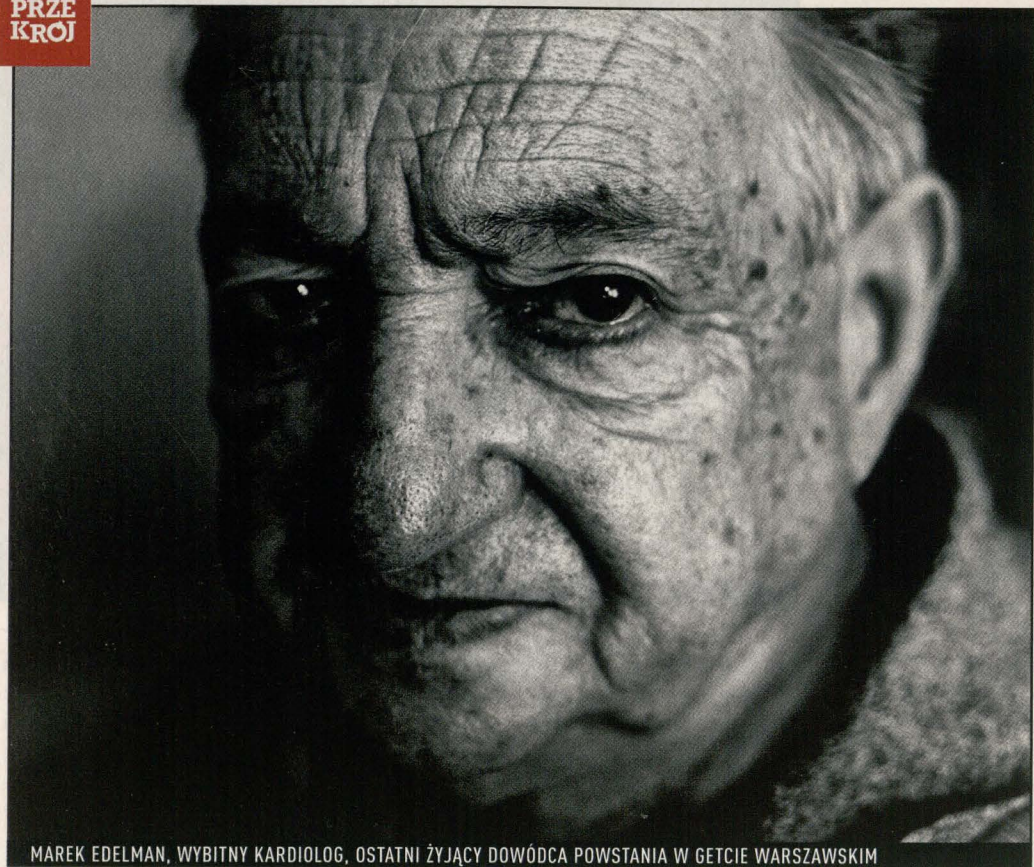
DONOSIŁ, ALE DAWNO TEMU

Niemieckie media niemal codziennie informują o czyjejś współpracy z tajnymi służbami dawnej NRD. Pewnie dlatego nikt się w Niemczech nie dziwił, gdy w ubiegłym tygodniu pojawiła się informacja, że Bernd Runge, niemiecki wydawca miesięczników „Vogue”, „Vanity Fair” i „GO”, w latach 80. pracował dla Stasi. Jak podały tygodniki „Focus” i „Spiegel”, 43-letni Runge, dziś szef niemieckiej filii amerykańskiego koncernu wydawniczego CondéNast, nie tylko donosił na zaprzyjaźnionych studentów i własną rodzinę, lecz także szpiegował zachodnich dziennikarzy. Zaskakujący jest fakt, że Niemcy prawie się tymi rewelacjami nie przejęli, a amerykański szef Runego oświadczył, że jego przeszłość jest „bez znaczenia”. Jeszcze w latach 90. samo podejrzenie o współpracę ze Stasi mogło kosztować polityka dymisję, a biznesmena – utratę posady. – Czasy, kiedy odkrycie powiązań ze służbami kończyło się skandalem, mamy za sobą – mówi Ralph Rytlewski, politolog z uniwersytetu w Berlinie. W liście otwartym Runge oświadczył, że jego współpraca „nie jest powodem do dumy”. Fakt, że Niemcy potraktowali go tak łagodnie, może mieć związek z ostatnimi sukcesami Runego. W styczniu został niemieckim media managerem roku, a przychody z reklam w jego tytułach skoczyły w ciągu ostatniego, trudnego dla mediów roku o 11,5 procent.



Bernd Runge

(TIME)



Fot. BOGDAN KRZEL, PIOTR MAŁECKI/NEWSWEEK/FORUM

MAREK EDELMAN, WYBITNY KARDIOLOG, OSTATNI ŻYJĄCY DOWÓDCA POWSTANIA W GETCIE WARSZAWSKIM

TO JEST NASZA WOJNA

KATARZYNA KOLENDA-ZALESKA: Po obejrzeniu ostatnich wiadomości z Iraku nadal Pan...

MAREK EDELMAN: Nadal!

Nadal co?

– Nadal uważam, że polscy żołnierze powinni tam zostać. Amerykanie też.

Jednak sporo się wydarzyło i wciąż sporo się dzieje. Niemal nie ma dnia bez zamachu, a w ciągu ostatnich kilkunastu dni zginęło dwóch polskich żołnierzy, zastrzelono dziennikarza Waldemara Milewicza i Mounira Buamrane'a.

– A na jakiej wojnie nie giną ludzie, zna pani taką? Bo ja nie. Widocznie człowiek jest tak skonstruowany, taką ma wadę jego fatalny mózg, że musi zabijać. Dla przyjemności albo dla głupiego przekonania.

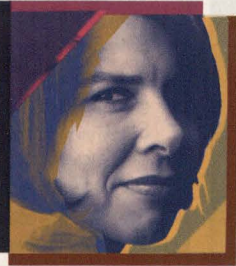
Ta wojna jest o głupie przekonania?

– Zaraz, zaraz. Kto zaczął zabijać? Przecież to nie Amerykanie najechali na wspaniałe demokratyczny Irak. Tam była dyktatura, tortury, terror.

Ale są ludzie, którzy mówią, że to nie nasza sprawa.

– A czyja? Każda wojna z faszyzmem jest nasza. W '39 też wielu ludzi myślało, że wojna o Polskę nie jest ich wojną, a tymczasem co? Zawaliły się wielkie mocarstwa, bo po-

CZY NIE
POWINNIŚMY
WYCOFAĆ SIĘ
Z IRAKU?
– PYTA

KATARZYNA
KOLENDA-ZALESKA

litycy słuchali tych, którzy mówili, że nie warto umierać za Gdańsk. Gdyby na wkroczenie Hitlera do Nadrenii odpowiedzią była militarna interwencja, prawdopodobnie nie byłoby ani wojny, ani Zagłady.

Wiele osób to rozumie, ale nie rozumie, po co Amerykanie jadą na drugi koniec świata i walczą o Irak.

– A po co jechali do Europy? Kto pokonał Hitlera i uratował Europę przed faszyzmem? Może Francuzi, co? Amerykanie wygrali. I wtedy im dziękowaliśmy, bo nas ocalili. A teraz ich krytykujemy, bo jadą ratować kogoś innego. No, to ja też nie rozumiem, jak można nie rozumieć.

Jednak w Polsce opinia publiczna tego nie pamięta i tak nie myśli.

– [Marek Edelman z irytacją wrzuca ramionami] No wie pani. Głupców nie sieją, sami rosną.

Niektórzy, także mądzy ludzie nazywają tę wojnę haniebną awanturą, w której chodzi nie o wolność i broń masowego rażenia, ale o ropę.

– W każdej wojnie chodzi również o dobra materialne. W tym przypadku o ropę.

I dlatego ludzie pytają, dlaczego mamy ginąć za ropę.

– To są konsekwencje wojny. Przecież to nie czasy Uptona Sinclair'a, kiedy ropa rządziła światem. Światem rządzi bomba atomowa.

A jej w Iraku nie znaleziono.

– No to co? Jeszcze nie znaleziono. A dziś usłyszałem, że znaleziono broń chemiczną, której miało nie być. Szuka się ziarna maku w worku piasku. Chciałaby pani poczekać, żeby na panią ta bomba spadła? Przed II wojną światową też nie było komór gazowych i obozów koncentracyjnych. Poczekali i byli. Chce pani tego?

Oczywiście, że nie. A o co pana zdaniem jest ta wojna?

– O wolność.

Wolność czyją?

– Irakijczyków i świata.

Ale nas tam wcale nie chcą.

– Proszę pani, co znaczy „nas tam nie chcą”? To nieprawda, że nas tam nie chcą. Nie chce nas grupa ekstremistów, która chce zabić demokratyczny świat, wprowadzić dyktaturę jednej religii. Co by o tej wojnie nie powiedzieć i co by nie myśleć o wzniosłych naukach Koranu, to polityka, którą prowadził rząd Iraku, była mordercza, zabójcza, faszystowska, przeciwko człowiekowi, przeciwko całemu światu. Przecież wiemy, że zamach 11 września nie był wyłącznie dziełem ben Ladena. Oczywiście, on był wykonawcą, ale sekundował mu cały tamten świat symbolizowany przez Saddama Husajna.

Wracam jeszcze raz do pytania o sens obecności naszych żołnierzy. Wielu Polaków nie chce, żeby tam byli.

– A ja jeszcze raz powtarzam – niech czekają. Zastanawiam się tylko, z której strony mogą nadlecieć rakiety z bombami. Zastanawiam się, czy będą tu rządzić namiestnicy Saddama czy ben Ladena, tak jak rządzili namiestnicy Hitlera.

Pan naprawdę wierzy, że byłoby to możliwe?

– To jest możliwe. Jeśli dziś będziemy przymykać oczy na zło, to jutro to zło nas pokona. Niestety, w człowieku dominująca jest nienawiść, a nie miłość. Ci, którzy mordują, rozumieją tylko siłę i nic więcej. I jedyną siłą, która może się temu przeciwstawić, jest demokracja amerykańska.

Ale Amerykanie nie radzą sobie z wprowadzaniem demokracji.

– Nie radzą, to prawda, ale to jest trudna wojna. A II wojna światowa trwała pięć lat. Demokracja jest słaba organizacyjnie. Silna jest dyktatura.

Hitler potrafił zmobilizować kilka milionów ludzi, a jeszcze kilka milionów zapędzić do komór gazowych i niewolniczej pracy. Ale tylko demokracja ratuje ludzkość i ratuje miliony istnień ludzkich. Im częściej widzę, jak tam się ludzie zabijają, tym mocniej jestem przekonany, że trzeba temu położyć kres. Mordercy rozumieją tylko czyny.

A jak pan patrzy na zdjęcia z więzienia Abu Ghraib, nie ma pan wątpliwości, nie zaczyna pan wątpić w tę amerykańską demokrację?

– Tak, to się zdarzyło. Wśród kilkuset tysięcy amerykańskich żołnierzy zdarzyło się kilku zwyrodniałców.

Chyba pan tego nie usprawiedliwia wyższymi celami tej wojny?

– Oczywiście, że nie. To będzie ukarane.

Ale „New Yorker” ujawnił, że amerykański sekretarz obrony Donald Rumsfeld wiedział o torturowaniu więźniów. Co więcej, tygodnik oskarża Rumsfelda, że sam te metody zatwierdził. Pentagon oczywiście zdecydowanie zaprzeczył.

– Ja też mam do dziennikarzy ograniczone zaufanie.

O! To dziękuję bardzo.

– Dziecko, pani jest w porządku. A na pocieszenie powiem pani, że jeszcze mniejsze zaufanie mam do fotografów.

Zdjęcia nie kłamią.

– No dobrze, nie kłamią. Przykre to, ale zdarzają się takie rzeczy. Ludzie z obydwu stron mają w sobie nienawiść. Nie tylko żołnierze Saddama Husajna, ale i Amerykanie.

Ale cały ten incydent podważa zaufanie do Amerykanów. I co tu powiedzieć Polakom po śmierci kolejnych polskich żołnierzy?

– Przecież zginęli w walce o swoją wolność. W powstaniu warszawskim ile tysięcy zginęło?

Walczyli o swój kraj.

– Walczyli o swój świat. Wolny i demokratyczny. Tak jak ci, którzy zginęli w stanie wojennym. Ginęli tylko za Polskę? Nie. Ginęli za wolność całej Europy, za wolność tych wszystkich gnębionych za żelazną kurtyną.

Hiszpanie jednak wycofali swoje wojska z Iraku po zamachu w Madrycie.

– Niech pani mi nie mówi, co zrobili Hiszpanie. Zrobili. No i co? Myśli pani, że to ich uchroni od dalszych ataków? Nie uchroni. Słabego się bije w mordę i leży cicho. Pacyfizm dawno przegrał.

Teraz pojawiają się głosy, że Polska nie powinna tak ściśle współpracować

z Amerykanami, tylko zacieśnić współpracę z Francją i Niemcami.

– No to proszę bardzo. Francuzi byli wielką potęgą, kulturalną, intelektualną. I co się z nimi stało? Nie chcieli się bić o swoją demokrację, uważali, że to nie jest ich wojna. Stracili wszystko, bo jak raz człowiek daje d..., to jest koniec. Co to znaczy amerykańska polityka i europejska polityka? Nie ma innej polityki od demokratycznej polityki światowej. Jeśli teraz wycofamy się z Iraku, co nam pozostaje? Współpraca z Iranem i Arabią Saudyjską.

No dobrze. Nie wycofujemy wojsk, zostajemy. Terrorysty uderzają na Warszawę, tak jak uderzyli na Madryt. Ginę setki osób.

– Tak się może zdarzyć.

I ludzie znów zaczną pytać: dlaczego mamy ginąć, dlaczego mają ginąć niewinni, tysiące kilometrów od Bagdadu?

– Bo to jest wojna, moje dziecko. Na razie obronna.

Jak to „obronna”? Nawet wicepremier rządu mówi, że to my jesteśmy okupantami.

– No to może tak trzeba, jak po dobroci nie chcą.

Można na siłę wprowadzać demokrację?

– Jak się okazało w Jugosławii – można. Co w Kosowie udało się zrobić bez siły? Nadal Miloszević mordowałby tam Chorwatów i Albańczyków. Tylko dzięki interwencji się udało. Zresztą my, Polacy, przyłożyliśmy się do tego. Apelowaliśmy do prezydenta Clintona o zastosowanie siły.

To pan apelował, pan napisał do niego list, pan wsparł tę siłę siłą swojego autorytetu i swojej biografii.

– Tak. Napisałem i prezydent na mnie się powołał. Ci ludzie, którzy mówią, że nie trzeba się bić o wolność, nie rozumieją, co to jest faszyzm, a ja rozumiem.

Uda się w Iraku wprowadzić prawdziwą demokrację?

– Taką czy inną, ale demokrację. Jeżeli wygra się w Iraku, to będzie domino. Niech pani zobaczy, że Syria już miauczy, żeby jakoś się z Amerykanami dogadać.

Gdyby był pan młodszy, gdyby była taka możliwość – poszedłby się pan bić do Iraku?

– Ja bardzo nie lubię upałów, ale jak się musi, to się idzie. Różnych rzeczy nie lubiłem w moim życiu, a robiłem.

ROZMAWIAŁA KATARZYNA
KOLENDA-ZALESKA, TVN24

ODESZLI



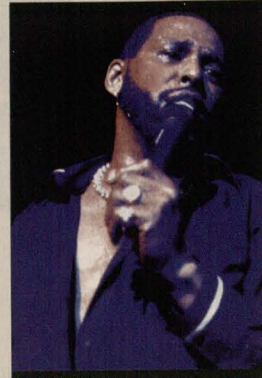
JESUS GIL Y GIL

Jesus Gil y Gil, 71, hiszpański działacz sportowy, wieloletni prezydent klubu piłkarskiego Atletico Madryt. Przez 10 lat był burmistrzem miasta Marbella. W 2002 roku został aresztowany za nadużycia finansowe. Za jego rządów w Atletico Madryt (1987–2003) drużyna w 1996 roku zdobyła mistrzostwo i Puchar Hiszpanii. Jednak w 2000 roku spadła do II ligi. Ale już dwa lata później, jeszcze za kadencji Gila, klub znów zaczął odnosić zwycięstwa. Gil był znany z dyktatorskich metod zarządzania. W ciągu 16 lat wymienił aż 26 trenerów. Pod koniec życia zrezygnował z kierowania Atletico, ale zachował większość pakietu jego akcji.



BRENDA FASSIE

Brenda Fassie, 39, „Czarna Madonna”, jedna z najpopularniejszych piosenkarek Republiki Południowej Afryki. Karierę rozpoczęła 20 lat temu. Śpiewała w języku xhosa, zulu i po angielsku. Pochodziła z tego samego plemienia co Nelson Mandela i znała go osobiście. Kiedy siedział w więzieniu, Brenda zadedykowała mu piosenkę „Czarny prezydent”. Utwór stał się pokoleniowym hymnem walki z apartheidem. Słynęła z temperamentu i burzliwych związków z mężczyznami i kobietami. Przez kilkanaście lat walczyła z uzależnieniem od alkoholu i narkotyków. Uważała, że nie ma rzeczy niemożliwych. – W przyszłym roku zostanę papieżem – powiedziała po odebraniu nagrody przemysłu muzycznego RPA.



JOHN WHITEHEAD

John Whitehead, 55, amerykański muzyk i producent rhythm and bluesa. Zginął zastrzelony przez nieznanych sprawców koło swojego domu w Filadelfii. Policja twierdzi, że mogły to być porachunki gangsterskie. Na początku lat 70. wraz z Gene'em McFaddenem stworzył zespół The Epsilons. Nagrali między innymi przebój „Echo”. Pisali piosenki dla wykonawców związanych z wytwórnią Philly International Records. Ich utwór „Ain't No Stoppin' Us Now” napisany w 1979 roku zajmował pierwszą lokatę na listach przebojów i został nominowany do nagrody Grammy. W latach 80. Whitehead spędził dwa lata w więzieniu za oszustwa podatkowe.



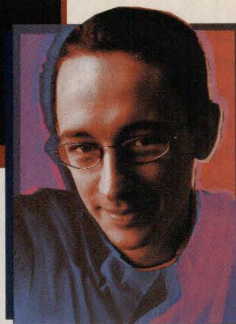
ALAN KING

Alan King, 76, amerykański aktor komediowy. Naprawdę nazywał się Irwin Alan Kneberg i był synem rosyjskich Żydów. Mieszkał i zmarł w Nowym Jorku. Karierę rozpoczął w latach 50. w programie „The Ed Sullivan Show”. Zagrał w ponad 20 filmach, występował na Broadwayu, był producentem sztuk teatralnych i autorem książek. Polscy widzowie mogą go pamiętać z roli Boga w odcinku serialu „Murphy Brown”, w którym Murphy śni o robieniu wywiadu ze Stwórcą. Słynął z ciepłych, choć często sarkastycznych kpín z kultury swoich przodków. Znane było jego powiedzonko o tym, że każde żydowskie święto można opisać następująco: „Chcieli nas zabić. Wygraliśmy. A teraz coś zjedzmy”.



a właściwie to...

Na prawo patrz!

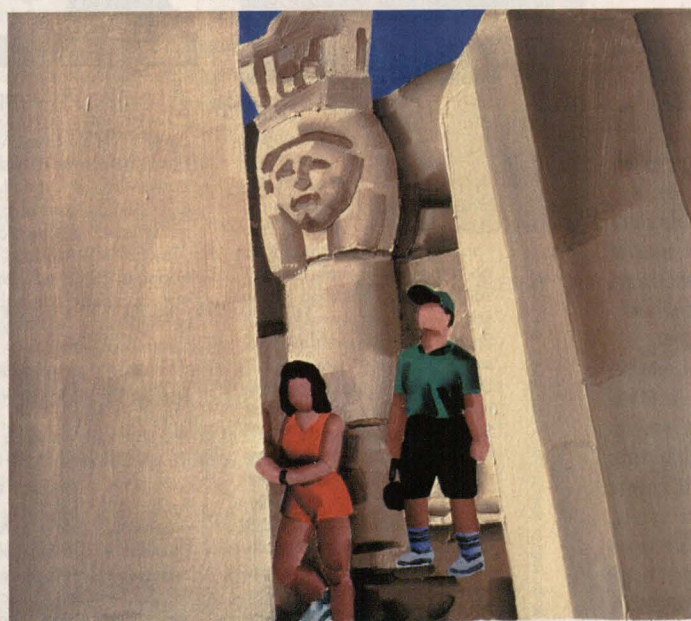


Prokurator uważa, że przedterminowe zwolnienie z więzienia Bogusława Bagsika „klóci się z odczuciem społecznym”. Przypomnijmy, że Bagsik, były szef Art-B, został skazany na dziewięć lat, a odsiedział sześć. Sąd chciał go już – ma takie prawo po wykonaniu dwóch trzecich kary – warunkowo zwolnić, bo Bagsik był wzorowym więźniem, odsiadując wyrok w więzieniu półtowartym, uczył za darmo dzieci angielskiego, a za swoją ostatnią pracę, kopanie rowów, otrzymał list pochwalny. Jednak prokurator, w imieniu nas wszystkich – bo tak uzasadnia swoje działania – chce uchylene tej decyzji sądu. Czyli facet mógłby już wyjść z więzienia, bo resocjalizacja była udana, tylko nasze jego niechęć – na które powołuje się prokurator – uniemożliwia mu to. Osobiście uważam, że mógłby już wyjść. Pytałem kolegów i koleżanki – uważają podobnie. Sprawdzałem w instytucjach badania opinii społecznej, czy były ostatnio robione jakieś sondaże na temat odsiadki Bagsika,

ale dowiedziałem się, że nie. Jaką więc socjologiczną kwalifikację ma prokurator, żeby oceniać stan społecznych emocji wobec niegdyśszego aferzysty? Możemy uznać, że żadną. Ale możemy też uznać, że właściwą i że ta kategoria rozpoznawania intuicji społecznych powinna decydować o wolności lub uwięzieniu każdego obywatela, o nieważne nawet jak głośnym nazwisku. Niech więc prokuratorzy, dyrektorzy więzień sięgną do gazet i wspólnie ułożą listę osób, których chodzenie na wolności „klóci się z odczuciem społecznym”. Już pierwsza wersja listy każe prezydentowi ogłosić amnestię dla tych „siedzących”, bo trzeba będzie zrobić miejsce dla legionów. I na koniec kariery nowej kategorii prawnej „klóci się z odczuciem społecznym”, przyjdzie się z nią zmierzyć samej prokuraturze, której działania – najdelikatniej mówiąc – „klóć się z odczuciem społecznym”. Co twierdzą intuicyjnie, nie sięgając do badań.

PIOTR NAJSZTUB

MACIEJOWSKI



ŚWIĄTYNIA HATSZEPSUT ZROBIŁA NA NAS DUŻE WRAŻENIE.

© MARCIN MACIEJOWSKI/MEYER-KANER GALLERY

Osoby skazane na karę więzienia w zawieszeniu pozbawione są prawa składania kasacji do Sądu Najwyższego – tak orzekł w ostatni poniedziałek Trybunał Konstytucyjny. Potwierdził tym samym zmianę kodeksu postępowania karnego sprzed czterech lat, na mocy której Sąd Najwyższy rozpatruje tylko odwołania od wyroków skazujących na kary bezwzględne pozbawienia wolności. Innymi słowy, jeśli zostaniecie Państwo niesłusznie skazani, a w drugiej instancji otrzymacie wyrok w zawieszeniu, zapomnijcie o Sądzie Najwyższym. Jesteście skazani i koniec. Prawo odwołania do Sądu Najwyższego ma dziś zaledwie 12 procent skazanych w sądach drugiej instancji – tyle osób dostaje bowiem wyroki bez zawieszenia.

Nierówne traktowanie w polskich sądach zaczyna się wcześniej. „Lżejsze” sprawy są kierowane do sądów rejonowych, a drugą instancję stanowią dla nich sądy okręgowe. Sprawy „cięższe” trafiają od razu do sądów okręgowych, a odwołania – już do sądów apelacyjnych i dalej do Sądu Najwyższego. W skrajnym przypadku osoba oskarżona o „lekkie” przestępstwo ma więc w Polsce prawo do procesu w dwóch prowincjonalnych sądach, a człowiek obwiniany o zbrodnię może liczyć nie tylko na dwa miejskie sądy, lecz także na kasację. Stawiając sprawę na ostrzu noża, można powiedzieć, że morderca ma w naszym systemie sądowym większe prawo do rzetelnego procesu niż na przykład drobny oszust. Nie chodzi tu tylko o równość obywateli wobec prawa. Zamiast podnosić jakość pracy sądów, polski wymiar sprawiedliwości dostosowuje tryb wydawania wyroków do własnych ułomności. Dzieje się to kosztem prawa obywateli do sprawiedliwego procesu. Decyzja Trybunału w sprawie kasacji do Sądu Najwyższego jest tego kolejnym przykładem. Bo Sąd Najwyższy, który segreguje obywateli według kary, jest w założeniu niesprawiedliwy.

WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI

raczej RACZKOWSKI



WYMYŚLIŁ I NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI

POLOWANIE NA HIENY

ZDJĘCIA ROBERTŁASKA.COM

Dużo więcej sprzedął pan wydania „Super Expressu” z martwym Waldemarem Milewiczem na okładce?

– Nie wiem jeszcze, ile sprzedałem. Wydrukowałem tyle samo co zawsze, więc jeżeli możemy mówić o jakichś korzyściach „Super Expressu”...

Pytałem o to tylko dlatego, żeby dowiedzieć się, czy zainteresowanie czytelników było większe niż zazwyczaj.

– Wydaje mi się, że tak. Monitorowaliśmy kioski w kilku miastach, sprawdzaliśmy, co się dzieje w kioskach. Wdzieliśmy w telewizji oburzonych kioskarzy, którzy twierdzili, że mają problem z naszą okładką, ale „w naturze” nie stwierdziliśmy takich spontanicznych reakcji.

Może warto przy okazji sporu o relacjonowanie śmierci Milewicza zapytać, czy my, dziennikarze, nie zabrnęliśmy za daleko? Może nasza wrażliwość już nie przystaje do wrażliwości przeciętnego odbiorcy? Czy coś dla nas normalne może być przez innych odrzucane?

– Mnie się wydaje, że jest dokładnie na odwrót.

To znaczy?

– My, dziennikarze, mamy dużo wyższą wrażliwość. Podam prosty przykład. Kiedy weszła na ekrany „Pasja”, pisaliśmy, że jest to film niesłychanie drastyczny, wyczerpujący psychicznie i żeby księża w ramach katechezy przynajmniej nie prowadzili na ten film małych dzieci. Ale temat nie wywołał specjalnej reakcji czytelników. To mi też powiedziało, że dziennikarze dużo chętniej dyskutują o takich rzeczach i bardziej się nimi przejmują niż niedziennikarze.

Jednak to my, a nie czytelnicy, na co dzień oglądamy setki drastycznych zdjęć, bo taką mamy pracę, i w związku z tym nasza wrażliwość musiała się stępić.

– Nie, ja odmawiam. Na przykład odmawiam czytania materiałów o torturowaniu dzieci. Zdarza się, że jakiś potwór katuje dzieciaka, dziennikarz wykonuje swoją pracę i przynosi o tym tekst. Wtedy ja proszę, żeby ktoś inny to redagował, bo ja nie mogę. To samo jest ze zdjęciami. Żle reaguję na zdjęcia, które pokazują okrutne rzeczy.

To dlaczego pańska gazeta nie jest do pana podobna?

– Bo ja nie robię tej gazety wyłącznie dla siebie. Uważam też, że takie materiały należy publikować i należy je czytać. Gdybym ze względu na własne obsesje tego nie puszczął, tobym uchybiał moim obowiązkom.

Czy media powinny być takim światem online? Że coś się dzieje i ląduje u nas natychmiast na czołówkach, czy jakieś sito powinno być?

– Zawsze jest sito. Mitem jest teza, że jesteśmy czystym „zwierciadłem”. Mamy ograniczoną liczbę stron, minut, sekund emisji, a więc zawsze dokonujemy wyboru, co damy. Chociaż redagując, zwłaszcza newsowe produkty, mamy pole manewru bardzo ograniczone. Czasami się zdarza, że newsem jest śmierć naszego kolegi. Trzeba dać.

MARIUSZ ZIOMECKI MA 52 LATA, OD ROKU JEST REDAKTOREM NACZELNYM „SUPER EXPRESSU”. DO 1981 ROKU W WARSZAWSKIEJ „KULTURZE”. ROK PÓŹNIEJ WYEMIGROWAŁ DO STANÓW. JAKO KOMENTATOR DZIENNIKA „THE DETROIT FREE PRESS” DWA RAZY OTRZYMAŁ NOMINACJĘ DO NAGRODY PULITZERA. DO POLSKI WRÓCIŁ W 1992 ROKU, PRACOWAŁ MIĘDZY INNYMI W „CASHU” I „GAZECIE WYBORCZEJ”, KIEROWAŁ MIESIĘCZNIKIEM „PROFIT”. PO ŚMIERCI DZIENNIKARZA TVP WALDEMARA MILEWICZA NACZELNY „SE” PODJĄŁ DECYZJĘ O ZAMIESZCZENIU NA CZOŁÓWKCE ZDJĘCIA ZABITEGO W IRAKU REPORTERA. WYWOŁAŁO TO OBURZENIE CZĘŚCI ŚRODOWISKA MEDIÓW. GRUPA ZNANYCH DZIENNIKARZY TWIERDZIŁA W LIŚCIE OTWARTYM, ŻE „WYKORZYSTYWANIE LUDZKIEJ TRAGEDII (...) JEST OBRZYDLIWE I PONIŻAJĄCE, NIEGODNE NASZEGO ZAWODU”. GRZEGORZ LINDENBERG, ZAŁOŻYCIEL „SE”, ZARZUCIŁ ZIOMECKIEMU: „WYKORZYSTAŁŚ ŚMIERĆ KOLEGI DLA ZAROBNIENIA PIENIĘDZY”. WOJCIECH JAGIELSKI PISAŁ: „WIELKA POGARDĘ TRZEBA MIEĆ DLA CZYTELNIKÓW, BY (...) KAZAĆ IM OGLĄDAĆ FOTOGRAFIĘ TRUPA CZŁOWIEKA, KTÓREGO TAK LUBILI WIDZIEĆ NA EKRANACH”.

Czy „Super Express” ma w tej chwili reportera w Iraku?

– Wysyłanie tam ludzi teraz jest bez sensu. Albo siedzieliby zamknięci w Camp Babilon, albo musieliby brać udział w misji samobójczej.

Ale wysyłaliście. A gdyby śmierć dotknęła reportera „Super Expressu”, którego by pan znał, wiedziałby pan, że ma konkretną rodzinę...

– Ja znałem luźno kolegę Milewicza, choć nie pracowałem z nim na co dzień. Dlatego te zdjęcia mnie też przytkały, sparaliżowały.

A co pan myśli o argumentie podnoszonym przez niektórych protestujących przeciwko tamtej okładce „Super Expressu”, że nie powinno się takich zdjęć publikować ze względu na bliskich ofiary, że dla nich to będzie wstrząs?

– Najprostsza odpowiedź brzmi tak: wszyscy mają bliskich, także te anonimowe ofiary na co dzień pokazywane w polskich mediach. Podnoszenie tej kwestii, tylko gdy chodzi o Milewicza, pachnie hipokryzją. Po drugie, wydaje mi się, że kiedy ktoś straci bliską osobę, to jego problemem jest ta strata, a nie to, jak relacjonują to gazety. Ale przygotowując relację, oczywiście myśli się również o bliskich.

Nie wszyscy chcą, żeby podczas pogrzebu otwierać trumnę.

– Tak, ale z drugiej strony w 1984 roku, po śmierci księdza Popiełuszki, księża sprzedawali jego pośmiertne zdjęcia, na których nie wyglądał dobrze. Więc powoływanie się na jakiś uniwersalny standard, tabu jest po prostu fałszem. Całe chrześcijaństwo jest zbudowane wokół obrazu Męki Pańskiej. Ta rozmowa też jest fałszywa, bo ja występuję w roli faceta, który dał na okładkę jakieś upiorne zdjęcie, a ja wcale tak tego zdjęcia nie oceniam. My codziennie badamy reakcje czytelników na nasze okładki i co do tej okładki byli wyjątkowo zgodni – pochwalali ją. Przy takim wyniku zapisujemy wyjaśnienia ludzi, więc je zacytuję: „Každy chyba chciał przeczytać, jak i dlaczego zginął reporter wojenny...”, „Należy wam się pochwała, że uczciliście śmierć Milewicza zdjęciami na całej stronie...”, „Główny temat jest dla mnie dziś najważniejszy, bo nie mogę pogodzić się z tym faktem...”, „Strona bardzo czytelna, odpowiednia do tematu...”, „Zdjęcie tak ładnie wyeksponowane, że aż ściska serce...”, „Bardzo ładnie się zachowaliście, oddając całą stronę ku pamięci pana Milewicza...”, „Bardzo dobrze zaprezentowany główny temat...”. W tych pierwszych testach nie mieliśmy ani jednej reakcji podobnej do reakcji niektórych mediów i kolegów, i koleżanek, którzy nas teraz w czambuł potępiają, a że mnie robią jakiegos krwawego, krwiożerczego cynika.

Skąd pańskim zdaniem taka reakcja części środowiska dziennikarskiego?

– Wiele lat spędziłem w Detroit, a tam działający Henry Ford, który miał wiecznie jakichś reporterów na głowie, do-

Po publikacji
zdjęcia zwłok
Waldemara Milewicza
koledzy po fachu
okrzyknęli go
dziennikarską hieną.
Ale zanim zaczniecie
straszyć nim dzieci,
przeczytajcie,
jaki wrażliwy jest
szef „Super Expressu”
MARIUSZ ZIOMECKI

robił się na koniec życia takiej filozofii: *Never explain, never complain* (Nigdy się nie tłumacz i nigdy nie narzekaj).

Nie chciałem, żeby pan narzekał albo się tłumaczył, tylko użył swojej inteligencji po to, żeby mi powiedzieć, co pańskim zdaniem spowodowało taką krytyczną reakcję, te listy pełne oburzenia.

– Im jestem starszy, tym mniej pewnie wypowiadam się na temat intencji ludzkich zachowań. Do mnie zadzwoniła np. dziennikarka z PAP i zadała mi takie pytanie: „Panie redaktorze, dlaczego pan dał to zdjęcie, skoro dzwonił do pana prezes telewizji i prosił, żeby go nie dawać?”. Mnie zamurowało. Czyżby ta koleżanka z PAP miała tak mocno wbite do głowy, że „zdejmuje się” coś na telefon?!

Bez przesady. Zadzwonił przecież pracodawca nieżyjącego już reportera.

– Myśmy przecież nie działali bezmyślnie. Przed podjęciem ostatecznej decyzji, a mieliśmy trzy i pół godziny, omawialiśmy ten problem ze wszystkich stron. Wzięliśmy wtedy pod uwagę chyba wszystkie argumenty.

I każdą ludzką reakcję?

– Nie, nie wiedzieliśmy, jak zareagują ludzie. Nie wiedzieliśmy, jaki będzie wynik sprzedaży, choć oczywiście spodziewaliśmy się gniewu kolegów z telewizji. Natomiast za-

dawaliśmy sobie pytania, które wychodziły poza generalne stwierdzenia typu „to kwestia przyzwyczajenia” czy „smaku”. Myśmy się starali dotrzeć do sedna sprawy. A najważniejsze pytanie jest takie, co to zdjęcie pokazuje, co na nim widać, co ono mówi i jak ja na nie reaguję? Nasi koledzy też mieli to zdjęcie, oglądali je w redakcjach, gdy rozesłał je PAP. Z pewnością wymieniali uwagi, wzruszali się, reagowali na nie emocjonalnie. Wątpię, żeby ci, którzy później tak na nas najechali, odczuwali jakieś obrzydzenie do siebie za to oglądanie. Nie, ich oburzał fakt, że „Super Express” podzielił się tymi zdjęciami z innymi. Że daliśmy zwykłym ludziom szansę zobaczyć, że Milewicz naprawdę umarł.

Czy to wymagało udowodnienia?

– Nieprawdą jest, że napisany news o tym, że ktoś umarł, jest tym samym co zdjęcie. Jeżeli zdjęcie jest poruszające, to pokazuje ten fakt tysiąc razy elokwentniej. Bez tego zdjęcia w publicznym obiegu Waldemar Milewicz by zniknął, po prostu przestałyby się pojawiać jego korespondencje. Teraz, moim zdaniem dzięki temu zdjęciu, ludzie wiedzą, że umarł. Wiedzą, że ginie w tym Iraku. I to odpowiada na następne pytanie...

Którego nie zadałem.

– ...jaki jest sens pokazania tego zdjęcia.

Nie, nie chciałem teraz stawiać takiego pytania. Natomiast ta koncepcja zakłada, że czytelnicy, telewidzowie są istotami dosyć prostackimi.

– Nieprawda. Ludzie, z którymi rozmawiałem o tym zdjęciu, nie są prostakami i reagując na to zdjęcie, wcale nie mieli prostackich reakcji.

Mam na myśli teorię, że trzeba śmierć pokazać na zdjęciu, żeby ją publicznie przypieczętować.

– Czasami to najlepszy sposób.

A może trzeba powiedzieć głośno, że przeciętni czytelnicy gazet są bardzo prosto skonstruowani i dlatego musimy do nich mówić, używając najprostszyc środków?

– Nie, to największe nieporozumienie, które zresztą powiela bez przerwy jeden ze współtwórców „Super Expressu”. Były naczelny gazety próbuje wmawiać opinii publicznej, że sztuka robienia gazety popularnej, jak „Super Express” czy nasz konkurent, polega na epatowaniu i eskalowaniu brutalności. Gdyby na tym to polegało, byłoby wiele takich gazet i każda odnosiłaby gigantyczny sukces. W rzeczywistości zadanie redakcji jest dużo bardziej skomplikowane. A kiedy gazety, także bulwarowe, opowiadają o wojnie, to nie mogą uciec od jej pokazywania. Rozumiał to też Milewicz, który sam pokazywał w telewizji śmierć często i mocno. Bo on dokładnie wiedział, jak to działa i jakie to jest potrzebne. Nie pokażesz wojny bez śmierci, nie pokażesz tragedii bez tragicznego zdjęcia.

A jaki jest pański, osobisty stosunek do śmierci?

– Niedobry. Generalnie nie jestem za tym, że się umiera.

Ale boi się pan śmierci? To jest jakiś rodzaj panicznego lęku?

– Strasznie się bałem śmierci jako nastolatek, podobnie jak dużo młodych osób, między 15. a 22.–23. rokiem życia...

Wtedy się chyba myśli, że jest się nieśmiertelnym.

– A skąd, ma się obsesję śmierci i się uważa, że się nie będzie żyło długo. Dziewczynom opowiada się, że umrzymy młodo itd. Moim zdaniem okres nieśmiertelności to trwa gdzieś od 25. do 40. roku życia. Potem zaczyna się kłopot, koło pięćdziesiątki jest kryzys.

A ile ma pan teraz lat?

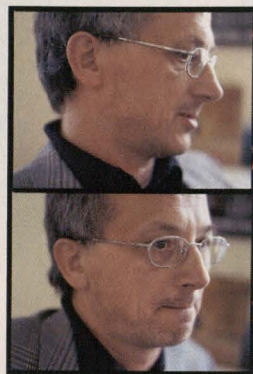
– 52. Czasem zastanawiam się, czy kiedy już przyjdzie czas, kiedy już będę w poczekalni, czy wtedy jakiś miłosierny mechanizm psychologiczny osłabi ten lęk, czy też będę się bał. Zdarza mi się zastanawiać, czy zjedzę z tego świata pogodzony i z ulgą.

Ma pan już wymyślone swoje ostatnie zdanie?

– Nie, nigdy o tym nie myślałem.

A co dla pana oznacza sformułowanie, które często pojawia się w protestach przeciwko tamtej okładce „Super Ekspresu” – „szacunek dla śmierci”, „tabu śmierci”?

– Myślę, że to samo co dla tych protestujących. Nasze zdjęcie nie naruszyło tabu śmierci i nie jest zdjęciem skandalicznym. Uważam, że ludzie zmarli są w pewien sposób bezbronni, i wokół tej tezy obraca się też krytyka wobec nas: że wykorzystaliśmy bezbronność kolegi Milewicza i w celach komercyjnych puściliśmy to zdjęcie. Problem w tym, że tak nie było. Na tym zdjęciu jest niesamowity spokój. Jego bohater wygląda normalnie, ciało jest bez większych obrażeń. Wizerunek ma w sobie jakąś straszliwą finalność, a zarazem moim zdaniem nie narusza prywatności osoby zmarłej. Szu-



Nie pokaże się wojny
bez śmierci,
nie pokaże tragedii
bez tragicznego zdjęcia.
Nasza fotografia
nie narusza tabu śmierci i nie jest skandalem

kałem przez wiele godzin powodów, żeby to zdjęcie zatrzymać. Mieliśmy gotową inną okładkę, „bezpieczną”. Ale ja nie znalazłem powodu, żeby tego zdjęcia nie dać, nawet czułem się w obowiązku, także wobec Milewicza, żeby je dać. Nie chcę rozwijać tego wątku, bo będzie brzmiał jak cynik, który się broni, ale dla mnie to był jego ostatni reportaż. Ja go nie mogłem położyć na półkę, nie znalazłem w sobie tej siły.

Wróćmy do „naruszenia prywatności osoby zmarłej”. Co byłoby pańskim zdaniem takim naruszeniem?

– Czy wykorzystaniem bezbronności? Najbardziej oczywista rzecz – jeżeli wygląda się po śmierci tak, że żaden zdrowo myślący człowiek nie chciałby, żeby go takim oglądano. Mnie pytano, czy ja bym sobie życzył, żeby opublikowano moje pośmiertne zdjęcie. Jeżeli byłby to news, a moje zdjęcie po śmierci w niczym by mnie nie umniejszało, nie ubliżało...

Ale jakie by umniejszało, ubliżało?

– No, nie wiem. Gdybym miał na przykład rozerwaną głowę...

Zaraz, zaraz, ono by też pokazywało samą prawdę, a gdyby pańska śmierć była newsem z Iraku, to też by wstrząsnęła czytelnikiem, a chcemy wstrząsać, chcemy, żeby ludzie zaczęli myśleć o Iraku!

– Mówimy o intymności, o naruszeniu bezbronności zmarłego, więc ja próbuję odpowiedzieć na pytanie, czym się różni martwy człowiek wyglądający po prostu normalnie i ofiara jakiegoś wybuchu, która wygląda strasznie. Gdybyśmy wrócili do sympatycznego przykładu z moim hipotetycznym zdjęciem pośmiertnym, to ja nie chciałbym, żeby ludzie oglądali moje zdjęcie pośmiertne, na którym wyglądałbym strasznie.

Niektórzy zarzucali też waszej okładce, że w jakiś sposób zbezcześciła zmarłego. Pan ma jakąś swoją definicję zbezczeszczenia?

– Ponieważ ja się nie zajmuję zbezczeszczeniem, nie mam gotowej definicji w tej sprawie. Zawsze staram się, żeby materiał był po ludzku w porządku. Żeby nie gubił newsa. Kiedy trzeba, muszę wyważać wartości. My od samego początku wiedzieliśmy, że tym zdjęciem naruszamy tabu, które istnieje w kulturze, że trzeba ostrożnie postępować ze zdjęciami ludzi, którzy nie żyją.

Jestem gotów się spierać i słuchać krytyków, którzy rozumiejąc nasz zawód i nie dyskwalifikując z góry naszej decyzji, powiedzieliby, że powód opublikowania tego zdjęcia był ich zdaniem niedostateczny; że tabu jest ważniejsze. Mam jednak wrażenie, że tej dyskusji nie ma, że mamy do czynienia po prostu z próbą zakrzyczenia nas. Nawet pojawia się taka kuriozalna perspektywa, że w wyniku tych gromkich krzyków przez chwilę nikt nie będzie dawał żadnych ostrych zdjęć. Wszyscy będziemy redagowali nasze tytuły w stylu „Tygodnika Powszechnego”. A ja nie chcę mediów, które będą pokazywać zniekształcony obraz świata, bo to jest niebezpieczne. My teraz mówimy dużo o szkodach duchowych i innych, jakie mogą wyniknąć z publikowania newsa i prawdy. Tymczasem mnie bardziej niepokoją szkody wynikające z niepublikowania informacji, które – jako że mamy do czynienia z wojną – będą dużo większe.

Pańscy krytycy zawsze powiedzą: A jakaż to szkoda by była, gdyby nie było w publicznym obiegu zdjęcia martwe-

go Milewicza, przecież byśmy o jego śmierci napisali w swoich gazetach?

– My, Polacy, „lubim sielanki” i mamy skłonność do wykreślenia części rzeczywistości.

Rozmawiałem z jednym z sygnatariuszy listu protestującego przeciw waszej okładce, z Jackiem Żakowskim. Na mój argument, że takie listy są daleko posuniętą hipokryzją, bo ich media-sygnatariusze na co dzień żyją z różnego rodzaju ofiar, powiedział mi, że głównym powodem, dla którego się pod tym podpisał, jest jego przekonanie, że media za daleko zabrnęły, że trzeba zacząć o tym dyskutować i może wypchnąć poza sferę publiczną tego rodzaju tematy, takie zdjęcia.

– Moi czytelnicy...

Oni kupią to, co pan wydrukuje.

– Nonsens. Wizja redaktorów demiurgów, za którymi idą posłuszni ludzie, jest kompletnie fałszywa. Ludzie zawsze mają swój własny rozum. Mnie rozśmieszyło do łez, jak nasz znakomity kolega Adam Michnik zwierzył się kiedyś, jakim odkryciem było dla nich w „Gazecie Wyborczej”, że są w stanie obalić każdego ministra, ale już nie zapewnić miejsca w Sejmie Unii Wolności. Przy całym szacunku do Jacka Żakowskiego (choć w sprawie Milewicza niektórych sformułowań używa za szybko i za lekko) odnoszę wrażenie, że on żyje we własnym świecie.

On chciałby ten świat, szczególnie mediów, widzieć innym.

– Mój świat też byłby dobrotliwy. Gdybym miał moc kreowania świata takiego, jaki bym chciał, to myślę, że Jacek Żakowski czułby się w nim dobrze. Niestety, problem polega na tym, że media w ogóle – a prasa typu „Super Express”, czyli gazety bulwarowe, w szczególności – słabo się nadają do kształtowania świata. Jako narzędzia wychowawcze zawodzą kompletnie. I to jest ograniczenie, z którym musimy się pogodzić. Moim zdaniem „Polityka” Jacka Żakowskiego też bardzo niewiele zmienia i naprawia świat.

Pańskim zdaniem cofnięcie się do takiego świata, w którym pewnych rzeczy nie pokazujemy, jest niemożliwe?

– Ja bym nie chciał takiego świata. Mimo to, że wyszedłem z filmu „Braveheart” przed końcem, bo nie mogłem patrzeć na scenę egzekucji bohatera. Choć to był tylko film. Ja się boję takich scen, ale absolutnie bym nie chciał, żeby media zaczęły tworzyć jakąś odrealnioną wizję, jakąś wioskę potiomkinowską, nie z tego świata. Poza tym jako konsument, a nawet jako redaktor, mam pewien wybór, mogę na pewne rzeczy nie patrzeć.

A może trzeba publicznie powiedzieć, że pewne media, w tym „Super Express”, są rozrywką, a nie powinno się do nich przykładać miary jak do BBC?

– Nie, ja bym się bronił przed taką kategoryzacją. Nasze dziennikarstwo śledcze, mówię o „Super Expressie”, od wielu lat, a nie tylko za mojej kadencji, jest jednym z najlepszych w kraju, poza „Rzeczpospolitą” i „Wyborczą”. Właśnie te trzy tytuły ujawniają najczęściej skandali, nadużyć władzy i innych rzeczy, odegrały ogromną rolę informacyjną. Z drugiej strony „Super Express” ma rzeczywiście cechy tabloidowe: dajemy rozebraną panienkę przy pogodzie, różnego rodzaju gry i zabawy z politykami, jest pewna emfaza w tytułach, specyficzny miks tematów, staramy się obok tematu smutnego mieć wesoły, obok poważnego lekki. Ale czy tym samym jesteśmy mniej ważną, prawdziwą gazetą?

ROZMAWIAŁ PIOTR NAJSZ TUB
WARSZAWA, 14 MAJA 2004 R.

Czułość od dziecka



26 maja Dzień Matki

Nie ma jak u mamy. Tyle serdecznej czułości, ciepła opiekuńczych rąk i wyrozumiałości nie doświadcza się nigdy więcej. Nawet, jeśli dzieci prowadzą samodzielne życie, wzajemne uczucia rzadko słabną. Może mamy mniej sposobności, żeby je sobie okazywać, ale zawsze o nich pamiętamy, bo nigdy nie przestaniemy być dziećmi swoich rodziców.

Vitalność na każdy dzień

Podaruj Mamie Geriavit Pharmaton

Dzięki starannie dobranej kompozycji witamin, mikroelementów i wyjątkowego wyciągu z żerń-szenia G115, który usprawnia wykorzystywanie tlenu przez organizm, Geriavit Pharmaton pomaga zachować sprawność fizyczną i psychiczną oraz poprawia vitalność. Skuteczność działania Geriavitu Pharmaton potwierdziły badania kliniczne przeprowadzone w ciągu ostatnich trzydziestu lat.

Produkt złożony firmy Boehringer Ingelheim. Postać farmaceutyczna: 30, 100 kapsulek. Wskazania terapeutyczne do stosowania: stany przemęczenia, obniżona zdolność koncentracji i sprawność umysłowa, niedobory witamin i składników mineralnych związane z dietą lub wiekiem, wspomagająco w okresach rekonwalescencji.

Przed użyciem zapoznaj się z ulotką, która zawiera wskazania, przeciwwskazania, dane dotyczące działań niepożądanych i dawkowanie oraz informacje dotyczące stosowania produktu leczniczego bądź skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą.

MAREK RYBARCZYK

WYKASTROWANA TOŻSAMOŚĆ



Co zrobić z malutkim chłopcem, który stracił przyrodzenie? Zmienić go w dziewczynkę. Przez niemal 30 lat eksperyment doktora Money przedstawiano jako wybitne osiągnięcie nauki. Dopóki trzy tygodnie temu jego ofiara nie popełniła samobójstwa

Rodzice Bruce'a Reimera 38 lat temu poddali synka obrzezaniu. Błąd lekarza i awaria aparatu do elektrokoagulacji w szpitalu w kanadyjskim Winnipeg spowodowały okaleczenie dziecka.

Poparzonego członka nie dało się ocalić. W latach 60. chirurgia rekonstrukcyjna była w powijakach, a lekarze nie umieli jeszcze odbudowywać narządów płciowych. Ron i Janet Reimerowie przeżywali dramat. Bali się, że Bruce stanie się obiektem drwin i nie

będzie mógł normalnie dojrzewać tak jak jego brat bliźniak Brian.

BRUCE, CZYLI BRENDA

Kilka miesięcy po feralnym zabiegu Reimerowie zobaczyli w telewizji wywiad z profesorem Johnem Moneyem. Psycholog z Johns Hopkins University w Baltimore głosił modną wówczas teorię, że płeć człowieka nie jest determinowana w łonie matki.

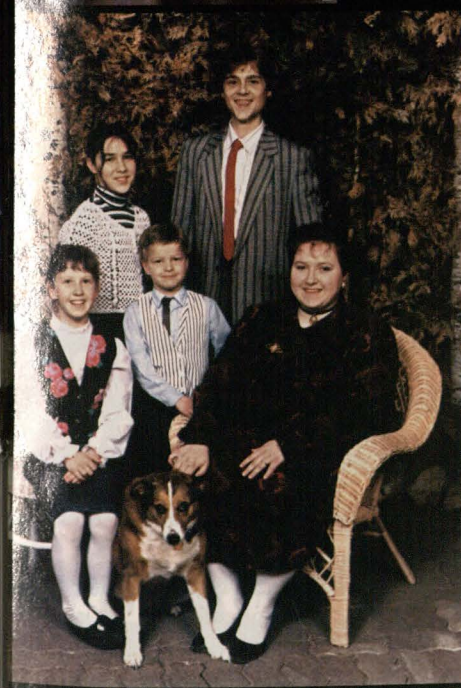
Money twierdził, że jesteście „białymi kartami zapisywanymi przez społeczeństwo”,

a o płci decydują wychowanie i hormony. W swoją szansę uwierzyła także matka Bruce'a Janet Reimer. Pobieгла na pocztę z listem do profesora. Odpowiedź nadeszła niespodziewanie szybko. „Money mówił, że dzieci przypuszczalnie rodzą się neutralne, że można zmienić ich płeć. Wierzyłam mu. Był dla mnie bogiem” – wspominała potem Janet Reimer w rozmowie z Johnem Colapinto, autorem wydanej w 2000 roku książki.

Z miłości do Bruce'a jego rodzice postanowili, że będzie dziewczynką. 3 lipca 1967 r.



Obok: Bliźniaki Bruce i Brian na kolanach matki, Janet Reimer. Poniżej: Bruce jako Brenda z bratem. Obaj popełnili samobójstwo



Powyżej: David Reimer ze swoją żoną Jane i trojgiem pasierbów. Ich związek rozpadł się przed dwoma laty. Podobno przez anatomię. Po lewej: Bruce, Brenda czy David? Ofiara eksperymentu profesora Johna Moneya zmieniła imiona, ale nigdy nie odzyskała spokoju

nowany teorią społecznej determinacji płci. Chciał dowieść naukowo, że z chłopców można zrobić dziewczynki. By tego dokonać, potrzebował tylko osobników z identycznym materiałem genetycznym. Jednojąkowe bliźnięta Bruce i Brian Reimerowie idealnie się do tego nadawały.

Profesor Money był kontrowersyjnym naukowcem. Sam nazywał się „misjonarzem seksu” – propagował wolne związki i biseksualne orgie. Przy klinice uniwersyteckiej w Baltimore założył Ośrodek Tożsamości Płciowej. Prócz Reimerów Money prowadził także innych chłopców z uszkodzeniami genitaliów, których rodzice wychowali za namową psychologów jako dziewczynki.

Przez pierwszych kilka lat eksperyment ze zmianą płci Bruce'a wyglądał na udany. Na fotografiach rodzinnych z końca lat 60. widać słodką dziewczynkę Brendę i jej brata Briana. „Ten dramatyczny przypadek dowodzi prawdziwości argumentów ruchu wyzwolenia kobiet. Męskie i żeńskie wzorce zachowania można zmieniać” – zachłystywał się tygodnik „Time”. Kobiety i mężczyźni byli równi, więc musieli być także jednakowi.

W rzeczywistości życie Brendy było pasmem cierpień. Dwuletni chłopczyk ubierany w sukienki od początku się buntował. Matka dobrze pamięta moment, kiedy podarł dziewczęce ubrania. Zamiast lalek i gry w klasy Brenda wolala ganiać za piłką. W szkole oddawała moc na stojąco. Robiła to na boisku, bo inne dzieci wyrzucały ją z toalet. Brenda nie chciała się bawić z koleżankami. Kiedy koledzy ciągnęli ją za włosy, potrafiła oddać. Miała męski, tubalny głos. Mimo zmiany szkół „dziewczynka” uczyła się kiepsko, choć jej brat Brian odnosił sukcesy. Rozwijał się bez problemów.

ORĘŻ DLA FEMINISTEK

W grudniu 1972 roku, kiedy Brenda repetoowała pierwszą klasę, profesor John Money tryumfował. W waszyngtońskiej siedzibie Amerykańskiego Towarzystwa Nauk ujawnił historię i wyniki eksperymentu. Oklaskiwało go tysiąc naukowców i studentów. Wykładu słuchały urzeczone feministki.

Profesor dowodził, że „przypadek John/Joan” – jak nazywano eksperyment, by zachować anonimowość Reimerów – dowodzi płynności granic między płciami. Przekonywał, że Bruce chętnie bawi się lalkami, a jego brat Brian interesuje się samochodami. Oboje w zależności od wychowania mają różne upodobania i gusty. To doświadczenia i otoczenie, a nie biologia, decydują o płci.

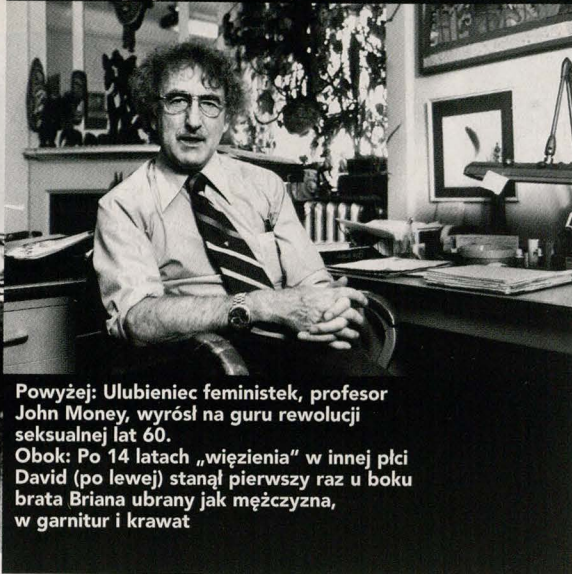
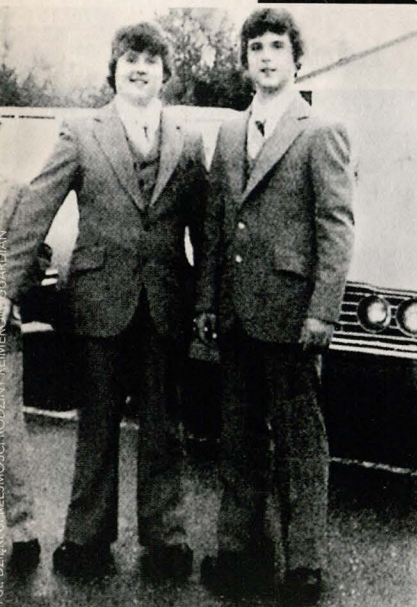
usunięto chłopcu jądra i zbudowano prowizoryczne wejście do pochwy. Miał wtedy 22 miesiące. Rodzicom Bruce'a Money nakazał zachowanie ścisłej tajemnicy, zwłaszcza wobec syna.

Od tej pory Bruce był Brendą. Ron i Janet Reimerowie nie zdawali sobie sprawy z tego, że wpadli w ręce szarlatana. Zmiana płci była ryzykownym eksperymentem. W latach 60. chłopcom pozbawionym członków na skutek niedorozwoju lub okaleczenia pozwalano zazwyczaj dorosnąć i zdecydować o ewentualnej zmianie płci. Większość dojrzewała bez problemów i nie zmieniała płci.

SIKANIE NA STOJĄCO

Money dobrze o tym wiedział, bo napisał pracę doktorską o chłopcach z uszkodzeniami genitaliów. Od lat 50. był jednak zafascy-

**Profesor Money zawdzięczał swoją sławę bliźniakom.
Prawdę o eksperymencie zataił. Przez lata ci,
którzy ją znali, woleli milczeć**



Powyżej: Ulubieniec feministek, profesor John Money, wyrósł na guru rewolucji seksualnej lat 60.
Obok: Po 14 latach „wizytacji” w innej płci David (po lewej) stanął pierwszy raz u boku brata Briana ubrany jak mężczyzna, w garnitur i krawat

Fot. TIME LIFE/FFM

Money zrobił międzynarodową karierę. Jego badania uznano za fundamentalne, fetowali go także inni „postępowi” naukowcy. W latach 50. i 60. czynniki genetyczne kojarzyły się z rasizmem. W 1973 roku profesor opublikował bestseller „Kobieta i mężczyzna, chłopiec i dziewczyna”.

Z dala od modnych naukowych konferencji losy „królika doświadczalnego” Brendy układały się fatalnie. Rosły jej typowo męskie mięśnie. Załamywał się głos. 11-letnia „dziewczynka” buntowała się. Wypływała do toalety tabletki hormonalne na wzrost piersi, nie chciała słyszeć o budowie pochwy, wreszcie próbowała popełnić samobójstwo.

Profesor Money poddał Brendę i Briana terapii szokowej. Pokazywał bliźniakom fotografie obnażonych kobiet i mężczyzn. Wykrzykiwał wulgarne nazwy narządów płciowych, kazał dzieciom paradować nago i wypytywał je o masturbację. Zainscenizował skandaliczną próbę kontaktu seksualnego: kazał Brendzie przyjąć pozycję na czworakach, a jej bratu zbliżyć się z tyłu, dotykając ją kroczem. Brenda i Brian wracali z tej terapii coraz bardziej zdesperowani. W końcu Money pozostawił ich własnemu losowi.

Równolegle Brenda brała także udział w sesjach psychiatrycznych z terapeutą Keithem Sigmundsonem. Po jednej z nich, kiedy miała 15 lat, ojciec za radą lekarza zamiast do domu poszedł z nią do kawiarni. Kiedy wyjawiał jej rodzinną tajemnicę, Brenda zareagowała gniewem i zdumieniem. Wkrótce jednak odczuła wielką ulgę. – Zrozumiałem, że nie jestem szaleńcem – wspominała potem.

CHCĘ BYĆ MĘŻCZYZNĄ

Kilka tygodni później Brenda oświadczyła stanowczo, że chce być mężczyzną. Był rok

1980. Od czasu tragicznej pomyłki przy odcieciu chirurgii poczyniła wielkie postępy. Brenda zmieniła imię na David. Chłopakowi usunięto piersi. Odbudowano członek. Jego rekonstrukcja dawała Davidowi szansę na podjęcie życia seksualnego. W wieku 23 lat zakochał się na zabój i ożenił z Jane Fontane, samotną matką wychowującą trójkę dzieci. – Nie obchodziło mnie, co ma między nogami. Wciąż wysyłał mi kwiaty i pisał do mnie kartki – mówiła Jane po dziewięciu latach małżeństwa.

PROFESOR ZDEMASKOWANY

Profesor Money przeszedł na spokojną, zasłużoną emeryturę. I dla niego jednak nadciągała burza. Pod koniec lat 90. Milton Diamond, profesor Uniwersytetu Hawajskiego, po wielokrotnych ogłoszeniach w czasopiśmie specjalistycznych odnalazł Keitha Sigmundsona. Przez lata psychiatra Brendy wołał milczeć o prawdziwej historii eksperymentu, niż narazić się Moneyowi.

W 1997 roku Diamond i Sigmundson opublikowali miażdżące studium o konsekwencjach transformacji płci. „To powinno być ostateczne ostrzeżenie. W naszych chromosomach i w łonie są niezmiennie elementy. Reimer nie przystosował się do bycia dziewczynką” – argumentował Sigmundson.

Dziś większość naukowców jest przekonana, że seksualność określa nie tyle socjalizacja, ile biologia. Już w szóstym tygodniu życia płodowego przyszłego chłopca uruchamia się gen odpowiedzialny za płeć. Wskutek tego wykształcają się jądra i rozpoczyna produkcja testosteronu, który dalej dba o rozwój męskich cech płodu.

W latach 90. inny naukowiec zrewidował przypadki prowadzone przez Moneya w Ośro-

dku Tożsamości Płciowej. Spośród 25 chłopców wychowywanych jako dziewczynki większość, podobnie jak Bruce, powróciła do swej pierwotnej płci.

BOHATER BEZ SIUSIAKA

Prawdziwy skandal wybuchł dopiero w roku 2000. Rozżalony David opowiedział swoją historię dziennikarzowi Johnowi Colapinto. – Byłem zdziwiony, że po moim przypadku takie eksperymenty są powtarzane – wyjaśniał David. – Ktoś uznał, że nie jestem mężczyzną, bo nie miałem członka. Czy kobiety, ofiary raka, przestają być kobietami, kiedy amputuje się im piersi? – pytał.

Z rozmów Davida z dziennikarzem narodziła się wstrząsająca książka pod tytułem „Tak jak stworzyła go natura. Chłopak wychowany na dziewczynę”. David zarobił na niej 65 tysięcy dolarów, zaczął też opowiadać swoją historię w telewizji, między innymi w „Oprah Winfrey Show”.

Równowagi psychicznej nie odzyskał już nigdy. 14 lat przymusowego życia we wcieleniu kobiety nie dawało mu spokoju. Dwa lata temu Davida opuściła żona. Według przyjaciół przyczyną separacji była jego anatomia. Cierpiał także jego brat bliźniak, Brian. W 2002 roku chory na schizofrenię Brian popełnił samobójstwo, połykając paczkę leków.

Przed ostatnie kilkanaście miesięcy David codziennie jeździł na jego grób. Z czasem stracił pracę w rzeźni, wpadł w depresję. Resztki honorariów przegrał niedawno na giełdzie. W ostatnich miesiącach lubił chodzić na pchle targi. Na zakupy pożyczali mu koledzy z klubu golfowego. 4 maja 2004 r. popełnił samobójstwo.

– Był bohaterem. Pokazał tym wszystkim doktorom. Nie potrafił się z tego wypłatać. To nabrzmiewało w nim bez końca – mówiła po pogrzebie w Winnipeg matka Davida Reimera. Ojciec nie był w stanie wydobyć z siebie ani słowa.

Z innych zupełnie przyczyn milczy 83-letni dziś Money. Nie odpowiedział na nasze e-maile. Chcielibyśmy spytać tylko o jedno: jak po latach ocenia swój eksperyment jako człowiek? Profesor John Money nadal figuruje na liście pracowników instytutu psychiatrii Johns Hopkins University. Ośrodek Tożsamości Płciowej rozwiązano.

MAREK RYBARCZYK

RMF FM

POSTY
ZAPRASZA

Koncert
Garou

TERMINY KONCERTÓW:

29.05	Katowice	- „SPODEK”
30.05	Wrocław	- „ORBITA”
01.06	Poznań	- „ARENA”
02.06	Gdańsk	- „OLIVIA”
04.06	Warszawa	- „TORWAR”

BILETY DO KUPIENIA W SIECI: 
W SIECI BILETERIA EMPIK I SKLEPACH MUZYCZNYCH

SZCZEGÓŁY NA STRONIE: **WWW.GAROU.INTERIA.PL**





JAK SZUKAŁEM ROBOTY W IRLANDII

**Irlandia otworzyła przed Polakami swój rynek pracy.
Ale dublińczycy niechętnie otwierają przed nami drzwi do
swoich firm**

MARCIN FABJAŃSKI

30

KWIETNIA 2004

Pogranicznik na lotnisku układa usta w radosny uśmiech: – Co ci będę stawiał pieczętkę. Od jutra i tak jesteśmy jednym krajem.

Taksówkarz opowiada, jak dobrze im teraz w Irlandii, nam na pewno też tak będzie. I to niedługo.

W nocy fajerwerki, jakich Dublin nie widział. Na masztach nad rzeką Liffey flagi nowych członków wspólnoty. Biało-czerwona tuż koło mojego hotelu na Parliament Street, w samym sercu miasta. Hotel Bridge House – dwie gwiazdki, 60 euro za dobę, wielkie metalowe łóżko, wytarty dywan. Idealna baza do wypadów po pracę.

SOBOTA, 1 MAJA

Pierwszy roboczy dzień to wtorek. Działać trzeba już. W wielkiej księgarni na Grafton Street brodaty okularnik za ladą odradza szukanie pracy w tym miejscu. – Możesz zostawić CV – mówi. – Prędej czy później przyjmą cię do księgarni. Ale nie radzę. Mama kasa, 1200 miesięcznie, a wynajęcie mieszkania to okrągły „tauzenek”. Utrzymuje mnie kobieta.

W biurze bukmacherskim Boyle-sports nie lepiej. Zwabia mnie wielki plakat – szukają pracowników, oferują luźną atmosferę pracy w klimatyzowanym wnętrzu. Ale płacą słabo.

Kobieta przy kasie: – Na dzień dobry jako kasjer dostaniesz siedem i pół euro za godzinę. Musisz wyglądać sympatycznie – lustruje mnie wzrokiem. – I umieć szybko przeliczać banknoty.

Nie biorę nawet karty zgłoszenia do pracy. I tak nie umiem szybko przeliczać.

Za to jestem dziennikarzem. A dziennikarz w Irlandii zarabia przynajmniej 30 tysięcy euro rocznie. Peter Murtagh, redaktor działu zagranicznego najważniejszej irlandzkiej gazety „The Irish Times”, uprzejmie informuje przez telefon na portierni: – Może będziemy potrzebować człowieka, żeby pisał o nowych członkach Unii. Bądźmy w kontakcie.

Zostawiam u portiera CV, adres e-mailowy, numer komórki, telefon do hotelu i zapewnienie, że będę na każde wezwanie. Peter Murtagh się nie odezwie.

NIEDZIELA, 2 MAJA

Na malowniczych uliczkach Dublina antyglobaliści tłuką się z policją. Rozpo-

znaję teren, drukuję CV w kafejce internetowej (dwa euro za godzinę przy komputerze).

Miasto składa się głównie z pubów, biur bukmacherskich i pośrednictwa pracy. W biznesie szukania pracy dla innych pracuje w Irlandii na pełnych etatach siedem i pół tysiąca ludzi. Niestety, do wtorku mają wolne.

PONIEDZIAŁEK, 3 MAJA

Od czegoś są jednak kumple z liceum. Jarka Płacheckiego namierzyłem przez Internet. Nie widzieliśmy się 15 lat. Zarządza restauracją Supermac's – irlandzkim McDonalodem.

Cztery lata temu w „Gazecie Wyborczej” znalazł ogłoszenie o pracy dla menedżera w Irlandii, odpowiedział i multipleks w Warszawie zamienił na sklep z salą do bilarda w Dublinie (dopiero ostatnio przeniósł się do Supermac's). Zarabia tyle co w Polsce, ale za to ma mniej stresu.

– Tu nie ma zwierzęcej konkurencji, ale system pracy jest bardziej bezwzględny. 15 osób robi to samo co 80 w Polsce. Mam pod sobą ludzi z całego świata, z wyjątkiem Irlandczyków, bo oni nie przyjdą do pracy na siódmą rano. Irlandzcy menedżerowie też są inni niż nasi, bardziej wy-luzowani.

W „Irish Timesie” znajduję tekst, który wyjaśnia luzactwo Irlandczyków. Badania wykazały, że są bardziej pewni swoich posad niż inni Europejczycy. Tylko 16 procent z nich zakłada możliwość, że zostaną wylani z pracy w ciągu najbliższego roku.

Jarek Płachecki awansuje, ale warunkami pracy wcale się nie zachwyca. Dostał plastikowe krzesło, metalowe biurko bez szuflad i pokój bez ogrzewania.

– Załatwisz mi jakąś pracę? – pytam jak kolega z klasy.

– Najwyżej przy robieniu kanapek: 6,35 brutto za godzinę z prawem do małego zestawu i coca-coli dziennie. Musisz się decydować już, bo ciągle przychodzą Polacy z CV.

WTOREK, 4 MAJA

Biuro FAS (irlandzkie pośrednictwo pracy) wygląda jak obietnica. Ciepło, przytulnie, darmowy telefon, komputery wypływają oferty pracy. Para Polaków przegląda oferty na ekranie.

Mary, pracownica FAS, wybija mi z głowy pracę nauczyciela: – Belfer w podstawówce musi znać gaelic, staroirlandzki.

Może to dobrze – irlandzcy nauczyciele masowo załamują się nerwowo i biorą zwolnienia od psychiatrów.

Są jeszcze uniwersytety. W CV mam wpisany doktorat z filozofii. Sekretarka instytutu filozofii Trinity College patrzy na mnie z mieszaniną współczucia i rozbawienia: – Nie ma pan szans. To mały kraj, nie potrzebujemy zbyt wielu filozofów.

Wizyta na uniwerku i tak się opłaca. Znajduję ogłoszenie na tablicy. Tom i John zatrudnią kierowców rikszy. Pedałując, można zarobić nawet 150 euro za sześć godzin. Szkoda, że



Fot. PAUL HAIGNEY DLA „PRZEKRÓJU” (3)



W agencji pośrednictwa pracy Reed nie ma zajęcia dla naszych rodaków

Tłumy Polaków załazy całe Wyspy Brytyjskie. Na zdjęciu obok: Londyn



Jedną z restauracji Supermac's od kilku lat zarządza Polak

Napisy „Pracownicy poszukiwani” są coraz rzadsze w Dublinie

– Tu odbywa się naturalna selekcja. Mają po stu ludzi na jedno miejsce. Można składać CV do usranej śmierci



Fot. PAUL HAIGNEY DLA „PRZEKRÓJ” (2)

numer Toma jest nieczynny, a Johna okazuje się faksem.

W agencji Acreative potrzebują tylko finansistów. W Graftonie (ma filię w Polsce) – księgowych. W B.B.T. grzecznie wybijają mi z głowy wymarzony zawód pracownika społecznego. Nie mam uprawnień. W agencji Atlas radzą, żebym znalazł pracę w przemyśle (można przebierać krewetki na statkach) i nauczył się gaelickiego (podobno jest łatwiejszy niż mandaryński).

W agencji Reed mówią, że ze 20 ludzi szukało w ostatnich dniach pracy z językiem polskim i na pewno takiej nie znajdzie. Wierzę im – w FAS słyszałem wszystkie języki ze słowiańskiej rodziny.

Na sklepach i restauracjach czytam napisy: „Prosimy nie wchodzić z CV. Nie szukamy pracowników”. Wczoraj ich jeszcze nie było.

ŚRODA, 5 MAJA

Marek (23 lata), Marcin (23) i Stefan (46 lat) razem szukają szczęścia. Marcin w Krakowie zakładał okna przez pół roku, ale firma padła. A w gazetach pisali, że w Irlandii pracy w bród.

– Gdybym wiedział, jak jest, nie przyjeżdżałbym tu – mówi z trwogą w głosie.

Dobrze, że chociaż spotkał Stefana i się go uczył, bo z jego angielskim krucha. Pieniądzy starczy mu na trzy tygodnie – nie znajdzie pracy, wróci. Nie wie tylko za co, bo bilet kupił w jedną stronę. Stefan angielskiego nauczył się pod ziemią. W kopalni diamentów w RPA. Wrócił do Polski, kasę wydał i znowu ruszył w świat za chlebem. Minę ma nietęgą. – Powiedzieli, że nie nadają się na farmę. Za słabe kwalifikacje. Mogłem się nie przyznawać, że krowy doilem tylko ręcznie.

Zrozumiałem – wpadłem w tłum polskich nomadów krążących od agencji do agencji. Polują w stadzie. Przewodzi ten, który zna angielski.

Hostel Chelsea. W środku 20 Polaków. Na Gardiner Street podobnych hosteli jest kilka.

– Polacy mieszkają po sześciu, płacą po 18 euro za dobę – mówi Hanah z recepcji w Chelsea. – Nazywamy ich polską mafią, zaczęli przyjeżdżać w kwietniu. Niektórzy już wpadają w depresję.

Kilku rodaków (20–25 lat) siedzi smutnie na krzesłach w pokoju ogólnym, dwóch kłóci się zawzięcie, kto powinien zapłacić za śniadanie. Leszek (pracował kiedyś w Austrii, więc zna te klimaty) patrzy na nich ze współczuciem. – Tu się odbywa naturalna selekcja. Tylko najwytrwalsi znajdą pracę. Tym nie daję dużych szans – wskazuje głową na smutnych.

Adam (29 lat) był już nawet na rozmowie kwalifikacyjnej. Właściciele gospodarstwa zachwycali się nim: młody, silny, kawaler i jeździł traktorem. Następnego dnia zadzwonili, że ma za niskie kwalifikacje. Dziewięć euro za godzinę rozwiało się jak dym z papierosa. – O kant dupy to rozbić – złości się Adam. – Mają po stu ludzi na jedno miejsce. Można składać CV do usranej śmierci.

CZWARTEK, 6 MAJA

Baggot Street. Rzędy domów o kolorowych drzwiach. Na czynsz stać tu tylko kancelarie prawnicze, firmy konsultingowe i dentystów. Pod Burger Kingiem w śpiworze jeszcze wczoraj spał jeden człowiek o słowiańskich rysach. Dzisiaj oczy przeciera trzech (zbliża się dziewiąta).

Postanawiam: wejdę do pierwszej firmy, która ma coś wspólnego z dziennikarstwem albo filozofią. 10 metrów dalej zatrzymuje mnie szyld „Media World, Ltd”. Brzmi dobrze.

– Nie mamy roboty – oznajmia najchudszy z bladych mężczyzn przy komputerach. – Ale wiesz co, zadzwoń do Gabi Thesing, naczelnej „Business & Finance”, to bardzo rozsądna kobieta.

– Dobra, spotkajmy się – Gabi okazuje się litościwa. – W pubie Thomas Reed, koło twojego hotelu.

Biorę kilkenny, Gabi piwo bezalkoholowe. – Nie zatrudnię nikogo przez najbliższych parę lat. A ciebie nigdy, bo nie jesteś specjalistą od biznesu. W Dublinie nie znajdziesz od razu pracy w dziennikarstwie – mówi.

A więc dobrze zrobiłem, że zamówiłem piwo z alkoholem.

Gabi radzi: – Musisz wziąć jakąkolwiek pracę i wysłać teksty do gazet.

I zamawia tekst na 650 słów o tym, jak Philips przeniósł księgownię z Dublina do Łodzi. Zapłaci parę stów. A jeśli będzie w porządku, zamówi kolejne. Radzi iść do Radia Newstalk 106, bo ta stacja ma audycję program. Daje namiary na producentkę Victorię Enright, dopija produkt piwopodobny i wychodzi.

Recepcjonistka w hotelu ma jedną dobrą wiadomość: – Dzwonił Enzo. Zostawił numer telefonu.

Kim do diabła jest Enzo? Może być kimkolwiek – Dublin jest już zapchany moim życiorysem z numerem telefonu do hotelu. Mam nadzieję, że jest kimś bardzo bogatym.

PIĄTEK, 7 MAJA

– Jak to zły numer? Żartujesz, prawda?

– No, nie ma takiego – tłumaczy recepcjonistka i odkłada słuchawkę. Nigdy nie dowiem się, kim jest Enzo.

W Radiu Newstalk 106 Victoria Enright jest pod wrażeniem, że po 11 września 2001 r. nadawałem korespondencje z Nowego Jorku. – Na początek damy ci pewnie coś łatwego, przegląd prasy, potem zobaczymy. Ale z etatem nie jest łatwo. Daj znać, jak wrócisz do Dublina.

To już coś. Muszę tylko znaleźć jakąś prostą robotkę na początek i walczyć o to radio. Maszyna szczęścia w biurze FAS burczy i wypływa z siebie kwit z prostą robotką: kandydat musi odkurzać, ślać łóżka i sprzątać w hostelu. 7,62 euro za godzinę i darmowy, choć lekki posiłek. Dzwonię.

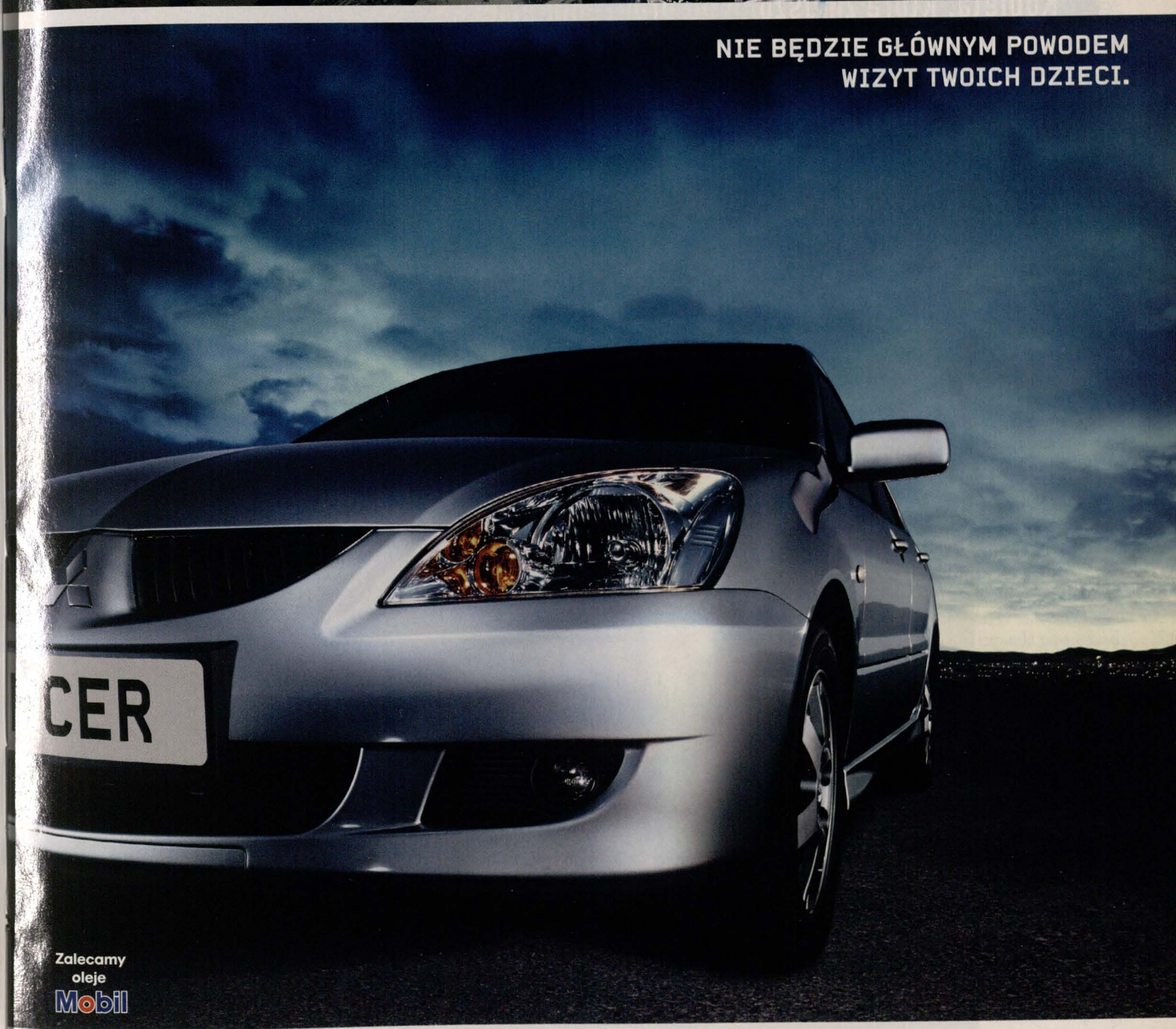
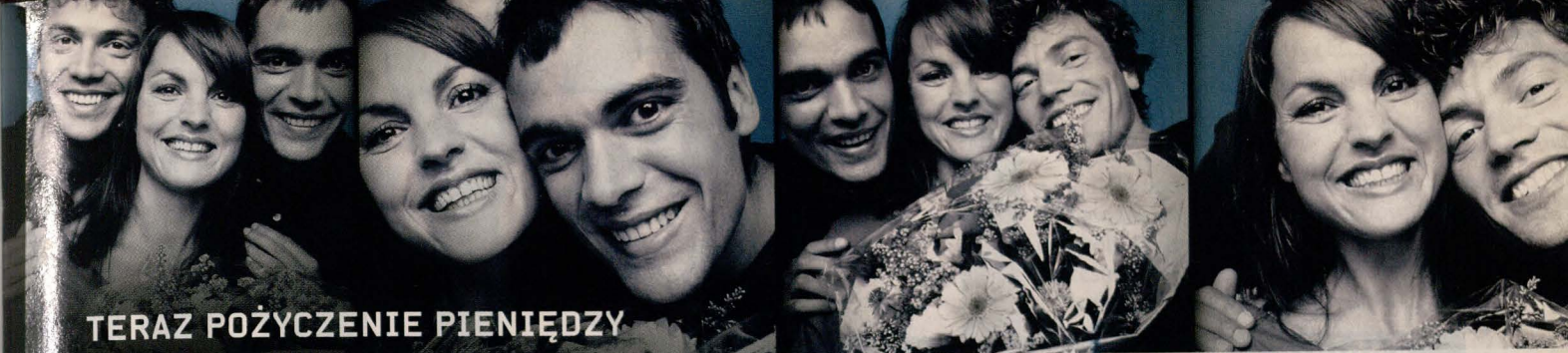
– Oferta wciąż ważna? Świetnie. To kiedy mam wpaść i zacząć sprzątać? – pytam.

– Najpierw proszę przysłać nam CV.

– Ale przecież piszecie, że jest tylko jeden warunek: trzeba znać angielski. Chyba słyszy pan, że znam.

Głos w słuchawce: – Zgłosiło się wielu kandydatów. Proszę przysłać CV.

MARCIN FABJAŃSKI



Zalecamy oleje Mobil

Lancer powrócił. Ostatnie wcielenie jednego z najbardziej udanych samochodów rajdowych w historii wreszcie na polskim rynku. Urok i charakterystyczna sylwetka Lancera to dopiero zapowiedź tego, co Cię czeka. Jedna jazda i poczujesz legendarne dziedzictwo tkwiące w konstrukcji tego auta. Warto było czekać? Absolutnie.

MITSUBISHI LANCER KIERUJ SIĘ ŻYCIEM



www.mitsubishi.com.pl

SYN GMINY

DOROTA SAJNUG

Kobieta, którą zmuszono do urodzenia dziecka poczętego w wyniku gwałtu, pozwała gminę Dąbrowa Górnicza. Chce, by samorząd wypłacał stały zasiłek jej synowi

Joanna Boniecka i jej siedmioletni, ciężko chory syn Piotruś na szpitalnym korytarzu. Dziecko czeka na kolejną operację



Fot. KONRAD KONSTANTYNOWICZ/ZEROJEDEN.COM (2)

Joanna Boniecka wracała z pracy do domu, do przejścia miała może 800 metrów. Spokojna okolica. Obok komisariat policji. Żadnych ekscesów, bójek i ulicznych burd.

Nagle ktoś zepchnął ją do rowu. Uderzył kamieniem w tył głowy. Napastnik zaczął ją bić, dusić i walić pięścią w twarz. Straciła przytomność. Potem płakała, krzyczała, błagała, żeby ją puścił. Została zgwałcona.

Choć od tamtego dnia minęło już prawie osiem lat, Boniecka nie może spokojnie mówić o tym zdarzeniu. Trzęsącymi się rękami wyjmując papierosa. Zaciąga się głęboko. Po policzkach płyną łzy.

– Gdyby nie to, że ktoś akurat przechodził ulicą, z pewnością by mnie zabił – mówi. – Widziałam to w jego oczach. Zresztą może tak byłoby lepiej. Później wiele razy przychodziło mi do głowy, żeby wejść gdzieś na 20. piętro, otworzyć okno i...

Wyczołgała się z rowu. Z trudem dotarła do komisariatu. – Bolały mnie zębra, nie mogłam oddychać.

Tam cała we krwi, w podartym ubraniu przesiedziała kilkanaście godzin. W tym czasie policjanci spisywali jej zeznania. – Przemykali cicho koło mnie, coś szeptali i pokazywali mi siebie nawzajem. Myślałam, że umrę ze wstydu. To było takie upokarzające.

Dopiero po południu Joannę odwieziono do szpitala na obdukcję. Lekarze potwierdzili, że została zgwałcona. Śledztwo trwało cztery tygodnie. Policyjny pies zgubił trop gwałciela. Dochodzenie zostało umorzone.

Joanna Boniecka była przyjęta do pracy na okres próbny. Gdy szef zobaczył ją z posiniaczoną twarzą, powiedział, żeby więcej nie przychodziła.

– Pod koniec września zgłosiłam się do lekarza rejonowego. Stwierdził, że jestem w 10. tygodniu ciąży, i dał mi skierowanie do szpitala, w którym mogłabym dokonać aborcji. Ordynator szpitala powiedział, że powinnam mieć zgodę prokuratury na zabieg. Wysłano mnie tam z diagnozą: początek 15. tygodnia ciąży. Prokurator nie wydał zgody.

ZABRALI MI GO

– Nienawidziłam siebie, nienawidziłam dziecka, które nosiłam w brzuchu. Mogłam tylko leżeć w domu i patrzeć w sufit. Życie straciło dla mnie jakikolwiek sens. Całymi dniami płakałam. Teraz wiem, że uratowała mnie córka, która miała wtedy 10 lat. Gdy byłam już bliska obłędu, zdałam sobie sprawę, że przecież dla niej muszę żyć. To dało mi siłę.

Joanna Boniecka samotnie wychowywała Marzenę. Z jej ojcem rozwiódła się siedem lat przed napadem. Dostaje na córkę 200 złotych alimentów. Po rozwodzie wyjechała z Poznania, gdzie mieszkała z mężem, zamieszkała na Górnym Śląsku, znalazła pracę, wynajęła mieszkanie. Gdy zaszła w ciążę, wszystko przepadło.

Rodzice powiedzieli, że nie chcą widzieć jej z dzieckiem, które jest „owocem przestępstwa”. Z widoczną ciążą nikt nie chciał jej zatrudnić.

– Pewnego dnia usiadłam z moją córeczką i powiedziałam, że będzie miała braciszka lub siostrzyczkę, ale nie wiem, czy maluszek będzie mógł z nami

zostać. Zaczęłam się zastanawiać nad oddaniem go do adopcji. Czułam tylko żal i bezsilność, że to właśnie mnie spotkał taki los – opowiada Joanna Boniecka. – Myślałam, że nigdy nie będę w stanie obdarzyć go miłością i czułością. A w końcu jest tylu ludzi, którzy marzą o dziecku.

Piotruś urodził się 30 kwietnia 1997 r., dokładnie dziewięć miesięcy po gwałcie. W orzeczeniu lekarskim napisano: „Dziecko zdrowe, donoszone, bez wad i uszkodzeń”. Wszystko wskazywało na to, że lekarze, którzy robili USG, popełnili błąd, oceniając, że płód jest starszy niż w rzeczywistości.

– A kiedy już się urodził, gdy go zobaczyłam, spojrzałam mu w oczy i usłyszałam, jak płacze, zrozumiałam, że nie chcę go oddać, że nie mam prawa go krzywdzić – mówi Joanna.

Jednak sąd rodzinny uznał, że matka nie ma ani pieniędzy, ani warunków, by zaopiekować się dzieckiem. Piotruś trafił do domu dziecka.

– Postanowiłam za wszelką cenę odzyskać syna. Nie miałam siły dłużej być ofiarą – wspomina Boniecka.

BEZ ŚRODKÓW DO ŻYCIA

– Jestem pełen podziwu dla tej kobiety. Od razu zaczęła walkę o dziecko – mówi Grzegorz Leks z sosnowieckiego Komitetu Obrony

– Nie mieliśmy luksusów, jednak udawało nam się wiązać koniec z końcem. Ale nade mną chyba ciąży jakieś fatum – mówi Joanna Boniecka. – W 1999 roku Piotruś ciężko się rozchorował i musiałam zrezygnować z pracy. Znowu zostaliśmy bez środków do życia.

U dziecka rozpoznano epilepsję, potem alergię. Łapał niemal każdą chorobę. Miał silne krwotoki z nosa i uszu, przeszedł zapalenie dwunastnicy. Zaczął tracić na wadze i głuchł. Wymagał stałej opieki.

Wówczas z pomocą przyszedł prawnik z Komitetu Obrony Praw Dziecka. Poradził Joannie, żeby zwróciła się do sądu o częściowe pokrycie kosztów leczenia i opieki nad Piotrusiem. W końcu to na podstawie błędnego orzeczenia lekarskiego o wieku płodu zmuszono ją do urodzenia dziecka, a teraz w świetle prawa wszyscy umywają ręce. Nikt nie czuje się winny. I nikt nie chce pomóc.

Boniecka zażądała 20 tysięcy złotych zadośćuczynienia za „naruszenie dóbr osobistych wskutek zmuszenia do urodzenia dziecka pochodzącego z przestępstwa”. Domagała się także 15 tysięcy odszkodowania za „uniemożliwienie jej wykonywania pracy zarobkowej” oraz miesięcznej renty dla syna „jako rekompensaty za skutki szkody na osobie”. Joanna Boniecka wyruszyła w sądową drogę przez męża.

rozstroju zdrowia” – napisał sędzia w uzasadnieniu do wyroku.

Z orzeczenia wynika też jasno, że Joanna Boniecka kolejny raz miała pecha. Przepis, który dawałby jej prawo do otrzymania zadośćuczynienia, zaczął obowiązywać dopiero od 28 grudnia 1996 r. Joanna Boniecka została zgwałcona pięć miesięcy wcześniej, więc takie odszkodowanie jej się nie należy.

DLA DOBRA DZIECI

Sąd Najwyższy w uzasadnieniu wyroku zachęcił jednak kobietę, by wytoczyła proces gminie. Bo to jej podlega szpital, w którym doszło do lekarskiej pomyłki. A gmina, konkretnie miasto Dąbrowa Górnicza, „ponosi odpowiedzialność za szkodę wyrządzoną przez niezgodne z prawem działania jej funkcjonariusza przy wykonywaniu powierzonej mu czynności”.

Taki wyrok dla Joanny Bonieckiej oznacza jedno: cała sprawa zacznie się od nowa. Pełnomocnicy gminy będą starali się bowiem udowodnić, że kobieta była w 15., a nie w 10. tygodniu ciąży, a zgodnie z ustawą aborcji można dokonać jedynie do końca 12. tygodnia.

– Znowu będą biegli, przesłuchania i kolejne upokorzenia – denerwuje się Joanna Boniecka.

– Proszę pomyśleć, jak się czuje kobieta, której ktoś chce wmówić, że zaszła w ciążę prawie cztery tygodnie przed gwałtem, a potem, wykorzystując ten wypadek, próbuje się pozbyć niechcianego płodu. Ale nie zamierzam się poddawać. Dziecko musi normalnie żyć i mieć wszystko, co mu się należy. A mnie żadne pieniądze nie wyrównają bólu i cierpienia, które przeszłam i nadal przechodzę.

Joannie Bonieckiej jest żal 16-letniej córki. Nie jest w stanie zapewnić jej wszystkiego, o czym marzy. Razem z zasiłkami i alimentami dla Marzeny ma około 700 złotych miesięcznie. – Daję jej na lekcje angielskiego, francuskiego. Chcę, żeby została kimś i miała łatwiej w życiu. Mnie moje skomplikowano, pozbawiono mnie własnego ego, godności i wolności, do której ma prawo każda kobieta, ale Marzena nie może z tego powodu cierpieć.

Siedmioletni Piotruś jest teraz w szpitalu. Przeszedł poważną operację. Joanna cały dzień spędza przy jego łóżku. Piotruś jest wesołym, małym psotnikiem. Poznał już kilku kolegów i bawi się, biegając i piszcząc na korytarzu.

– Kiedy pyta, gdzie jest jego tatuś, odpowiadam, że umarł – mówi Joanna Boniecka. – Nie zastanawiałam się jeszcze, co będzie dalej. Ale on nie może poznać prawdy. Przecież to okaleczyłoby go na całe życie. Boję się nieprzychylnych sąsiadów. Drżę na myśl, że ktoś mógłby skrzywdzić moje dziecko. Najchętniej już teraz zamieniłabym mieszkanie i przeprowadziła się gdzieś daleko stąd, do innego miasta.

DOROTA SAJNUG

IMIONA I NAZWISKA BOHATERÓW ZOSTAŁY ZMIENIONE

NAJLEPSZA MUZYKA!



DO USŁYSZENIA

WWW.RMF.FM

– Jak się czuje kobieta, której chcą wmówić, że wykorzystana popełniony na niej gwałt, by się pozbyć niechcianej ciąży?

ZA WCZEŚNIE ZGWAŁCONA

Sądy pierwszej i drugiej instancji oddaliły sprawę. Dopiero dwa miesiące temu Sąd Najwyższy częściowo przyznał rację Bonieckiej. Uznał, że należy jej się odszkodowanie za utracone zarobki – 15 tysięcy złotych wraz z odsetkami. Nie zgodził się natomiast na wypłacenie jej 20 tysięcy za naruszenie dóbr osobistych.

Sędziowie przyznali, że sprawa ma charakter precedensowy. W Polsce nie było bowiem dotychczas podobnych procesów, nie ma więc orzecznictwa, na które można by się powołać przy wydawaniu wyroku. Sąd Najwyższy sięgnął więc do orzecznictwa amerykańskiego, angielskiego i niemieckiego. W krajach tych „zmuszenie kobiety do urodzenia zdrowego dziecka pochodzącego z przestępstwa” określa się terminem „wrongful conception” i kobiecie w takim przypadku należy się odszkodowanie. Nie przyznaje się natomiast odszkodowania dziecku, które urodziło się zdrowe, nawet jeśli poczęcie było wynikiem przestępstwa.

Sąd uznał, że dziecko nie poniosło żadnej szkody. „Nie ma tu ani uszkodzenia ciała, ani

Praw Dziecka, który od początku pomagał Joannie Bonieckiej i Piotrusiowi. – Po pół roku wygrała sprawę w sądzie i zamieszkała z synem. Jeśli jeszcze choć trochę się wahała, czy słusznie decyduje się na opiekę nad synem, teraz była już tego pewna – mówi Leks.

Jego zdaniem Boniecka z pewnością bardzo dobrze wychowa dziecko. W końcu od lat zajmuje się córką i mimo braku pieniędzy dba o jej wykształcenie.

Joanna Boniecka znalazła pracę. Spółdzielnia przyznała jej małe mieszkanie w bloku, które kobieta sama musiała wyremontować. W listopadzie 1997 roku Piotruś zamieszkał razem z mamą i starszą siostrą.

– Sprawa w sądzie zaczyna się od nowa. Znowu będą biegli, przesłuchania i kolejne upokorzenia – wdycha Joanna Boniecka



Nadciąga fala literatury gejowskiej i lesbijskiej. Mamy sporo do nadrobienia i żadnych wzorców w tej dziedzinie

Gejów księgi wyjscia

O gejach i lesbijkach mówi się ostatnio tyle, ile nigdy dotąd. Nawet nasi nobliści poparli dni kultury gejowskiej i lesbijskiej w Krakowie. Co prawda na ulicach Krakowa uczestnicy napotkali agresywne bojówki Młodzieży Wszechpolskiej i LPR-u, ale liczba manifestujących była niemała – około półtora tysiąca. Z roku na rok na „Parady Równości” przychodzi coraz więcej ludzi, do niedawna uczestnicy zakładali maski, żeby ich nie rozpoznano. Dziś nie kryją się już przed nikim. Pokazują się nawet na billboardach, tak jak w czasie akcji „Niech nas zobaczą”. Na naszych oczach wreszcie znika tabu. Literackie również.

Siedzimy na wulkanie, który za chwilę wybuchnie. Właśnie pojawiło się na rynku kilka książek lesbijskich, a krakowskie pismo „Ha!art” opublikowało spory zbiór prozy lesbijskiej i gejowskiej. Wystarczy zajrzeć do Internetu, w którym roi się od gejowskich i lesbijskich prób literackich. W wydawnictwach zalegają maszynopisy powieści i opowiadań homoseksualnych. Najczęściej nie są jeszcze literacko dobre. Poza tym wydawnictwa obawiają się, czy powieść gejowska się sprzeda.

Łatwiej przebić się książkom o miłości kobiet. W dużym wydawnictwie Jacka Santorskiego ukazał się dziennik lesbijki, książka Magdaleny Okoniewskiej „Mój świat jest kobietą”, której bohaterka wcale nie jest zastraszoną ofiarą. Nie kryje się i nie ma poczucia winy.

Do tej pory literatura homoseksualna istniała niemal niezauważana: w recenzjach książek skrętnie omijano ten temat, nawet jeśli był bardzo widoczny. Nie mieliśmy w Polsce pisarzy takich jak Oskar Wilde czy Jean Genet, którzy ujawnili swój homoseksualizm w literaturze. Wilde stał się przykładem męczennika, bo za swój homoseksualizm stanął przed sądem. Powstał nawet mit homoseksualisty jako ofiary, który miał wiele wcieleń literackich.

W Polsce ten mit nie miał na czym się oprzeć, bo nie było jawnej represji homoseksualizmu ani momentu wyzwolenia, jak na przykład słynny zamieszki w Stonewall (tak nazywał się amerykański bar gejowski, którego bywalcy w 1969 roku stawili opór policji). Od

tego czasu literatura zaczęła przedstawiać gejów już nie jako ofiary. W Polsce pojawiają się jedynie zawoalowane wątki homoseksualne u Iwaszkiewicza, Andrzejewskiego, ale dopiero Julian Strykowski w „Milczeniu” w 1994 zdecydował się na „coming-out”, czyli ujawnienie, osobiste wyznanie swojej orientacji. Miał wtedy niemal 90 lat. Publicznie wyjawiał też swój homoseksualizm w wywiadzie udzielonym Michnikowi.

Z wątkami lesbijskimi było podobnie – znajdziemy je choćby w „Dziewczętach z Nowolipiek” Gojawiczyńskiej czy u Nałkowskiej. Ale dopiero Izabela Filipiak w 1997 roku w swojej „Niebieskiej menażerii” pisze otwarcie o miłości lesbijskiej. Nie ukrywała też, że jest to książka w dużej mierze autobiograficzna. I ta pisarka również publicznie ujawniła swoją orientację w wywiadzie dla „Vivy!”. W latach 90. ważne było jeszcze nazwisko Grzegorza Musiała, którego powieści nie przebiły się jednak do szerszej publiczności. Ani książka Filipiak, ani Strykowski nie wywołały fali podobnych wyznań w literaturze czy w prasie.

Dziś homoseksualizm nie wydaje się już niewypowiedzianą traumą, grzechem, nie trzeba szukać ukrytych sposobów mówienia o nim. Piszemy o nim wprost, nazywając rzeczy po imieniu. Problemem jest teraz społeczne uznanie inności. Raczej nie znajdziemy zmagania z samym sobą – takich, o jakich mówi chociażby świetny amerykański pisarz Edmund White w powieści „Zuch”: „Pragnąłem być kochany przez mężczyzn i kochać ich w zamian, ale nie chciałem być homoseksualistą”. To, co ukazuje się w Polsce, przypomina współczesną, „użytkową” literaturę homoseksualną na Zachodzie. Taką, która portretuje środowisko albo jest zapisem osobistego doświadczenia. Nie mamy wielkiej literatury, do której moglibyśmy się odwoływać. Wątki erotyczne słabo wychodzą pisarzom heteroseksualnym – dlaczego homoseksualnym miałyby wychodzić lepiej? Nie tylko sceny erotyczne, lecz także cały „Dziennik lesbijki” jest bardzo słaby literacko. Okoniewska pokazuje „branżę”, jak nazywane bywa środowisko lesbijek. Ponoć opisała je tak wernie, że wybuchł skandal. Kilka kobiet rozpoznało siebie. Są na szczęście lepsze przykłady,



Fot. Marek Szczepański

choćby ciekawy zbiór opowiadań Moniki Mostowik „Taka ładna”. Można usłyszeć czasem: „Taka ładna, a lesbijka”, co znaczy: „Szkoda, marnuje się dziewczyna”. Stąd tytuł opowiadania, w którym Mostowik opisuje relację dwu kobiet i mężczyzny. U Mostowik płcie okazują się płynne. Kobiety chciałyby podrywać kobiety tak jak faceci. Nie ma tu ani krztyny ideologii czy publicystyki, opowiadania grają za to ze stereotypem, są przejmujące i ironiczne.

Czeka ciagle na wydawcę powieść Bartosza Żurawieckiego „Trzech panów w łóżku, nie licząc kota”. Żurawiecki opisuje środowisko gejów inteligentów. Zasiedziały pary, które mówią o sobie: mąż i żona, przyjęcia, na których pojawia się „świeży towar”. Udało mu się pokazać ten świat z zewnątrz, chłodnym okiem, przekonująco. Czytelnik nieznający środowiska może odczuć, na czym polega inność i dramat bycia gejem. O to chyba chodzi. Sprawdzianem tej literatury jest właśnie czytelnik nieorientowany. Edmund White opowiada, że jego przyjaciółka zapytała kiedyś, czy geje się przyjaźnią. Wtedy zrozumiał, że dla niej świat gejów jest niezrozumiałym kosmosem. White pisze również dla takich osób.

Jesteśmy więc w momencie zero. Tabu przełamane. Świadomość społeczna przygotowana na istnienie odmiennych orientacji seksualnych. I na przyjęcie literackich świadectw. Prawdopodobnie za chwilę każde wydawnictwo będzie koniecznie chciało wydać swój dziennik geja lub lesbijki. Tak jak każde chciało mieć swoją Masłowską. Już widzę reklamy na okładkach: „Po raz pierwszy cała prawda o miłości gejów!”, „Lesbijska »Lalka«”, „To gejowski »Pan Tadeusz«” itp. I wśród tego zalewu trzeba będzie się nieźle nagimnastykować, żeby znaleźć to, co najważniejsze – dobrą literaturę.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

NAJCHĘTNIEJ KUPOWANY EKSLUZYWNY MAGAZYN O WNĘTRZACH

DOM & WNĘTRZE

temat numeru
lato w ogrodzie
• najlepsze grille - z polskich sklepów
• meble ogrodowe - wygodne i praktyczne

NR 06/105/2004 CZERWIEC NR INDEKSU 15603X
CENA 9,90 zł (w tym 7% VAT)

NIE WYRZUCAJ
ODNAWIAJ
MEBLE Z LAT 60.

TEGO LATA
żółty
JEST TRENDY
aranżacje naszych stylistów

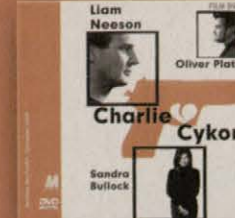
co miesiąc nowy projekt
MIEJSKI DOM
NA MAŁEJ DZIAŁCE

2 PREZENTY

Dodatek AŻ 28 STRON
TRENDY • NOWOŚCI • OFERTA RYNKOWA



3 filmy na DVD do wyboru



Już w sprzedaży



Król FLAKÓW

Swoje imperium senator **HENRYK STOKŁOSA** zbudował na świńskich ryjach, wazelinie i strachu

STEFAN MAKULA

To, co niektórym śmierdzi, senator Henryk Stokłosa nazywa charakterystycznym zapachem związanym z określoną produkcją. — W fabryce czekolady nikt nie powie, że mu śmierdzi, a tam też unosi się charakterystyczny zapach — tłumaczy senator. A że Stokłosa w swojej spalarni nie pali kaka, tylko świńskie ryje, oczy, racice, flaki i krew, więc w Śmiłowie pod Piłą nie może pachnieć czekoladą. To wyczuli już ludzie z Piły, Chodzieży i Złotowa.

Królestwo senatora sięga znacznie dalej niż smród z jego fabryki. Żyje w nim 200 tysięcy kaczek, 150 tysięcy gęsi, pół miliona kurczaków, 600 tysięcy indyków, 120 tysięcy świńiaków, 4 tysiące krów i 250 ton karp. Są tam młyny, elewatory, mieszalnice pasz, gorzelnie, zakłady rolne, drobiarskie, mięsne, stawy, sklepy, a nawet stacja unasienniania loch. O życiu tego imperium można codziennie usłyszeć w należącem do senatora pilskim Radiu Sto lub przeczytać co tydzień w „Tygodniku Nowym” o 50-tysięcznym zakładzie.

Niestety, Henryk Stokłosa pamięta tylko, że ma trzy samoloty, ale nie może sobie przypomnieć, ile ma spółek i samochodów.

PRZECIW OBCEMU KAPITAŁOWI

Mocarstwo to próbowało zniszczyć 5 maja pięcioro pracowników Telewizji Polskiej, których senator Stokłosa zaarrestował w pobliżu

swojego zakładu utylizacji odpadów w Śmiłowie. Dziennikarze chcieli stamtąd poinformować telewidzów, że ze srebrnego komina wydobywa się smród nie do zniesienia. — To manipulacja przeciwko polskiemu przedsiębiorcy — załamuje ręce senator, oprowadzając mnie po zakładzie. — W tak brutalny sposób z nami walczą, i to polscy dziennikarze z TVP1, których tak bardzo szanowałem. Dlatego Stokłosa powiedział dziennikarzom stop, bo przekroczyli wszystkie normy obyczajowe i higieniczne.

Senator nie ma wątpliwości. Zostali nastani. To jest walka konkurencji niemieckiej i holenderskiej z polskim przedsiębiorcą o porzeźnicze odpady. Bo przecież gdyby tak nie było, to niemiecka telewizja nie poinformowałaby jako pierwsza o przetrzymywaniu dziennikarzy na terenie Farmutilu.

— Bo ja jestem wrzodem na tyłku obcego kapitału — tłumaczy senator i dodaje, że gdyby jego fabryka stała w Stanach Zjednoczonych, to za wtargnięcie dziennikarzy na prywatny teren mógłby ich nawet zastrzelić, a on tylko zażądał, by się rozebrali do naga i wykopali. A potem przez 13 godzin zachęcał ich, żeby zgodzili się choć umyć ręce. — Gdybym ja ich wypuścił stąd bez dezynfekcji, toby mogli kogoś czymś zarazić — tłumaczy Stokłosa, dlaczego tak mu zależało na umyciu rąk. — Bo prawa człowieka na tym polegają, by chronić drugiego człowieka przed chorobą.

TRAKTOR ZAMIAST WAŁĘSY

Teraz Henryk Stokłosa zatrzymał dziennikarzy, 15 lat wcześniej równie skutecznie powstrzymał Solidarność. W 1989 roku 99 senatorów z Solidarności, by wygrać wybory, musiało się sfotografować z Lechem Wałęsą. Stokłosa wystarczył traktor. Mógł go wygrać każdy, kto przyszedł na wiec wyborczy na stadion w Pile. I 30-tysięczne trybuny wypełniły się do ostatniego miejsca.

Gdy po kampanii w amerykańskim stylu nikomu nieznany farmer przerabiający odpadki został jedynym senatorem spoza Solidarności, pisały o nim gazety w całej Europie, a BBC postanowiła zrobić o nim film. Stokłosę zapraszano do radia i telewizji, ale nigdy nie stał się gwiazdą mediów.

„On nie umie przemawiać i nie potrafi nawet przez moment wychylić się poza kartkę i powiedzieć coś od siebie – pisał o Stokłosie Jacek Prześluga, który poprowadził zwycięską kampanię. – Z tych względów musieliśmy odmówić realizatorom programu »Sto pytań do...« – bo Stokłosa musiałby mówić tam bez kartki”. Bał się ludzi Solidarności i łatwiej było mu dotrzeć do Jaruzelskiego i Kiszczaka, niż stanąć obok senatorów Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego. Jego mottem z tamtego okresu było hasło: „Precz z komuną, precz z Solidarnością – jesteśmy za normalnością”.

Stokłosa nie udzielał się politycznie, unikał spotkań. W Senacie nie rwał się do głosu i najczęściej milczał. Nie miał też czasu na czytanie dokumentów. Prześluga twierdzi, że tytuł senatora traktował z początku jak element sztywnej garderoby. Dopiero później zrozumiał, że dzięki niemu i swoim pieniądзом może zbudować republikę bananową w centrum Polski.

HENIU, ODDAJ PIĘTERKO

Jeden z najbogatszych ludzi w Polsce zaczął w połowie lat 70. Jako młody działacz partyjny został dyrektorem Przedsiębiorstwa Turystycznego „Noteć” w Pile, które przejmowało od gmin zajazdy. – To były miejsca, w których spotykała się cała partyjna elita – opowiada Piotr Gadzinowski, pilski dziennikarz. – Tu odbywały się pijanstwa, polowania i huczne zabawy. Wtedy poznał ludzi, którzy pomagali mu później w karierze w latach 90.

Wyrzucono go z pracy i partii, bo okazało się, że w zajeździe w Margoninie podczas budowy zginęło jedno piętro („Heniu, oddaj pięterko” – dopisywano na jego plakatach wyborczych jeszcze 10 lat później). W 1983 roku ogłoszono amnestię, dzięki czemu uniknął więzienia.

Imperium zaczął budować rok wcześniej, gdy przeczytał w gazecie, że Holendrzy chcą wybudować w Polsce siedem zakładów wykorzystujących. Wtedy znalazł starą pegeerowską



For: LESZEK ZYCHPOLITYKA/REPORTER

Henryk Stokłosa swoich wrogów kolekcjonuje jak trofea myśliwskie, które zwozi z całego świata

owczarnię w Śmiłowie, kupił kociół parowozu i zaczął palić padlinę. Przez wieś Kaczory jeździły wtedy ciężarówki ze zwisającymi po burtach flakami, dowoziły towar do fabryki. – Nikt mi w życiu w niczym nie pomagał. Do wszystkiego doszedłem sam – mówi Stokłosa. – Zaczynałem od „malucha” i dziwiłem się tym biznesmenom, którzy najpierw kupowali dobry samochód i mieli jeszcze tyle pieniędzy, by przesiadywać w knajpach. Ja każdą zarobioną złotówkę inwestowałem.

Na 4,5 tysiąca hektarów, na których stoją teraz zakłady w Śmiłowie, było kiedyś szczere pole. A teraz, jak okiem sięgnąć, wszystko Stokłosa. Z okna czarnej toyoty senator pokazuje mi palcem swoje królestwo: lasy, drogi, pola, place, ogrodzenia, zasięki i wreszcie zakład utylizacji. – Sama najnowocześniejsza technika i wszystko ze stali nierdzewnej – wzdycha, gdy zwiędzamy teren przy srebrnym kominie. – Nie ma drugiego takiego zakładu w Polsce ani we Francji, ani w Niemczech.

Słowo „smród” nie przechodzi też przez gardło Brunonowi Wolskiemu, wójtowi Kaczor, który mówi, że ważniejsze od uciążliwości zapachowych są miejsca pracy. A Farmutil to największy zakład w okolicy, większy od pilskiego Philipsa. Codziennie 11 autobusów dowozi do niego pracowników z całej gminy. Dzięki niemu bezrobocie w Kaczorach wynosi 13, a nie 20 procent.

CESARSTWO BANANOWE

– Swoje mocarstwo Stokłosa zbudował z zależności, wazeliny i strachu – mówi Piotr Gadzinowski, dziennikarz z Piły. – Jego imperium jest potężne, choć nie ma granic ani struktur, ma wiernych poddanych w Kaczorach, Pile,

Poznaniu i Warszawie. Służą mu policjanci, radni, starostowie, wojewodowie, weterynarze. Przyjaźnią się z nim premierzy i ministrowie, których zaprasza do swojej rezydencji. – Wykorzystując pieniądze i wszystkie znajomości, Stokłosa zbudował w Pilskim republikę bananową, która jest uzależniona od niego – uważa senator Zbigniew Romaszewski.

Mścisław Brodala, emerytowany policjant ze Śmiłowa, przez ostatnie 20 lat obserwował, jak Stokłosa wykupił całą okolicę. – Dawał ludziom pracę – opowiada – dożynki, tanie piwo, kielbasę i tak zbudował swoją siłę. Teraz się rozzuchwalał tak, że boją się go policjanci, prokuratorzy, sędziowie, a nawet media.

Brodala się nie boi i dlatego włączył się w akcję zbierania podpisów przeciwko budowie kolejnej spalarni, którą chce wybudować wkrótce Stokłosa. Bo już nie wierzy w najnowocześniejszą technikę, jaką obiecuje senator. Mimo tej techniki w Śmiłowie śmierdzi od 22 lat...

IMPERIUM STRACHU

Pan senator jest władcą sprawiedliwym, który dobre uczynki wynagradza, a za złe karze. Dlatego B. nie może powiedzieć, jak się nazywa ani gdzie mieszka i czym konkretnie się zajmuje. Nie może ujawnić nawet, ile ma lat. Nie może powiedzieć nic o sobie, bo boi się, że spotka go kara. W Farmutilu kara jest jedna – wylatuje się z pracy. Zresztą za drobniejsze przewinienia niż rozmowa z dziennikarzem ludzie tracili pracę.

Gdy B. zatrudnił się w Farmutilu, zdziwiło go, że portrety senatora rozwieszone są w całym zakładzie, zwykle tam, gdzie inni wieszają krzyż lub godło. B. może jedynie powiedzieć, że u senatora zarobki nie są zbyt wysokie, a i tak część wynagrodzenia dostaje w parówkach i kielbasie i nie może odmówić, bo spotka go kara. Dlatego żaden z 5400 pracowników senatora nie powie, że w Śmiłowie śmierdzi. Prawdziwym samobójstwem byłoby jednak złożenie podpisu pod wnioskiem o przeprowadzenie referendum w sprawie budowy przez Stokłosę kolejnego zakładu utylizacji. (Zresztą organizatorzy referendum, by nie narażać ludzi, w ogóle do pracowników się nie zwracali). – Wiadomo, że wszystkie podpisy zostaną złożone u wójta w Kaczorach, a to tak samo, jakby od razu trafiły na biurko senatora – mówi B.

Anna Stokłosa twierdzi jednak, że pracownicy szanują męża i wcale się go nie boją. – Strach i dyscyplina pracy to dwie zupełnie różne rzeczy – mówi małżonka senatora. – Dyscyplina musi być, żeby zakład kwitł.

MŚCIWY I PAMIĘTLIWI

Jest wiele przykładów świadczących o tym, że z senatorem lepiej nie zadzierać. Zbigniew T,

który na zebraniu w Śmiłowie wstał i powiedział, że śmierdzi, stracił mieszkanie wynajmowane w farmutilowskim bloku. Jego żonie, która współpracowała z Farmutilem, nie przedłużono umowy. Jerzemu P., właścicielowi hurtowni budowlanej, senator zapowiedział, że nie będzie już u niego robił zakupów, i anulował wszystkie zamówienia. Jacka Prześlugę po serii artykułów krytykujących Stokłosę pobili nieznani sprawcy. Janusza S. senator podejrzewał, że kupuje od jego pracowników kradzioną paszę, więc odebrał mu malucha. Marcina T. i Izydora Ł. poturbował, bo nie chcieli mu sprzedać ziemi. Innych swoich pracowników trzymał w piwnicy, gdy mu podpadli.

Dorocie Pawłowskiej, właścicielce wiejskiego baru U Doroty, która jako pierwsza 10 lat temu odważyła się powiedzieć przed kamerą, że śmierdzi, Stokłosa zapowiedział, że ją zniszczy. – Kupił wtedy bar i próbował ze mną konkurować, ale mu się po paru latach znudziło – wspomina Pawłowska. Teraz jednak, gdy Pawłowska zaprotestowała przeciwko budowie kolejnego zakładu, walka idzie na śmierć i życie. Stokłosa kupił dom naprzeciwko U Doroty i zapowiedział, że będzie tam sprzedawał piwo po złotówce. – Zabronił swoim pracownikom do mnie przychodzić – skarży się Pawłowska. – Jest im przykro, a ja ich ro-

zumiem. Z powodu jednego piwa nie będą przecież narażać się na utratę pracy.

A gdy kogoś nie może ani wyrzucić z pracy, ani zastraszyć, to wykańcza go „Tygodnik Nowy”. – Po to senator założył tygodnik, żeby walczyć ze swoimi przeciwnikami, a moi koledzy i koleżanki są mu potrzebni, żeby oplukwać jego wrogów – mówi pilski dziennikarz Dariusz Kubicki.

NIE WYPADA ODMÓWIĆ

Mieszkając w Pile, można nawet na Stokłosę nie głosować. Ale nie można nie kupować w jego sklepach, nie jeść jego kielbasy, nie słuchać jego radia i nie czytać jego gazety. Rolnikowi spod Piły jest jeszcze trudniej. Nikomu innemu nie sprzedaje krowy ani świni i od nikogo innego nie kupi paszy ani materiału siewnego.

– Gdy ktoś mu podpadnie, będzie się mścił aż do piątego pokolenia – mówi Kubicki, któremu Stokłosa wytoczył trzy procesy.

Stokłosa swoich wrogów kolekcjonuje jak trofea myśliwskie, które przywozi z całego świata. Ich zdjęcia trzyma w komputerze w odpowiednich przegródkach i dlatego zanim rozpocznie rozmowę, fotografuje wszystkich dziennikarzy. Piotr Gadzinowski twierdzi, że z tego powstaje później dossier, które jest systematycznie uzupełniane.

Mieszkańcy Śmiłowa wierzą w potęgę Stokłosa. Widzieli, jak wykaraskał się z największych kłopotów. Gdy w połowie lat 90. NIK zarzuciła mu wyłudzenie z Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska 25 miliardów złotych, wydawało się, że nic nie uchroni go przed karą. Ale prokuratura postawiła zarzuty tylko dwóm kierownikom z Farmutilu, zanim sprawa została umorzona. Stokłosa zaraz ogłosił, że niszczą go zachodnie firmy, bo działa zbyt prężnie.

Teraz okazało się, że skarb państwa stracił 43 miliony złotych na niezapłaconych przez senatora podatkach. Było to możliwe dzięki dwóm dyrektorom Ministerstwa Finansów, których poznańska prokuratura oskarżyła o przekroczenie uprawnień. – Bzdura – mówi senator i macha mi przed nosem kartką z urzędu skarbowego, z której ma wynikać, że to państwo jest mu winne 4 miliony złotych. – Każdy ma prawo mnie nie lubić – mówi senator. – Ale ludzie Stokłosę lubią, bo zawsze wybierają mnie do Senatu. Ja daję im pracę, pomagam.

Henryk Stokłosa mówi, że stoi z nim najpotężniejsza partia – jego pracownicy. – Ja kandyduję dlatego, że oni mnie o to proszą.

Senator sądzi, że przyjdą w tej sprawie po raz szósty i nie będzie mu wypadało odmówić.

STEFAN MAKUŁA



Odwagi.



COOLPIX SQ
www.nikon.pl

Aparat cyfrowy COOLPIX SQ to wyjątkowe połączenie desingu z technologią: 3.1 megapikseli, obrotowy obiektyw Nikkor z 3-krotnym zoomem optycznym i 4-krotnym cyfrowym, rekordowa szybkość uruchamiania aparatu i ustawiania ostrości, 15 programów tematycznych, waga 180 g.

Wszystko po to, by odważnie ruszyć w świat.

Model COOLPIX SQ jest dostępny wyłącznie w kolorze srebrnym.



At the heart of the image

Lagodna buzia, oliwkowa cera, piękne ciemne włosy, wydane usta. Gdy jako 16-letnia licealistka wystartowała w konkursie dla modelek Look of the Year, od razu ją dostrzeżono. Przed nieśmiałą nastolatką z Piły otworzyły się drzwi do kariery. Odwiedziła Tokio, pró-

bowwała szczęścia w Nowym Jorku, wreszcie za-domowiła się na dobre w Mediolanie. Prezentowała kolekcje Armaniego, Ceruttiego, Dolce & Gabbana, a jej zdjęcia można było zobaczyć w najważniejszych w świecie mody kolorowych magazynach. W tym roku kończy 25 lat, od sześciu mieszka we Włoszech i zdaje się doskonale sobie radzić. Powoli wycofuje się z pracy

modelki na rzecz aktorstwa. Czy Kasia to kolejna ładna gwiazdka, która poświeci chwilę i zniknie? Chyba nie, wygląda na to, że przyszłość ma dopiero przed sobą.

POBIŁA ŻONĘ EROSA

Przygodę z filmem zaczęła w 2000 roku od roli w „Al momento giusto” („We właściwym

momencie”) Giorgia Panariello. Zagrała tam dziennikarkę zakochaną w koledze z redakcji. Występ w komedii romantycznej to nie jest może szczyt marzeń, ale w tym wypadku liczyło się, że nieznana w świecie filmu dziewczyna z Polski przypadła reżyserowi Giorgiowi Panariellemu bardziej do gustu niż startująca do tej samej roli żona Erosa Ramazottiego. W świat

poszedł sygnał – uwaga, nadchodzi nowa broń. Kasia nie mówiła wtedy jeszcze zbyt dobrze po włosku i trzeba było ją dubbingować. Po debiucie filmowym we Włoszech wystąpiła w kraju, w „Hakerze” Janusza Zaorskiego. Sama potem przyznała, że zagrała dość sztywno, a rola w filmie skierowanym do młodo wymagającej młodzieży nie podbiła serc rodaków. W kolorowej prasie polskiej pojawiło się kilka wywiadów, ale wkrótce o pięknej modelce praktycznie u nas zapomniano.

LA RAGAZZA TIM

Tymczasem Kasia wróciła do Włoch, gdzie sieć telefonii komórkowej Tim poszukiwała akurat kandydatki do serii filmów reklamowych. Chodziło o osobę piękną, a jednocześnie zwyczajną, mieszkankę femme fatale i dziewczyny z sąsiedztwa, z którą łatwo można się utożsamić. Kasia okazała się idealna. Nakręciła kilkanaście spotów, z dnia na dzień stała się popularna i rozpoznawana na ulicy.

„Nie nazywajcie jej »dziewczyną Tim«! – woła w swym artykule w portalu Moda.it Vanessa Bozzi, dziennikarka i specjalistka od świata włoskiej mody. – Nawet jeśli to właśnie reklama dla sieci komórkowej przyniosła jej popularność i szczęście, Kasia to znacznie więcej niż twarz sprzedana znanej marce. To sławna modelka i utalentowana aktorka, świetnie mówiąca i zdolna grać po angielsku i po włosku” – chwali naszą rodaczkę.

Rzeczywiście, równolegle z kampanią dla Tim Kasia powiększała dorobek aktorski. Dostała rolę w popularnym serialu telewizyjnym „Ultimo 3” Michele Soaviego, a w kwietniu na ekrany włoskich kin wszedł wojenny „Radio West FM97”, gdzie modelka występuje u boku swego obecnego narzeczonego Pietra Tariconego. Gra Serbkę zakochaną we włoskim żołnierzu wysłanym z misją pokojową na Bałkany.

Właśnie związku z Pietrem nie mogą Kasi wybaczyć niektórzy jej fani. Taricone zabłysnął bowiem jako jeden z uczestników pierwszej edycji włoskiego „Big Brother”, i to w atmosferze małego skandalu, pozwalając sobie przed kamerami na seksualne ekscesy. Jednak sprawa zdaje się wyglądać poważnie, bo para spodziewa się dziecka. Czy ciąża nie przeszkodzi młodej gwiazdce w karierze?

TARICONE JEST W PORZĄDKU

Alessandra Retico, recenzentka filmowa dziennika „La Repubblica”, uważa, że jak dotąd wszystko dobrze wróży Kasi na przyszłość. – Ona budzi powszechne zainteresowanie, odkąd została zaangażowana przez Tim – mówi Retico. – A nowy związek powinien jeszcze jej pomóc w podtrzymaniu popularności. Taricone należy do tych gwiazd, które widownia uwielbia i śledzi każdy ich ruch. Jest dość niezwykły, bo choć wypłynął w programie reality show, to później praktycznie nie pokazywał się już w telewizji. Nie

brał udziału w żadnych talk-show, nie robił nic z tych rzeczy, które przeważnie zdarzają się ludziom po „Big Brotherze”. Podoba się nie tylko masowej, lecz także bardziej wymagającej publiczności. Nie jest wybitnym aktorem, nie skończył żadnej szkoły filmowej, ale ma ujmującą osobowość, jest rzeczywiście inteligentny. Nie jest typowym produktem telewizyjnym, tylko człowiekiem z polotem.

Romans Kasi Smutniak z Pietrem Tariconem wywołał burzę. Para poznała się na planie „Radio West...”, ale wówczas Kasia była jeszcze w związku z Marcellem, mediolańskim architektem. Pietro musiał nieźle zawrócić jej w głowie, skoro w ekspresowym tempie porzuciła stały związek, przeprowadziła się do Rzymu i w dodatku zaraz zostawiła mamę. – Ta sprawa tylko pogłębiła rozgłos wokół Kasi – mówi Alessandra Retico. – Plotkarskie gazety miały o czym pisać.

Praca modelki, występ w reklamie, potem rola w filmie – wygląda to na typowy scenariusz kariery, która zazwyczaj po pewnym czasie rozmywa się w niebycie. Czy Kasia ma rzeczywiście talent, który pozwoli jej utrzymać zdobytą pozycję?

– Jest piękna, podoba się, z pewnością ma szansę na dalszą karierę – uspokaja Alessandra Retico. – Wokół niej ciągle coś się dzieje. Jest zapraszana na imprezy, do programów, gazety robią z nią wywiady. – Pracuje już mniej jako modelka, ale ciągle często jest zapraszana jako gość honorowy na rozmaite uroczystości – dodaje Vanessa Bozzi. – W bezpośrednim kontakcie jest taka, jak ją widać na ekranie: sympatyczna, pogodna, otwarta.

Czy faktycznie Włosi rozpoznają ją na ulicy? – Z reguły tak. Nie zawsze pamiętają, jak ma na imię, ale kojarzą ją z reklamą Tim, wiedzą, że to narzeczona Pietra Tariconego. Teraz jest już bardziej popularna jako postać z ekranu niż modelka – tłumaczy Vanessa Bozzi.

RÓŻNI SIĘ NA KORZYŚĆ

Nazwisko Kasi Smutniak można znaleźć w czołówce nowego filmu, jaki kręci Vincenzo Verdecchi. „Ora e per sempre” („Teraz i na zawsze”) to opowieść o turyńskiej drużynie piłkarskiej, której zawodnicy zginęli w katastrofie lotniczej w 1949 roku.

– Jeśli się przyjrzeć temu, co do tej pory zrobiła, gdzie występowała, można się spodziewać, że wciąż będzie miała propozycje pracy – twierdzi Alessandra Retico. – Podoba się widzom, jest rozpoznawalna. W żadnym razie nie można o niej mówić, że jest tylko ładniutką dziewczynką. Przyjechała z zagranicy, robi karierę, świetnie mówi po włosku. Kiedy widziałam ją na konferencji prasowej, różniła się – zdecydowanie na korzyść – od klasycznych showgirls, które mają trudności z poprawnym wysłowieniem się.

MAX SUSKI

Z ZIEMI POLSKIEJ do WŁOSKIEJ



podobno co drugi Włoch chciałby się z nią ożenić. Nawet jeśli wziąć poprawkę na skłonny do przesady południowy temperament, możemy być dumni z KASI SMUTNIAK

Książę następca tronu Naruhito (po lewej) i jego żona, księżniczka Masako (po prawej), w cesarskich szatach ślubnych

Księżniczka **MASAKO** miała zmienić oblicze japońskiej rodziny cesarskiej. Dziś tkwi w głębokiej depresji, sterroryzowana przez dwór i dynastię, która żąda od niej potomka

ZAKŁADNICZKA

cesarskiej alkowy

JAKUB MIELNIK

Moja żona jest całkowicie wyczerpana. Przez ostatnie 10 lat ciężko pracowała, by dopasować się do wymagań rodziny – ogłosił tydzień temu następca japońskiego tronu. Jak na członka cesarskiej rodziny był niespotykane szczery. Dla poddanych, przywykłych do spowijającej dwór tajemnicy, wypowiedź Naruhito była szokiem na miarę trzęsienia ziemi w Kobe.

Przeciętny Japończyk wie więcej na temat życia księcia Yorku niż tego, co dzieje się za murami cesarskiego pałacu w centrum Tokio. Odpowiadając na pytania dziennikarzy, książę Naruhito wyznał, że przyczyną złego stanu zdrowia księżniczki Masako są intrygi rodziny cesarskiej i dworskich urzędników. Potwierdziły się plotki, które od dłuższego czasu krążą po Tokio. Masako została zaszczuta, bo nie wypełniła swej najważniejszej misji: wydania na świat następcy Chryzantemowego Tronu Japonii.

ŻONA BOGA

11 lat temu Masako Owada była na dobrej drodze do błyskotliwej kariery urzędniczej. Jako córka zawodowego dyplomaty do przedszkola chodziła w Moskwie, podstawówkę kończyła w Nowym Jorku, a liceum w Bostonie. Zanim przystąpiła próg książęcego pałacu Togu, nauczyła się biegle trzech języków obcych i zdobyła dyplomy najlepszych uczelni świata. Skończyła ekonomię na Uniwersytecie Harvarda, prawo w Japonii i stosunki międzynarodowe w Oksfordzie.

Gdy pod koniec lat 80. zaczęła pracę w japońskiej dyplomacji, wróżono jej przyszłość pani Sadaoko Ogaty – Japonki, która została wysokim komisarzem ONZ do spraw uchodźców. Masako poszłaby pewnie w jej ślady, gdyby na jednym z oficjalnych

Jako księżniczka Masako nie miała szans zabłysnąć intelektem ani wykorzystać swojego wykształcenia. Dwór chce, by się uśmiechała i rodziła synów

Dwuletnia Aiko zostanie być może pierwszą cesarową Japonii. Wymagaloby to jednak zmiany konstytucji (na zdjęciu Aiko z mamą, księżniczką Masako w lutym 2003 roku)



Fot. AP

bankietów nie wpadła w oko księciu następcy tronu.

Naruhito był całkowitym przeciwieństwem Masako. Bezbarwny i niezbyt przystojny, miał opinię mola książkowego, który spędzał czas w Oksfordzie, zgłębiając historię XVIII-wiecznej brytyjskiej żeglugi śródlądowej. Być może dlatego cały rok strawił na konkury. Miał jednak atut, którego nikt nie był w stanie przebić: w jego żyłach płynie boska krew.

Rodzina cesarska wywodzi się w prostej linii od bogini słońca Amaterasu Omikami. Jeszcze pół wieku temu miliony Japończyków oddawały cesarzom boską cześć. Dziś władca nie jest już uważany za boga, ale poddani wciąż otaczają dwór szacunkiem, o jakim koronowane głowy Europy mogą tylko marzyć. Dynastia daje poddanym światły przykład. Obecnie panujący cesarz Akihito był pierwszym, który pojął za żonę kobietę z gminu i stworzył wizerunek normalnej japońskiej rodziny. Cesarzowa Michiko pozowała do zdjęć w kuchni i fartuchu, tak by wyglądać jak typowa gospodyni domowa.

Masako miała być inna. Młoda urzędniczka z zamiłowaniem do tenisa, nart i górskich wspinaczek, do tego obyta w świecie i samodzielna, idealnie pasowała na żonę nowoczesnego cesarza, jakim zamierza być Naruhito. Takiego przykładu potrzebowały Japonki, których rolę w społeczeństwie ciągle wyznacza fartuch cesarzowej Michiko. Masako miała być połączeniem księżnej Diany z Hillary Clinton.

W 1993 roku w Tokio odbył się uroczysty ślub, a tygodnik „Time” okrzyknął Masako księżniczką XXI wieku, która zrewolucjonizuje patriarchalny wizerunek cesarskiego dworu.

KŁOPOTY Z ETYKIETĄ

Stało się inaczej. Masako wsiąkla w dynastyczne powinności i dała się przytłoczyć potężną tradycją. – Ciągle mam kłopoty z pogodzeniem dworskiej etykiety z moją własną osobowością – mówiła absolwentka Uniwersytetu Harvarda trzy lata po ślubie, podczas pierwszej samodzielnej konferencji prasowej. Zwołała ją na przekór zwyczajowi, zgodnie z którym potomkowie bogini słońca kontaktują się ze śmiertelnikami tylko za pomocą dworskich komunikatów.

Siłą napędową japońskiej dynastii jest 1200 urzędników Agencji Dworu Cesarskiego. Kluczowe stanowiska zajmują w niej członkowie arystokratycznych rodów od pokoleń związanych z dynastią. To oni rządzą dziś życiem rodziny cesarskiej. Decydują, gdzie książęta mogą jeździć i w jakich oficjalnych uroczystościach brać udział.

W ostatnich latach dworzanie w porozumieniu z członkami cesarskiej rodziny robili wszystko, by zamienić niezależną Masako w japońską kurę domową potulnie drepzącą kilka kroków za mężem. Ale największym przewinieniem księżniczki okazała się niezdolność wydania na świat męskiego potomka. Nad najstarszą panującą dynastią świata zawisło widmo wygaśnięcia. Winą obarczono Masako.

Pod koniec lat 90. zastój w cesarskiej prokreacji odbijał się na całej Japonii. Gospodarkę trapił kryzys, a cesarscy poddani, którzy przez ostatnie 20 lat nic, tylko kupowali i kupowali, stracili nagle entuzjazm do wydawania pieniędzy. Rosło bezrobocie. Wskaźniki samobójstw sięgnęły 30 tysięcy przypadków śmiertelnych rocznie.

Japońscy komentatorzy i analitycy zgodnie uznali, że nic tak nie poprawi samopoczucia japońskich konsumentów jak wiadomość, że powszechnie szanowana rodzina cesarska znów się powiększy. Tymczasem Masako, chcąc sprostać oczekiwaniom, leczyła się potajemnie w zagranicznych klinikach bezpłodności.

W NIEWOLI PODDANYCH

Pierwsze pogłoski o tym, że księżniczka jest w ciąży, pojawiły się w grudniu 1999 roku. Brukowce podały, że tuż po powrocie pary książęcej z Belgii Masako dostała mdłości. Gazety cytowały anonimowego dworzanina, który miał wynieść z komnaty księżniczki opakowanie po testach ciążowych. Dwór zlekkał z oficjalnym komunikatem, a media pęczniały od plotek, którymi ekscytowali się znękanymi kryzysem Japończycy.

Masako, poddana presji dworu i 120-milionowego narodu, wpadła w nerwicę i nabyła astmę. Po dwóch miesiącach euforii Japonia pogrążyła się w żalobie. Księżniczka poroniła. Naruhito oskarżył media o urządzenie nagonki na ciężarną żonę.

Gdy dwa lata później znów zaszła w ciążę, książę zrobił wszystko, by zapewnić jej bez-



Po lewej: Masako Owada w roku 1993, na krótko przed ślubem z księciem Naruhito. Poniżej: 10 maja 2004. Księżę, której przyznał, że jego żona była szykanowana przez dworskich urzędników



Fot. AP

klasyczne eposy historyczne, a mnisi pogrążyli cięciwami drewnianych łuków, by odegnąć złe duchy.

Drgnęła pogrążona w zastój japońska giełda. Notowania firm produkujących akcesoria dziecięce skoczyły z dnia na dzień. Rosły wskaźniki optymizmu konsumentów, a analitycy natychmiast przekuwali je w prognozy miliardowych zysków. Naród nie mógł doczekać się publikacji zdjęć księcia zmieniającego pieluchę upragnionemu potomkowi. Tylko dwór cesarski zachowywał umiar. W szczęście, które spłynęło na Japonię, było bowiem jedno „ale”. Aiko była dziewczynką.

Zgodnie z japońską konstytucją tron może być dziedziczny tylko w linii męskiej. Ostatni chłopiec urodził się w rodzinie cesarskiej w 1965 roku i był nim młodszy książę Akishino. Masako ma dziś 40 lat i szanse na kolejne dziecko są minimalne. Japończycy zaczęli rozważać zmianę konstytucji, by umożliwić w przyszłości panowanie małej Aiko.

Większość Japończyków nie ma nic przeciwko temu – mówi „Przekroju” Hiramoto Hideki, dziennikarz gazety „Yomiuri Shimbun”. Najstarsza członkini rodziny cesarskiej, 90-letnia księżna Kukiko, napisała nawet artykuł w popularnym tygodniku „Fujin Koron”. Twierdziła w nim, że 127. władca Japonii powinien być kobietą. Wtórował jej premier Junichiro Koizumi.

Jednak dla dworu zmiana tradycji to ostateczność. Mogłaby doprowadzić do konfliktu z wpływową w Japonii skrajną prawicą, dla której cesarz wciąż jest bogiem. Poprzestano więc na wysłaniu do Europy misji, która ma sprawdzić, jak radzą sobie dynastie z kobietami na czele. A otoczenie cesarza znowu zaczęło żądać od Masako potomka.

JEDNOŚĆ RODZINY

– Mam dosyć, rezygnuję z obowiązków na dworze – ogłosiła księżniczka pod koniec ubiegłego roku. Masako zachorowała na półpasiec, wirusową chorobę, która atakuje osłabiony stresem system nerwowy. Źródłem

stresu była nieustająca presja na urodzenie następcy tronu.

W lutym tego roku książę Naruhito apelował publicznie do mediów – a pośrednio także do dworu – by dali żonie trochę wytchnienia i przestali naciskać na spłodzenie chłopca. W odpowiedzi z pałacu cesarskiego zaczęły przeciekać do prasy oskarżenia pod adresem Masako o egoizm i lekceważenie obowiązków wobec dynastii. Wiosną księżniczka zabrała dwuletnią Aiko z pałacu w Tokio i uciekła do letniego domu swojej matki w górach w prefekturze Nagano.

Robiła tam rzeczy niesłychane jak na przyszłą cesarową. Odprawiła służbę i sama zajmowała się dzieckiem. Dała też wolne szoferowi i w pogodne dni urządziła sobie samodzielne przejażdżki. Książę Naruhito, który podążył za małżonką, musiał zatrzymać się ze swoją świtą w pobliskim hotelu. Etykieta dworska nie przewiduje, by potomkowie bogini słońca mieszkali poza cesarskimi rezydencjami. Po kilku tygodniach dworakom udało się w końcu namówić Masako do powrotu do stolicy.

CHCIAŁBYM PÓJŚĆ DO PARKU

– Jej wysokość będzie teraz wracać do zdrowia w rezydencji księcia – ogłosił szambelan dworu. Rekonwalescencja nie będzie ani szybka, ani łatwa. Dworscy urzędnicy nie komentują przyczyn niedyspozycji księżniczki, ale Tokio huczy od plotek o tym, że Masako jest na skraju psychicznego załamania.

– Podejmowano kroki, by zanegować jej osiągnięcia, wykształcenie i osobowość – tłumaczył oględnie Naruhito. Książę ogłosił, że w najbliższym czasie żona nie będzie w stanie opuścić rezydencji. Sam też skarżył się na samotność w odciętym od świata pałacu Togu. – Chciałbym móc zabrać córkę do miejskiego parku – mówił przyszły władca Japonii.

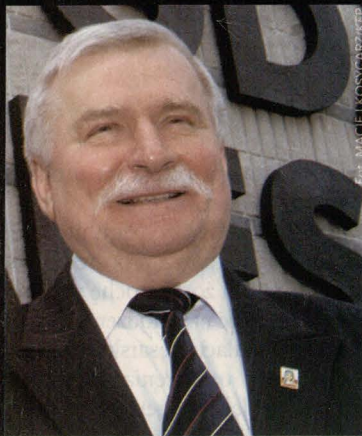
W obronie Masako i Naruhito wystąpiły nawet media. „Wzywamy Agencję Dworu Cesarskiego, by zapewniła parze książęcej większą swobodę. Książę i księżniczka stanowiąc nie potrzebują presji, by wydać na świat syna” – napisał w komentarzu redakcyjnym po konferencji prasowej dziennik „Asahi Shimbun”.

Dwór niezbyt się tym przejął. Planowany od dawna wyjazd Naruhito i Masako na wesele następców tronu Hiszpanii i Danii mógł być okazją do odpoczynku od rygorów pałacu. Rodzina księcia postarała się jednak, by Naruhito pojechał do Europy sam.

JAKUB MIELNIK

ŚWIECI

ŚWIECI



Lech Wałęsa ŁADUJEMY

Wybierający się do Paryża mówią, że o godzinie którejś tam wylądują „na Degolu”, czyli na lotnisku imienia słynnego generała. Polacy nie gęsi – jeśli ktoś wybiera się drogą powietrzną do Gdańska, a jego samolot będzie siadał na lotnisku w Rębiechowie, może już mówić o lądowaniu „na Wałęsie”. Od początku maja bowiem gdańskie lotnisko ma za patrona byłego prezydenta i założyciela Solidarności. Do pomysłu przyznają się władze wojewódzkiego samorządu, prezydenci Gdańska i Sopotu i szefowie lotniska. – Kiedy powiedziano mi o tym pomysle, zastanawiałem się, czy umrzeć wcześniej i czy zgodzić się na coś podobnego – mówił Wałęsa podczas uroczystości „chrzcina”.

Trwa moda na nadawanie obiektom imion osób żyjących, choć kiedyś rezerwowano taki zabieg wyłącznie dla Jana Pawła II. Niedawno pisaliśmy o plockim stadionie Kazimierza Górskiego, teraz mamy lotnisko Lecha Wałęsy. Szkoda tylko, że w wiszącym na ścianie budynku logo zabrakło polskich liter – pasażerowie wysiadają na „Lech Walesa Airport”.



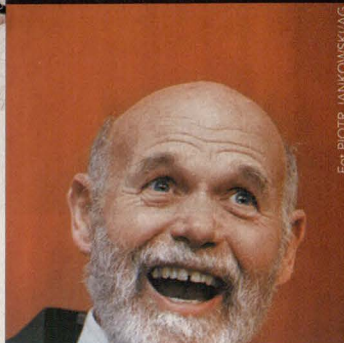
Józef Midura JAK DWA W JEDNYM!

Ile kosztuje ślub? Teoretycznie co łaska. Ale zdaniem księdza Józefa Midury, proboszcza z parafii Rozogi (Warmińsko-Mazurskie), to „co łaska”, które zazwyczaj wynosi od 500 do 1500 złotych, często zniechęca młodych ludzi do zawarcia małżeństwa. Ksiądz Midura postanowił temu zaradzić i wprowadził promocję na śluby – za udzielenie sakramentu nie bierze pieniędzy, a nawet sam kupuje drobne upominki. – Lubię śluby, a ostatnio jest ich coraz mniej – mówił „Gazecie Olsztyńskiej”. – Trzeba jakoś młodych zachęcić.

Daleka od typowej jest także ceremonia ślubna. Państwo młodzi sami wybierają i czytają fragment z Pisma Świętego, a treść przysięgi mówią do siebie nawzajem, a nie do księdza. Ta swoboda i naturalność ceremonii przyciąga młode pary z całej Polski, a mieszkańcy Rozóg nazywają swojego proboszcza prawdziwym pastorem dusz.

Dobrze jest czasem odejść od schematu. Tacy ludzie jak proboszcz Midura udowadniają, że Kościół nie musi być postrzegany jako skostniała i niedzisiejsza instytucja; że może do siebie skutecznie przekonywać. Dla nas ksiądz jest „cool”.

SPADA

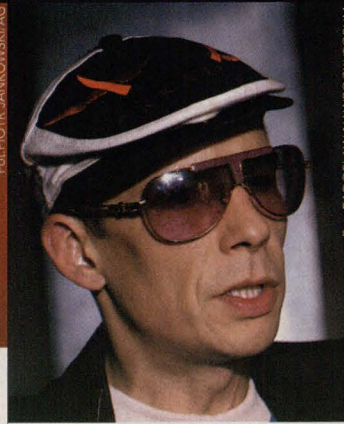


Wiliam Wharton ZMIERZCH IDOLA

Na spotkaniu autorskim z najbardziej polskim z amerykańskich pisarzy w Warszawie pojawili się jedynie jego najwierniejsi wielbicieli. Hol w centrum handlowym Blue City był niemal pusty, a w kolejce po autograf w kulminacyjnym momencie stało najwyżej kilkanaście osób. Krytycy, którzy nigdy nie byli zbyt przychylni Whartonowi, uznali, że Polacy narazie przejrżeli na oczy. Zawsze zarzucali mu skłonność do melodramatu, brak gustu i moralizatorstwo. Ale w wykładnictwie Rebis mówią, że spotkanie było po prostu zorganizowane w złym miejscu, pisarz wcale się nie przejadł, a jego ostatnia książka „Rubio” idzie jak świeże bułeczki. W 1995 roku, podczas pierwszego pobytu w naszym kraju, Wharton po kilku dniach rozdawania autografów musiał obandażować prawą rękę. Z powodu zmęczenia pisał jedynie inicjały lub dawał odrysowania na stronie tytułowej swoją lewą dłoń. Zapytany przez dziennikarza, jakie zadania stawia jeszcze przed sobą, pisarz odpowiedział: – Chyba tylko zostać przy życiu.

Ach, gdzież są niegdyśjsze śniegi!

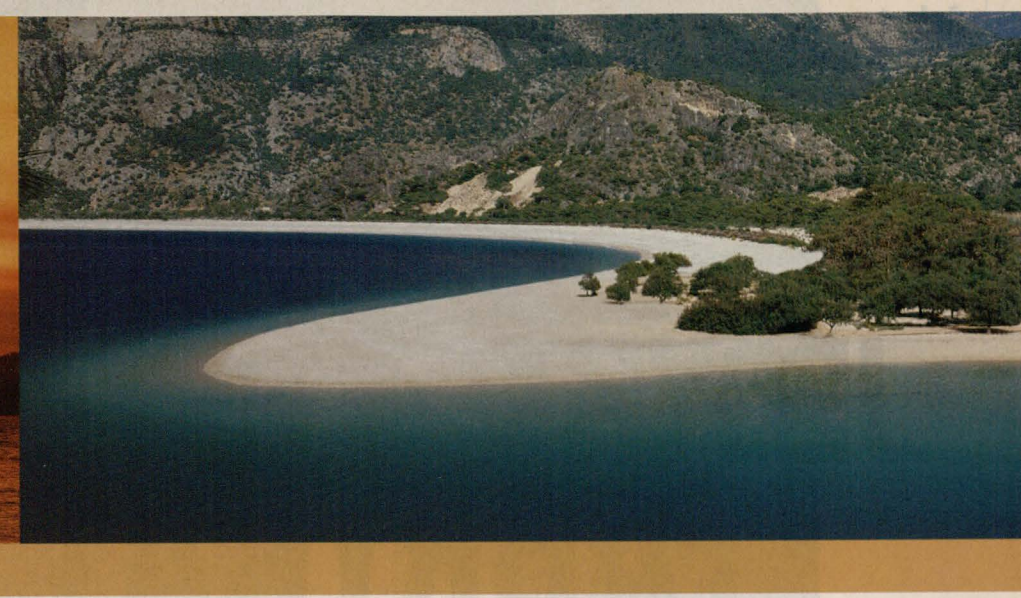
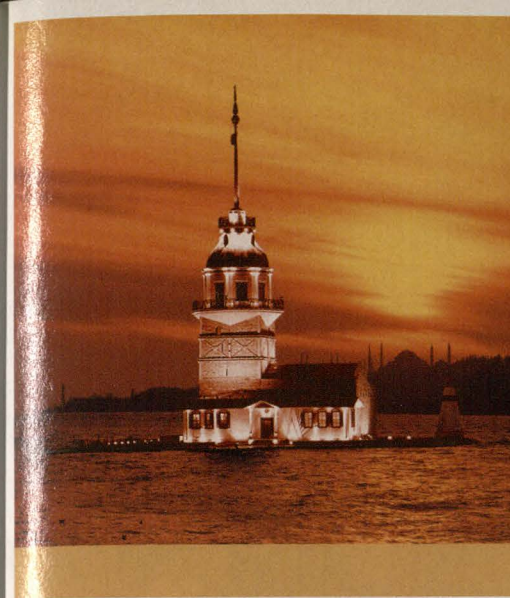
SPADA



Arkadiusz NIE TRAFIŁ DO POLAKÓW

Jeden z najlepiej znanych polskich projektantów mody Arkadiusz definitywnie kończy swoje interesy w Polsce. W zeszłym roku z pompą otworzył pierwszy butik w kraju – Anarchy Jeans w Warszawie przy ulicy Mokotowskiej. Od kilku dni na drzwiach wisi kartka: „W dniu dzisiejszym butik będzie nieczynny. Przepraszamy”. Interes od początku nie szedł zbyt dobrze. Albo Polacy są wciąż za biedni, aby wydawać duże pieniądze na ekstrawaganckie, choć niepowtarzalne stroje, albo po prostu projektant nie trafił w polskie gusta. Możliwe też, że zbyt dużo uwagi poświęcił wzornictwu, a za mało jakości wykonania – część klientów narzekała, że za kilkaset złotych otrzymują rzecz modną i oryginalną, ale marnie uszytą. Sprzedaży nie poprawiały nawet przeceny. Nie udało się także uruchomić przylegającego do butiku baru Arkadiusza.

Najwyraźniej Arkadiusz nie zrozumiał Polski, a Polska nie zrozumiała Arkadiusza.



Turcja – szlachetne delectowanie się życiem

Wspaniałe efekty za niewielką cenę, plaże i słońce do woli, wielokulturowość i rozrywki - od żeglarstwa po wellness

Urlop w Turcji – uczta dla zmysłów

Każdemu, kto lubi delectować się życiem, temu urlopowo kraina - Turcja - spełni wszystkie życzenia. Najlepsze hotele i apartamenty zapraszają swych gości o każdej porze roku, a krajobraz i natura oferują aktywnym urlopowiczom wszystko, co najlepsze. Również grzeze w golfa znajdują coś dla siebie: Turcja stała się golfowym mocarstwem. W ślowiecką tradycję ma tu również idea „wellness” – przykładowo jako Hamam. Sauna i masaże postrzegane są jako podstawy dobrego samopoczucia. Świeże warzywa, owoce i oliwa z oliwek tworzą podstawę dla lekkostrawnej, zdrowej i jednocześnie wyśmienitej diety.

Od wielu wieków rozkwita na obszarach Turcji architektura i kultura. Świadczy o tym nie tylko wspaniałe dzieła architektury, takie jak Troja, Pergamon czy Błękitny Meczety, ale też sukcesy w polu rozrywki - reżyser Nuri Bilge Ceylan, na Festiwalu Filmowym w Cannes w 2003 r., otrzymał Grand Prix Jury, a turecka piosenkarka Sertab Erener zwyciężyła w Rydze na ostatnim Festiwalu Eurowizji.

Aktywne spędzanie urlopu – w wodzie, na lądzie i w powietrzu

Turcja jest krajem nieograniczonych możliwości dla aktywnych urlopowiczów. Zwolennicy wędrówek znajdują tu idealne tereny z czarującymi krajobrazami. Można również oglądać i podziwiać Turcję podczas jazdy konno. Można, jak ptaki, delectować się pięknem kraju w czasie lotów balonem lub na lotni. Zimą zaś w górach czekają wspaniałe przygotowane stoki, tak więc nawet narciarze będą zachwyceni. Golfiści odnajdą swoje eldorado w Belek, gdzie jest do wyboru sześć wspaniałych pól golfowych, a amatorzy sportów wodnych poczują się wspaniale na wybrzeżu, gdzie można nurkować, uprawiać windsurfing i narciarstwo wodne.

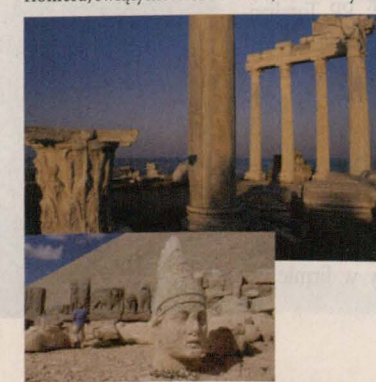


Turecka Riwiera – tam gdzie bije serce kultury

Turecka Riwiera umożliwia urlopowiczom spędzanie wolnego czasu na wiele sposobów - rano gra w golfa, kąpiel w basenie w południe, a wieczorem wizyta w operze... Dla fanów słońca i sportów wodnych – idealne warunki wzdłuż 630 kilometrowego wybrzeża. Dla zainteresowanych przeszłością - jedynie w swoim rodzaju historyczne miejsca, takie jak helleńskie miasto Perge i twierdza Termessos - świadkowie przebogatej historii. W amfiteatrze antycznego Aspendos odbywa się doroczny „Międzynarodowy Festiwal Opery i Baletu”. Niech więc zamienią Państwo wieczorem maskę do nurkowania na lornetkę teatralną i podziwiają wspaniałe inscenizacje o międzynarodowym rozgłosie.

Zmiana perspektywy na Morze Egejskie

W trakcie „Błękitnej Podróży” łodzią żaglową zrelaksujemy umysł i duszę, a u kresu rejsu pocujemy niezwykłą wielkość historii u bram antycznej Troi. Żegluga łodzią wzdłuż wybrzeża powiązana z odwiedzinami idyllicznych wiosek rybackich, samotnych zatok i innych miejsc kultury z pewnością stanie się wspaniałym przeżyciem. Na gości czeka całe bogactwo antycznej historii: Troja odkryta przez Henryka Schliemanna, budowle Pergamonu, dawniejsza Smyrna i dzisiejszy Izmir – miejsce urodzenia Homera, świątynie Efezu i wiele, wiele innych.



Stambuł – miasto w rytmie życia

Warto polecić nadzwyczajną podróż przez miasto, które łączy dwa kontynenty, a jednocześnie jest pełne tradycji i trendów oraz łączy w sobie najróżniejsze style życia. Stambuł to idealny cel krótkiego urlopu. Cieśnina Bosfor z jednej strony rozdziela Europę i Azję, a z drugiej – stanowi między nimi pomost. Ogromne wrażenie robi Pałac Sułtański Topkapı, Hagia Sophia lub Błękitny Meczety – symbole nieprzemijającej sztuki architektonicznej. Ruchliwe bazy, nowoczesne centra handlowe i korzystny kurs wymiany walut czynią z tej metropolii handlowy Eden. Wielbicieli nocnych rozrywek mogą najpierw nabrać sił w jednej ze wspaniałych restauracji, aby potem rzucić się w wir uciech.



Świadkowie historii – biblijne krajobrazy

Na wschód od kwitnącej stolicy Ankary rozciąga się kraina, która pamięta jeszcze czasy starożytne, a nazwy miejscowości sięgają głęboko w przeszłość. Podróżowanie po tych okolicach poprowadzi nas ku kolebkom kultury, takim jak biblijne Międzyrzecze między Tygrysem i Eufratem czy góra Ararat o wysokości 5137 m n.p.m., na której miała osiąść arka Noego. Kolejnym historycznym miejscem jest góra Nemrut Dagi, na której szczycie spoczywają naturalnej wielkości posągi bogów przedstawiających Apollina, Heraklesa i Tyche, ustawione w I wieku przed naszą erą, na polecenie króla Antiocha I.



Biuro Kultury i
Informacji Ambasady Turcji

Ul. Krakowskie Przedmieście
19/1 00-071 Warszawa-POLSKA
www.turcja.org.pl
e-mail: info@turcja.org.pl

Tel: (+48-22) 826 62 88- 89
Fax: (+48-22) 826 62 86

JEDYNA FABRYKA, MILIONERÓW

Jak wygrać miliony w lotka? Proste: należy trafnie skreślić sześć liczb. Powie to każdy z milionerów, regularnie produkowanych przez Totalizatora od prawie 40 lat

PAWEŁ WIECZOREK

Swoisty amok opanował umysły. Grają biedni i bogaci, starzy i młodzi, ludzie obojga płci. Nadzieja za dwa złote zawojowała masy. Hazardują się chętnie uczniowie szkół podstawowych, co wywołuje zaniepokojenie rodziców i nauczycieli. W totka gra 75 procent studentów. Spada w związku z tym poczytność gazet – niepokoiła się prasa w 1958 roku. Ów „swoisty amok” złośliwi nazwali „totalizmem”. Objawiał się przed pocztami i kolekturami, a przybierał postać tasiemcowych kolejek. Przed sądami stawiali urzędnicy, którzy na kupony zdefraudowali państwowe pieniądze, pocieszając się uprzednio sloganem: „Jeśli nie grasz w toto-lotka, nic dobrego cię nie spotka”.

Naród szczególnie tłumnie ruszył do kolektur, gdy w czerwcu 1958 roku mieszkaniec Katowic wygrał ogromną wówczas kwotę 3,8 miliona złotych (średnia pensja wynosiła tysiąc złotych). Wkrótce zresztą

szczęśliwiec zmarł na zawał serca, ale jego rekord przeżył – bo musiał – ponad 30 lat.

POZÓR W DISCYPLINIE

„Jeśli zakłada się dwoje ludzi, wówczas przeważnie wygrana nie jest duża. Ale jeśli założy się sto osób, a jeden odgadnie i wygra, to zbiera stawkę stu osób. Aby nie było nadużyć w takich zbiorowych zakładach, z drugiej zaś strony, aby zakłady te miały charakter sportowy i na pewnym poziomie kulturalnym – powołane zostało do życia przedsiębiorstwo państwowe: PP. Totalizator Sportowy” – wyjaśniano w specjalnej broszurce powody utworzenia firmy.

Pomysł na totka, z którego dochody przeznaczone byłyby na rozwój sportu, padł w kręgu działaczy olimpijskich. – Regularnie zawierali między sobą zakłady o zwyciężce kolejnych meczów – wyjaśnia Andrzej Adamczyk z rady nadzorczej Totalizatora Sportowego, pracujący w firmie od 1984 roku.



Pierwszą stałą kolekturę Totalizatora Sportowego otwarto w marcu 1957 roku w Warszawie na rogu Marszałkowskiej i Wspólnej. Zdjęcie z września 1957 roku

Fot. TOTALIZATOR SPORTOWY (C)

Łódź

OFFICIAL
B
1957

Zakład I

1 Białe	8 Ciężkowice	15 Krasówka	22 Półna mowa	29 Światłow	36 Spodolna	43 Truskaw
2 Bory	9 Huk na łód	16 Krasówka	23 Półna mowa	30 Światłow	37 S. most wód	44 Tewa
3 Bory	10 Huk na łód	17 Krasówka	24 Półna mowa	31 Światłow	38 Światłow	45 Tewa
4 Bory	11 Huk na łód	18 Krasówka	25 Półna mowa	32 Światłow	39 Światłow	46 Tewa
5 Bory	12 Huk na łód	19 Krasówka	26 Półna mowa	33 Światłow	40 Światłow	47 Tewa
6 Boki	13 Jaskółce	20 Półna	27 Półna	34 Światłow	41 Światłow	48 Tewa
7 Długo	14 Krasówka	21 Półna	28 Półna	35 Światłow	42 Światłow	49 Tewa

Data zakładów 16.11.1957

Zakład II

1 8 15 22 29 36 43	2 9 16 23 30 37 44	3 10 17 24 31 38 45	4 11 18 25 32 39 46	5 12 19 26 33 40 47	6 13 20 27 34 41 48	7 14 21 28 35 42 49
--------------------	--------------------	---------------------	---------------------	---------------------	---------------------	---------------------

Zakład III

1 8 15 22 29 36 43	2 9 16 23 30 37 44	3 10 17 24 31 38 45	4 11 18 25 32 39 46	5 12 19 26 33 40 47	6 13 20 27 34 41 48	7 14 21 28 35 42 49
--------------------	--------------------	---------------------	---------------------	---------------------	---------------------	---------------------

Zakład IV

1 8 15 22 29 36 43	2 9 16 23 30 37 44	3 10 17 24 31 38 45	4 11 18 25 32 39 46	5 12 19 26 33 40 47	6 13 20 27 34 41 48	7 14 21 28 35 42 49
--------------------	--------------------	---------------------	---------------------	---------------------	---------------------	---------------------

Zakład V

1 8 15 22 29 36 43	2 9 16 23 30 37 44	3 10 17 24 31 38 45	4 11 18 25 32 39 46	5 12 19 26 33 40 47	6 13 20 27 34 41 48	7 14 21 28 35 42 49
--------------------	--------------------	---------------------	---------------------	---------------------	---------------------	---------------------

E-10 N 0845492

Zakład I

1 Białe	8 Ciężkowice	15 Krasówka	22 Półna mowa	29 Światłow	36 Spodolna	43 Truskaw
2 Bory	9 Huk na łód	16 Krasówka	23 Półna mowa	30 Światłow	37 S. most wód	44 Tewa
3 Bory	10 Huk na łód	17 Krasówka	24 Półna mowa	31 Światłow	38 Światłow	45 Tewa
4 Bory	11 Huk na łód	18 Krasówka	25 Półna mowa	32 Światłow	39 Światłow	46 Tewa
5 Bory	12 Huk na łód	19 Krasówka	26 Półna mowa	33 Światłow	40 Światłow	47 Tewa
6 Boki	13 Jaskółce	20 Półna	27 Półna	34 Światłow	41 Światłow	48 Tewa
7 Długo	14 Krasówka	21 Półna	28 Półna	35 Światłow	42 Światłow	49 Tewa

Data zakładów 16.11.1957

Zakład II

1 8 15 22 29 36 43	2 9 16 23 30 37 44	3 10 17 24 31 38 45	4 11 18 25 32 39 46	5 12 19 26 33 40 47	6 13 20 27 34 41 48	7 14 21 28 35 42 49
--------------------	--------------------	---------------------	---------------------	---------------------	---------------------	---------------------

Zakład III

1 8 15 22 29 36 43	2 9 16 23 30 37 44	3 10 17 24 31 38 45	4 11 18 25 32 39 46	5 12 19 26 33 40 47	6 13 20 27 34 41 48	7 14 21 28 35 42 49
--------------------	--------------------	---------------------	---------------------	---------------------	---------------------	---------------------

Zakład IV

1 8 15 22 29 36 43	2 9 16 23 30 37 44	3 10 17 24 31 38 45	4 11 18 25 32 39 46	5 12 19 26 33 40 47	6 13 20 27 34 41 48	7 14 21 28 35 42 49
--------------------	--------------------	---------------------	---------------------	---------------------	---------------------	---------------------

Zakład V

1 8 15 22 29 36 43	2 9 16 23 30 37 44	3 10 17 24 31 38 45	4 11 18 25 32 39 46	5 12 19 26 33 40 47	6 13 20 27 34 41 48	7 14 21 28 35 42 49
--------------------	--------------------	---------------------	---------------------	---------------------	---------------------	---------------------

E-10 N 0845492

SPECYJNY KONTROLER SPORTOWY
FOTO - LOTEK

Krowy lub ciągniki jako nagrody rzeczowe miały zachęcać do gry rolników. Ale nawet po 20 latach zachęcania grało ich niewielu

W 1955 roku pomysł trafił do Komitetu Centralnego PZPR. Biuro Polityczne KC zaaprobowало powstanie nowej gry. Główny Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki powołał 25 stycznia 1956 r. Przedsiębiorstwo Państwowe „Totalizator Sportowy”. Połowa wpływów przeznaczona była na wygrane, reszta na dofinansowanie sportu (26 procent) i pokrycie kosztów funkcjonowania.

Grę rozpoczęto od zakładów piłkarskich, zawartych pierwszy raz w marcu 1956 roku. Kupony wysyłano na pocztę, płacąc za nie naklejeniem specjalnego trójkątnego znaczka.

W styczniu 1957 roku wprowadzono grę liczbową toto-lotek, w której losowano 6 kul z 49. Zachowano sportowe pozory gry: – W dzisiejszym ciagnieniu wylosowano następujące dyscypliny sportowe: bieg przez płotki – 3, koszykówka – 15, piłka nożna – 22, rzut dyskiem – 29, spadochroniarstwo – 36, szachy – 42 – odczytywał spiker wylosowane dyscypliny, czyli numery.

Do 1995 roku gracze musieli wpisywać na kuponie swoje dane. Dzięki temu historia zanotowała nazwisko właściciela pierwszego



W tej skrzynce losowano wynik meczu w zakładach piłkarskich, gdy mecz nie został rozegrany

U góry od lewej:
Kupon z 1958 roku. Wysyłany pocztą,
opłatą za zakład był trójkątny znaczek

Jedna z milionerek z czasów, gdy zwycięzcy nie ukrywali tożsamości

Odwrotna strona kuponu na zakłady specjalne z okazji Dnia Kobiet



wygrała w TOTO-LOTKA
ponad MILION zł.

kuponu toto-lotka – był nim Mieczysław Kamiński spod Siemiatycz.

SOCJALISTYCZNY MILIONER PRYWATNY

Gdy powstawał toto-lotek, gry liczbowe różnego rodzaju, jak pisało, „rozpleniły się po wszystkich województwach”. Prowadziły je władze lokalne. Konkurencja była bezpardonowa. W nocy z 12 na 13 marca 1958 r. katowickie MPO wywiozło z ulic nieliczne jeszcze kioski kolektur totka. Po interwencji władz centralnych budki wróciły na miejsce.

Budki kolektorskie były wtedy maszynkami do robienia pieniędzy – wysoka prowizja nieopodatkowane dochody. Miesięcznie kolektor mógł zarobić cztery średnie krajowe. Fakt ten, a także wspomniana olbrzymia wygrana z 1958 roku były solą w oku partyjnych purystów. – Jak to możliwe, aby w naszym ustroju ktoś dochodził do fortuny bez pracy? – dziwili się pracownicy ideolodzy. – Lepiej, gdy wydają pieniądze na monopol liczbowy niż spirytusowy – bronili totka nieliczni.



Częściowo ideolodzy postawili na swoim: w połowie 1958 roku ograniczono wygrane do miliona złotych (co zlikwidowano dopiero po 23 latach) i zahamowano rozwój sieci kolektur przez zwiększenie obciążeń właścicieli. W następnym roku zyski Totalizatora spadły z 398 milionów złotych do 265 milionów.

Zyski mniejsze, ale nadal duże. – Teraz podam kilka liczb świadczących o wzroście naszej gospodarki – mówił pierwszy sekretarz KC PZPR. I wymieniał sześć liczb wylosowanych w toto-lotka. To żart z czasów PRL, ale jest w nim dużo prawdy. Totalizator budował obiekty sportowe tak skutecznie, że już w 1959 roku budżet państwa nie przeznaczył na nie ani grosza.

A jednak ideolodzy czuwali. „Czy w państwie socjalistycznym może państwowa placówka produkować milionerów prywatnych?” – pytał jeszcze w 1969 roku publicysta „Życia Warszawy”. Pocieszał się, że wygrypała tylko „mała grupa graczy, którym dopisało szczęście”.

KROWA NA WABIA

„Wpadłem w ten nałóg i trudno się odzwyczaić. Nie chciałbym wygrać kilka milionów, jak wygrywają Wasze pupilki, tylko bym prosił, żebyście wylosowali z tych nagród rzeczyczki obojętne jak samochód” – prosił na początku lat 80. w liście do toto-lotka Józef K. z Jastrowia.

Nagrody rzeczowe wprowadzono w tolotku w 1959 roku. Główną, wartą sto tysięcy złotych, był samochód lub domek jednorodzinny. Ponadto były telewizory, sprzęt sportowy, materiały budowlane, motocykle, ciągniki oraz żywy inwentarz (w tym krowy). Te ostatnie nagrody miały przyciągać do gry rolników. Jako że na wsi kolektry były rzadkością, udział rolników wśród ogółu graczy nawet po 20 latach nie przekraczał 10 procent.

Od lat 70. nagrody rzeczowe były atrakcją zakładów specjalnych (sylwestrowych, na Dzień Kobiet), a także tych, z których dochód przeznaczano na Polski Komitet Olimpijski, na odbudowę Zamku Królewskiego. – W celu uatrakcyjnienia losowania wystapi-

liśmy z inicjatywą uzyskania zgody na wykupienie jednego domku jednorodzinnego. Dzięki życzliwości stołecznych władz zgodę taką uzyskaliśmy – zapowiadał dyrektor Totalizatora Zdzisław Boczkowski losowanie na rzecz Zamku w 1973 roku. – Będzie to segmentowiec o łącznej powierzchni 78,20 metra kwadratowego. Wraz z domkiem szczęśliwy uczestnik gry w toto-lotka, który go wylosuje, otrzyma także garaż.

JESTEŚCIE TACY BOGACI

– Spółkę założyliśmy dwa lata temu – opowiadał pewien urzędnik prasie w latach 60. – Gra cały nasz pokój. Potrącamy pierwszego na totka, ja wypełniam i wysyłam. Trzy razy trafiliśmy „czwórkę” – chwalił się. Członkowie takich spółdzielni wysyłali tygodniowo nawet setki kuponów, matematycy (za darmowe udziały) co tydzień wyliczali im typy na „szóstkę”.

„Panie dyrektorze, jestem wiernym graczem od lat. Ostatnio postawiłem całą pensję i przegrałem, a trzeba dzieci wysłać na wczasy. Jesteście tacy bogaci, przyslijcie mi choć 10 tysięcy zapomogi” – prosił pechowy gracz w latach 80. O szczęściarzach zaś krążyły opowieści. W 1966 roku pewna starsza pani pierwszy raz w życiu weszła do kolektury i pierwszy raz wypełniła kupon. Wygrała milion. Bezrobotny malarz-sztukator z podolsztyńskiej wsi trafił „szóstkę” aż dwa razy! Pierwszy raz 26 sierpnia 1995 r., drugą 10 dni później. Ten drugi kupon wypełnił dwuletni syn mężczyzny. Gdy wieść o „złotym dziecku” rozniosła się po okolicy, przed domem szczęśliwca ustawiały się kolejki prosiących chłopca o skreślanie. Dwulatek wypełniał kupony, ale pozostał lojalny wobec rodziny – nikt inny po jego skreśleniach „szóstki” nie wylosował.

ŻYCIE STAJE SIĘ CIĘŻAREM

– Jak wygram, kupię sobie opla kapitana lub wołgę. Innych wozów nie uznaję – zwierzał się prasie w 1961 roku 17-latek.

– Zwróciliśmy się z pytaniami do 240 milionerów – mówił w 1967 roku Zdzisław Boczkowski, dyrektor Totalizatora. – Odpowiedzi udzieliło 83 (57 robotników, 23 inteligentów i 3 rolników). 54 osoby wydały większość wygranej na zakup domku jednorodzinnego lub mieszkania, 27 przeznaczyło część wygranej na kupno samochodu, a 6 na wycieczki zagraniczne. Wielu spośród naszych milionerów odkłada w całości pieniądze „na procent” do PKO. W ciągu 10-lecia istnienia toto-lotka znamy tylko trzy wypadki, kiedy wygrani porzucili pracę i postanowili „żyć z miliona” – wyliczał dyrektor.

„Wygrana została całkowicie rozchodowana i w dalszym ciągu gram zespołowo i indywidualnie, chcąc trafić sześć trafień, żeby sobie byt polepszyć” – odpowiadał na ankietę kasjer z PKP.

O wygodnym życiu wiecznym pomyślał inny milioner. Za 450 tysięcy złotych zbudował dla siebie i rodziny potężny granitowy grobowiec. Za te same pieniądze szewc, chałupnik inwalida, kupił rodzinie dwie wille. Milioner z 1967 roku, zawodowy kierowca, zainwestował we własną ciężarówkę, ale reszta z wygranej napawała go smutkiem: „Ponieważ jestem w tym samym mieście, życie staje się dla mnie dużym ciężarem. Stale jestem nagabywany przez różnych ludzi, żebym stawiał im wódkę, a inni jeszcze nachodzą moje mieszkanie, abym pożyczał i pożyczał im pieniądze”.

WĘDRÓWKI „SZÓSTKI”

Przez ponad 30 lat, gdy losowania odbywały się raz w tygodniu, papierowe kupony sortowano ręcznie. – W zakładach specjalnych na Dzień Kobiet w 1985 roku przyszło 17 milionów kuponów. Obawialiśmy się, że podłoga w skarbcu nie wytrzyma tego ciężaru – opowiada Andrzej Adamczyk.

W regulaminie był zapis, że kupony, które nie dotarły do zbiornicy przed losowaniem, nie brały w nim udziału. Bez względu na przyczynę niedotarcia. Kiedyś kolektorka niosąca worek odcinków została napadnięta i dotkliwie pobita. Ranna dotarła do celu, uparcie dzierżąc worek. Do szpitala pojechała po zdaniu odcinków. W nagrodę firma wysłała ją z rodziną na dwutygodniowe wczasy w Krynicy.

– Podczas zimy stulecia w 1979 roku przesunęliśmy losowanie, bo pociągi nie mogły przebić się przez zasy – wspomina Andrzej Adamczyk.

W poniedziałek, po niedzielnych losowaniach, do pracy w oddziałach przystępowało 800 do 1000 wybieraczy. Nie mogli wnosić do pracy prywatnych ołówek, torebek. Uzbrojeni w kartonowy szablon odszukiwali zwycięskie kupony. Sprawdzacz z wieloletnim doświadczeniem był w stanie przejrzeć tysiąc kuponów na godzinę.

Wygrane „piątki” i „szóstki” jechały do Warszawy. W środę Komisja Programów i Ustalania Wygranych (złożona z działaczy sportowych) otwierała główny skarbiec. Porównywała przysłane odcinki A ze zdeponowanymi odcinkami B. Wszystkie większe wygrane sprawdzał też grafolog – pracujący w Totalizatorze na umowę-zlecenie ekspert z biura kryminalistyki milicji. Jego zadaniem było ustalenie, czy odcinki pochodzą z jednego kuponu.

PEWNY NA BANKRUCTWO

Tylko przez 10 pierwszych lat istnienia Totalizatora do prokuratury trafiło sto poważnych spraw o próbę oszustwa. Zaś niemal co tydzień do kolektur zgłaszali się pomniejsi spryciarze przekonujący, że przyniesiony kupon z trafioną „szóstką” został wypełniony przed losowaniem.

Nie zawsze chodziło o oszukanie Totalizatora. – Do dyrekcji przyszedł mężczyzna, któremu nie chciano wypłacić wygranej – mówi

Andrzej Adamczyk. – Pokazał kupon, który, jak się okazało, został wypełniony już po losowaniu. Mężczyzna był kelnerem. Kupon dostał od gościa jako zastaw za niezapłacony rachunek. Gość bawił się w restauracji, opowiadając personelowi, że trafił „szóstkę”. W ten sposób za darmo zjadł i wypił.

Na początku lat 80. sąd skazał oszusta, który w niedzielę po losowaniu dzwonił do Totalizatora, że ma „szóstkę”. Tak naprawdę kupon wypełnił i dostarczył do kolektury następnego dnia, w poniedziałek. Zdradził go właśnie poniedziałkowy numer banderoli. Przed sądem oszust tłumaczył, że liczył na bałagan w Totalizatorze.

Już w latach 90. Henryk Lotto z Milanówka pod Warszawą chciał skorzystać z tego, że jego nazwisko wisi na każdej kolekturze. W 1998 roku zażądał dożywotniej pensji od Totalizatora w wysokości tysiąca złotych. W tym za zaległe lata, a urodził się w 1942 roku. Nic nie uzyskał.



U góry:
Polonez jako nagroda w zakładach specjalnych Totalizatora (lata 80.)

Po lewej:
Roman W. trafił dwie „szóstki” w odstępie 10 dni. Drugi kupon wypełnił jego syn Jakub

Po prawej:
Ryszard Rembiszewski podczas pokazu mody, 2003 rok

Tylko przez 10 pierwszych lat istnienia Totalizatora do prokuratury trafiło sto poważnych spraw o oszustwo. Pomniejsi spyciarze trafiali się co tydzień

– Pewien prokurator obliczył kiedyś, że w podzucenie fałszywego kuponu trzeba by, na różnych etapach, zaangażować ośmiu pracowników Totalizatora – mówi Andrzej Adamczyk. – Wy tłumaczyłem mu, że po podziale wygranej kwota nie byłaby wystarczająca duża, aby kupić sobie milczenie tej ósemki.

BONIEK RATUJE TOTKA

Losowania transmitowane są w telewizji od 1973 roku. Wcześniej trzeba było zawieźć spikerowi radia. „Tu zgłoszenia polska Radio Wolna Europa. Podajemy prawdziwe numery toto-lotka” – krążył po PRL-u żart

sugerujący, że może i podawane wyniki są kłamstwem.

– Prośby przechodniów o podanie wyniku najbliższego losowania są dla mnie na porządku dziennym – mówi Ryszard Rembiszewski. Od 18 lat prowadzi transmisje z losowań. Na co dzień pracuje na stanowisku głównego specjalisty w Totalizatorze. – Byłem spikerem w radiu. Potem w telewizji prowadziłem „Koncert życzeń”. W tym programie się sprawdziłem, więc zaproponowano mi transmisje losowań. Staram się, by realizacja transmisji uniemożliwiała jakieś oskarżenia o oszustwa. Nie ma gwałtownych cięć, są długie zbliżenia. W mojej pracy ważne są bo-



Fot. TOTALIZATOR SPORTOWY (2)



Fot. PIOTR BLAWICKI/SUPER EXPRESS

wiem trzy rzeczy: wiarygodność, wiarygodność i wiarygodność – zapewnia.

Mimo to zdarzały się wypadki.

– Z miejsca, w którym się znajdowałem, widać było, iż jest to 33. Nie wiem, jak to się stało – wyjaśniał Rembiszewski, gdy w 1996 roku doszło do najbardziej znanej pomyłki w dziejach podawania wyników Totalizatora. Prowadzący błędnie odczytał wylosowany numer 38, komisja w studiu nic nie zauważyła, losowanie spokojnie dobiegło końca.

Zauważyli telewidzowie. Totalizator za trafione uznał oba wyniki: odczytany i pokazany. – Za ten drugi wypłacaliśmy nie wygraną, lecz odszkodowanie (w sumie około 26 miliardów starych złotych), bo w protokole losowania było 33. W Ministerstwie Finansów uznali, że pomyliliśmy się dla reklamy, by

wzrosła nasza wiarygodność, a wraz z nią obroty – śmieje się Andrzej Adamczyk.

ZŁODZIEJ PUKA DWA RAZY

Po wprowadzeniu stanu wojennego obroty Totalizatora wzrosły. – Byliśmy jedną z niewielu rozrywek – tłumaczył Jerzy Borkowski, ówczesny dyrektor Totalizatora. – Był taki moment, że w telewizji oprócz oficjalnych komunikatów nadawano jedynie transmisje z losowania toto-lotka – wspominał. Ale maszyny drukujące banderole były tak wyeksploatowane, że wyłączano je jedna po drugiej. Na nowe państwo musiałoby wysuwać dewizy, a te przeznaczano na spłatę długów zagranicznych. Ostatecznie nowe maszyny GKKFiT kupił w 1985 roku za dewizy z transferu Zbigniewa Bońka do Juventusu i z dochodów za udział naszych piłkarzy w mistrzostwach świata.

Pod koniec lat 80. Totalizator zarządzany przestarzałymi metodami przynosił jednak straty. W 1990 roku byli już zagraniczni kupcy na firmę. Ale w 1991 roku Leszek Balcerowicz jako minister finansów zlikwidował fundusze celowe, w tym odprowadzanie 26 procent wpływów Totalizatora na sport. Uratowało to firmę przed bankructwem, a z zyskanych pieniędzy kupiono lottomaty. Urządzenia łączą satelitarnie kolekturę z głównym komputerem w Warszawie za pośrednictwem 604 stacji bazowych. – Kupiony w USA komputer był wtedy tak wielki, że na jego zainstalowanie w Polsce zgodę musiało wydać amerykańskie ministerstwo wojny – wspomina Andrzej Adamczyk. Ostatni zakład offline przyjęto 17 stycznia 1995 r. w Mrągowie. W zeszłym tygodniu w całej Polsce były 9162 lottomaty.

Początkowo zakładano, że jedna maszyna da około 650 dolarów tygodniowego obrotu. Ale dawała 2400 dolarów – kampania promocyjna pod hasłem: „Miliard w środę, miliard w sobotę”, zwiększenie puli na główną nagrodę sprawiły, że w kilka miesięcy obroty firmy wzrosły ośmiokrotnie. Na nowych lottomatach chciał też zarobić warszawski złodziej. Włamał się do kolektury i ukradł urządzenie. Po tygodniu włamał się drugi raz, żeby je oddać. Najwyraźniej nie znalazł kupca.

DOWODY NIEUWAGI

Franciszek Majka z Wrocławia skreślał od lat te same liczby. Gdy przebywał w sanatorium w Ustce, sprawdził 9 lutego 1999 r. kupon w lottomacie. Wyrzucił go, bo nic nie wygrał. Przejrzał potem znów wylosowane liczby i okazało się, że jednak miał „szóstkę”. – Rozmawiałem z nim jako pierwszy z dyrekcji – wspomina Andrzej Adamczyk. – Z dowodów jasno wynikało, że to on typował. Nie miałem zastrzeżeń – mówi. Komputer centralny odnotował sprawdzenie „szóstki” w Ustce. Jednak Totalizator poszedł w zaparte i nie chciał wypłacić wygranej. Sprawa trafiła do sądów kolejnych instancji, gdzie zapadały wyroki korzystne dla

gracza. W maju 2003 roku Majka, okrzyknięty „pogromcą Totalizatora”, wygrał przed Sądem Najwyższym. Razem z odsetkami wypłacono mu w końcu trzy miliony złotych.

W 1994 roku, po dwóch latach procesów, taksówkarz z Lublina dostał od Totalizatora 860 milionów starych złotych (zaległa wygrana), a do tego miliard złotych odsetek. Udowodnił, że przez nieuwagę kolektury przyklepiono mu na kupon banderolę Express Lotka, podczas gdy mężczyzna zagrał w Dużego Lotka.

Także winę Totalizatora udowodniła po trzech latach procesów Teresa B. z Chrzanowa. W 1993 roku wypełniła kupon na środę, w czwartek zgłosiła się do kolektury z „szóstką”. Odeszła z kwitkiem, bo reszta odcinków nie trafiła do zbiornicy w Krakowie. Okazało się, że w kolekturze naklejono jej banderolę na następne losowanie, w sobotę. Sąd nie zgodził się z firmą, że to gracz ma sprawdzać banderolę, i polecił wypłacić (razem z odsetkami) ponad milion złotych.

GRA TELE I VIDEO

Od stycznia 1998 roku Totalizator nie jest już przedsiębiorstwem państwowym. Został przekształcony w jednoosobową spółkę skarbu państwa. Działa jako firma komercyjna, która ma wykonywać monopol państwa, organizując i prowadząc gry losowe oraz loterie pieniężne.

– Ten rok chcemy zakończyć z 11–12 tysiącami terminali w całej Polsce – mówi Mirosław Rogulski, prezes Totalizatora. – Kolejnym celem jest wykorzystanie naszej sieci do usług nieloteryjnych, w tym do umożliwienia płatności za pośrednictwem lottomatu rachunków za gaz, za telefon. Szczególnie ważne byłoby to w mniejszych miejscowościach, gdzie rolnik mógłby w kolekturach opłacać (na przykład) także składki na KRUS.

W telewizji publicznej i w Ministerstwie Finansów jest już projekt telebingo. Kupony kupowane byłyby w kolekturach, a losowanie układu liczb w trzech tabelach odbywałoby się w TVP z udziałem publiczności, w tym graczy. – Spodziewamy się wprowadzenia telebingo na przełomie roku – twierdzi prezes Rogulski.

W przyszłym roku zaś mogą pojawić się w kolekturach automaty do widołoterii – połączone z centralnym komputerem, obsługiwane przez gracza oferowałyby kilkanaście gier. – Podchodzimy do tego z rozmysłem, bo na przykład w Kanadzie trzy do pięciu procent graczy uzależnia się od takich automatów. Musimy też rozwiązać problem dostępu do maszyn osób niepełnoletnich – mówi prezes Totalizatora.

Zaś ministerstwa Skarbu i Finansów planują połączenie Totalizatora z Polskim Monopolem Loteryjnym. Totalizator przejąłby wtedy od PML ich gry pieniężne, czyli „zdrapki”. – Ale już teraz Totalizator opanował 99 procent rynku takich gier – dodaje prezes.

PAWEŁ WIECZOREK

SARS się czai

Choć epidemia SARS, która rozpoczęła się w listopadzie 2002, wygasła w lipcu następnego roku, Światowa Organizacja Zdrowia wciąż ostrzega o czającym się zagrożeniu. Jej zdaniem największym niebezpieczeństwem są obecnie... laboratoria badawcze. Problem w tym, że podczas epidemii choroby próbki wirusa zostały rozesłane do tak wielu instytutów, że stracono nad nimi kontrolę. Nikt już nie wie, gdzie jeszcze mogą się znajdować szczepy wirusa.



Fot. GETTY IMAGES/EAST NEWS

IO – JEDEN Z KSIĘŻYCÓW JOWISZA w swoich naturalnych kolorach. Zjadliwa żółć pochodzi od siarki, która stale wylewa się na powierzchnię z licznych wulkanów



Fot. NASA

O tym, że to poważny problem, świadczy to, iż od połowy zeszłego roku jedyne przypadki SARS, jakie zanotowano, wystąpiły u pracowników laboratoriów badających wirusa lub u członków ich rodzin. Co gorsza, w większości były to osoby niemające bezpośredniego udziału w badaniu zarasków. Niepokojące są też badania chińskich naukowców, które pokazały, że wirus obecny jest w gruczołach potowych osób chorych. Może to świadczyć o tym, że SARS jest zdolny do rozprzestrzeniania się przez dotyk.

Swego nie znacie

Astronomowie, którzy z lubością wpatrują się w odległe o miliardy lat świetlnych obiekty, przeoczyli jeden z kawałków naszej własnej galaktyki – Drogi Mlecznej. Wszystko wskazuje na to, że zgubiło nam się jedno z jej ramion. Nasza galaktyka należy do typu spiralnych – przypomina ogromny dysk z poskręcanymi ramionami.



Fot. NASA

Problem w tym, że znajdujemy się wewnątrz niej, więc nie jesteśmy w stanie obserwować całej struktury tak wygodnie jak na przykład podobnej galaktyki Andromedy. Widzimy po prostu jasny pas przecinający niebo. O budowie skupiska gwiazd, w którym żyjemy, musimy

wnioskować na podstawie skomplikowanych obserwacji i symulacji komputerowych. Badania utrudnia to, że widok na większą część Drogi Mlecznej przesłaniają nam chmury kosmicznego pyłu. Jednak wodór, który jest jednym z głównych składników międzygwiazdowej materii, emituje promieniowanie radiowe przenikające przez pył. Odbierając te sygnały, pośrednio wnioskujemy o budowie naszej galaktyki.

Do niedawna uważano, że ma ona cztery spiralne ramiona, jednak ostatnie odkrycie sugeruje istnienie piętego, najbardziej zewnętrznego. Prawdopodobnie składa się ono głównie z gazu i niewielkiej liczby gwiazd.

Gdyby było widoczne, zajmowałoby ponad połowę nieba nad naszymi głowami.

Szukający inaczej



Fot. GETTY IMAGES/IFM

Nowe podejście do przeszukiwania zasobów Internetu proponuje powstająca

na University of Washington wyszukiwarka KnowItAll. Potrafi tworzyć zestawienia dowolnych informacji – można ją zapytać na przykład o listę 10 najszybszych samochodów lub 100 najlepiej sprzedających się płyt 2003 roku. System przeszukuje wiele stron WWW, wygrzebuując z nich dane rozrzucone po Sieci. Zwraca przy tym uwagę na charakterystyczne zwroty poprzedzające listy: „takie jak” czy „a wśród nich”. Największą nowością jest to, że wyszukiwarka na podstawie istniejących informacji tworzy nową treść, której nigdzie indziej nie można znaleźć. Dotychczas dostępne systemy wskazywały tylko istniejące w Sieci strony.

wiedział

Nowym pomysłem zainteresował się już Google i wojskowa agencja DARPA, której wywodzi się Internet.

Szansa dla Hubble'a

O tym, że w wyniku kosmicznych pomysłów amerykańskiego rządu kosmiczny teleskop Hubble'a został skazany na śmierć, pisaliśmy już kilka razy. Teraz jednak pojawiła się dla niego nadzieja na miarę XXI wieku. Ponieważ teleskop wymaga przeprowadzenia kilku napraw, planowano wysłanie do niego promu kosmicz-



Fot. NASA

nego. Jednak ze względu na bezpieczeństwo oraz z powodu cięć budżetowych pomysł ten zarzucono – teleskop miał zakończyć życie w 2007 roku. Podniosły się głosy protestu z całego świata – jeden z najbardziej efektywnych systemów badawczych mógłby przecież działać jeszcze przez ponad osiem lat.

W związku z tym powstał pomysł wysłania na ratunek Hubble'owi statku bezzalodowego. Serwisem miałby się zająć robot – wymieniliby szwankujące żyroskopy i baterie. NASA ogłosiła konkurs na najlepszy projekt takiego robota. Otrzymane projekty obudziły wielkie nadzieje – misja wydaje się całkiem realna. Rozważa się między innymi użycie „Robonauty” – opracowanego przez NASA robota mającego ramiona zbudowane na wzór ludzkich, który w przyszłości ma wyeliminować konieczność wychodzenia w otwartą przestrzeń.

LIZANIE

Uwielbiamy lody – 70% Polaków w wieku 10–55 lat jada je co najmniej raz na dwa tygodnie. Czemu sięgamy po nie tak często?

87%

lubi po prostu sprawić sobie przyjemność

82%

przegryza między posiłkami, by zaspokoić głód

80%

traktuje lody jako nagrodę

59%

je, bo się nudzi

52%

dostarcza sobie w ten sposób energię

43%

odczuwa przy jedzeniu pozytywne pobudzenie i podekscytowanie

39%

uważa, że to miłe przyzwyczajenie, rodzaj rutyny

36%

traktuje lody jako lek uspokajający

Dane: TNS OBOP

Ja nie szukam, ja znajduję.

IMMANUEL KANT (1724–1804), FILOZOF NIEMIECKI



Fot. CORBIS/FREE

Lotem cieplej

Smugi kondensacyjne mogą być jednym z głównych winowajców globalnego ocieplenia. Gdy po niebie przelatuje odrzutowiec, często pozostaje za nim jasna linia przypominająca cienkie pasmo chmur. To podobieństwo jest więcej niż przypadkowe – stwierdzili naukowcy z NASA.

Smuga kondensacyjna to, wbrew powszechnemu przekonaniu, nie tylko spaliny z silnika odrzutowego. Charakterystyczny wygląd nadają jej cząsteczki pary wodnej powstające podczas spalania wodoru zawartego w paliwie lotniczym. Pod wpływem zimnego powietrza (na wysokości 10 kilometrów temperatura osiąga –50 stopni Celsjusza) drobiny wody zamarzają i tworzą strukturę bardzo podobną do wysokich chmur pierzastych – cirrusów.

Taka sztuczna chmura może być zaczątkiem kondensacji pary wodnej z powietrza – smugi kondensacyjne pozostają w atmosferze tym dłużej, im większa jest wilgotność. Rozrastając się, mogą pokrywać ogromne obszary – w ciągu kilku godzin z jednej smugi mogą powstać cirrusy obejmujące ponad 20 tysięcy kilometrów kwadratowych. Ten typ chmur ma szczególne

właściwości: z jednej strony słabo odbija promienie docierające ze Słońca, a z drugiej nie pozwala uciekać ciepłu z powierzchni Ziemi. W efekcie pod cirrusami temperatura atmosfery rośnie.

Dokładne badania prowadzone od 25 lat pokazały, że w każdej dekadzie ilość cirrusów zwiększa się o jeden procent. Patrick Minnis, naukowiec z należącego do NASA Langley Research Center, oszacował, że wpływ samolotów może podnosić średnią temperaturę o 0,2–0,3 stopnia w ciągu 10 lat. Tymczasem obserwacje pokazały, że od 1975 roku temperatura w Ameryce Północnej rosła właśnie o 0,27 stopnia na dekadę. Czy możliwe jest więc, by za ocieplenie odpowiadały samoloty?

Zdaniem naukowców chodzi tu raczej o wzmocnienie efektu cieplarnianego wywołanego emisją gazów takich jak dwutlenek węgla. Jednak i tu mogą być winne samoloty – już w 1999 roku ogłoszono raport, z którego wynikało, że licząca 12 tysięcy samolotów flota światowa emituje do atmosfery niemal tyle dwutlenku węgla, ile wszystkie samochody razem wzięte.

(PST)

[Zagadka]

Mam litr farby białej i litr żółtej. Do pojemnika z białą farbą przelano kubek (0,2 litra) żółtej farby i zmieszano. Następnie tyle samo wymieszanej

farby wlało z powrotem do farby żółtej. Czego jest więcej – żółtej farby w pojemniku z białą czy białej farby w pojemniku z żółtą?

ODPOWIEDŹ DO ZAGADKI Z NUMERU 20

Temnospondyle nie mają pygostylu. Temnospondyle to wymarła podgromada płazów. Tymczasem pygostyl to zrosnięte kręgi ogonowe płazów, stanowiące podporę dla sterówek.



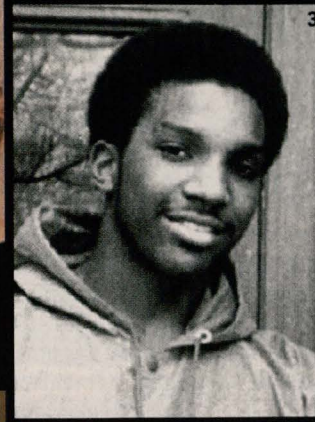
www.MINI.com.pl

psychologia

Nie ma niczego wyjątkowego w amerykańskich żołnierzach znęcających się nad irackimi więźniami. W każdym z nas drzemie taki potwór. Psycholodzy wiedzą, jak łatwo go obudzić

Zwielu zdjęć pokazujących Irakijczyków dręczonych przez żołnierzy amerykańskich w więzieniu Abu Ghraib uśmiecha się do nas drobna młoda kobieta. To szeregowiec Lynndie England. 21-letnia dziewczyna z małego miasteczka w Apalachach.

Wstąpiła do wojska w wieku 17 lat, liczyła na stypendium na wyższej uczelni. Marzyła o tym, by zostać meteorologiem – specjalistą od sztormów i burz.



1. LYNNDIE R. ENGLAND, 21 lat. Główna bohaterka irackiej afery. Poszła do wojska, bo chciała zostać meteorologiem

2. MEGAN M. AMBUHL, 29 lat. Jej przyjaciele ze szkoły wspominają ją jako miłą, ciepłą osobę. Jej brat nie wierzy w jej udział w torturowaniu Irakijczyków – Nie widać jej na żadnym zdjęciu – mówi

3. JAVAL S. DAVIS, 26 lat. Gorliwy baptysta, ojciec dwójki dzieci. O wydarzeniach z irackiego więzienia, w których prawdopodobnie brał udział, mówi, że „budziły jego wątpliwości moralne”

4. CHARLES A. GRANER, 35 lat. „Czarna owca” grupy. W cywilu więzienny strażnik oskarżony o znęcanie się nad żoną

5. SABRINA D. HARMAN, 26 lat. Chciała być policjantką, tak jak ojciec, ale nie zdała egzaminów. Jej matka mówi, że na jedynym zdjęciu, jakie przysłała do domu, jest z irackim chłopcem, którego nazywa „braciszkiem”

Zdjęcia robione podczas eksperymentu Zimbarda można łatwo pomylić z tymi z Abu Ghraib...

Studentom nikt nie kazał tak się zachowywać, ich sadyzm był zupełnie spontaniczny. Czy podobnie było w wypadku amerykańskich żołnierzy? Wszyscy należeli do 372. Kompanii Żandarmerii Wojskowej (Military Police – w skrócie MP). Nie szkolono ich w przeszukiwaniu więźniów. Byli rodzajem wojskowej drogówki mającej dbać o konwojowanie transportów, przejeżdżność dróg. Skierowani do pilnowania więźniów nie mieli uprawnień do przeszukiwania ich. Kto im na to pozwolił? – Wykonywaliśmy tylko rozkazy – bronią się teraz. Czyje?

Kapitanoza

Nie wiadomo, czy da się ustalić konkretne osoby. Prawdopodobnie dyrektywy pochodziły od oficerów wywiadu, śledczych pracujących w więzieniu, należących do sił zwanych Military Intelligence (MI). Dlaczego żandarmi ich słuchali?

Z e-maili, które sierżant Ivan Frederick wysłał z Iraku do rodziny, wynikało, że jest dumny z tego, iż pracuje dla MI. Przecież to oficerowie, śledczy – prawdziwe autorytety. Nie kazaliby robić nic, co jest niezgodne z przepisami lub niewłaściwe.

O tym, jak złudna i silna jest wiara w autorytety, psychologowie przekonali się w jednym doświadczeniu. Najslawniejsze przeprowadził w połowie lat 70. XX wieku psycholog społeczny Stanley Milgram z University of Utah (powtórzone je w 1999 roku z podobnymi wynikami).

Grupie ochotników naukowiec spełniający wszelkie warunki stereotypowego „fachowca” od badań psychologicznych zaproponował „badanie nad mechanizmami pamięci”. Każdy miał uczyć jakiegoś anonimowego człowieka zamkniętego w laboratorium listy słów. Za pomyłkę miano aplikować „uczniowi” wyładowanie elektryczne. Żeby nie było wątpliwości, każdemu „nauczycielowi” pozwolono odczuć na własnej skórze uderzenie 45-woltowym prądem.

Przy każdej kolejnej pomyłce „uczeń” miał być karany coraz mocniejszymi wyładowaniami. Końcem skali urzędzenia, które miało być obsługiwane przez „nauczyciela” ochotnika, było 450 woltów. Faktycznie prąd był bardzo niewielki.

Co się stało, gdy uczeń w połowie eksperymentu zaczął uskarżać się na ból i prosić o zaprzestanie tortur? Ilu „nauczycieli”

JAK ZOSTAĆ BESTIĄ?

OLGA WOŹNIAK

– Jest bardzo bystra, inteligentna – mówi reporterom „Time’a” jej koleżanka z oddziału Kerry Shoemaker-Davis. – Jest ambitna, nigdy nie chciała w niczym ustępować chłopakom. Chciała być mocna, trenowała ciężko, nie była z tych, co to boją się złamać paznokcie.

Sierżant Ivan Frederick ma 37 lat. Zaciągnął się do wojska, bo chciał zobaczyć kawałek świata. Jest żonaty, wychowuje dwoje dzieci z poprzedniego małżeństwa żony. W cywilu był strażnikiem w więzieniu w Wirginii. Raz uratował więźnia, który usiłował powiesić się w celi. Dostał za to nagrodę od gubernatora stanu.

Sabrina Harman, 26 lat. – To taka ciepła, wrażliwa dziewczyna – mówi jej matka. – Potrafiła przenosić na trawnik gąsienicę napotkaną na chodniku, żeby nikt jej nie rozdeptał.

Sabrina zawsze chciała być policjantem – tak jak tata – ale nie przeszła egzaminów. Zanim wstąpiła do wojska, zajmowała się rozwożeniem pizzy.

Zwykli ludzie, zwykłe życiorysy. Gdyby chcieć szukać między nimi czarnego charakteru, kwalifikowałby się jedynie Charles Graner. W cywilu pracował jako strażnik w więzieniu o zaostrzonym rygorze w Pensylwanii. Podobno lubił dręczyć więźniów. Jego była

żona, zanim sąd zarządził separację, parę razy składała skargi o znęcanie się nad rodziną. Pozostali to przeciętni Amerykanie, patrioci, z przyzwoitych rodzin. Ich krewnym i przyjaciółom nie mieści się w głowie ich udział w całej sprawie.

Jak stali się oprawcami? Wysokie władze wojskowe nazywają ich „zepsutymi jabłkami”. Prezydent Bush twierdzi, że to kilka niechlubnych wyjątków, których działania nie reprezentują natury wszystkich „dzielnych mężczyzn i kobiet służących Stanom Zjednoczonym”.

Psychologowie zajmujący się agresją i przemocą są innego zdania. Nie ma niczego wyjątkowego w ludziach patrzących na nas ze zdjęć hańby, które obieżył świat. Są tacy jak my. Każdy z nas – cokolwiek teraz o sobie

myśli – w podobnych warunkach mógłby zająć ich miejsce. Mechanizmy, które do tego prowadzą, są dobrze znane naukowcom.

Zabawa w więźniów

Niedzielnny poranek w studenckim miasteczku Palo Alto w Kalifornii. Nie ma zajęć, studenci rozsiadają się na trawnikach, snują leniwie uliczkami. Naraz w senną ciszę wdzierza się sygnał samochodu policyjnego, za chwilę dołącza do niego następny i jeszcze następny. Obława. Czy z więzienia uciekł jakiś groźny przestępca? Samochody zatrzymują się przy trawnikach, chodnikach, domach studenckich. Policjanci wbiegają między młodych ludzi, zaczynają się aresztowania. Studenci wypychani są do samochodów, informowani o swoich prawach – scena jak

z filmu kryminalnego. Ale to się dzieje naprawdę.

Opisane wydarzenia rozpoczęły głośny później eksperyment przeprowadzony przez psychologa społecznego Philipa Zimbarda.

Aresztowani byli ochotnikami. Każdy miał dostać 15 dolarów dziennie za udział w zabawie w więzienie – przez kilkanaście dni odgrywać rolę strażników lub aresztantów. Łatwa kasa? Kłopot w tym, że zabawa krótko była zabawna.

Ochotników zwerbowano z ogłoszenia. Podziału ról dokonano za pomocą losowania. Wszyscy przeszli badania psychologiczne. Warunki: stabilni emocjonalnie, zdrowi fizycznie i psychicznie, przeciętni pod każdym względem i przestrzegający prawa. Wszyscy biali, z klasy średniej.

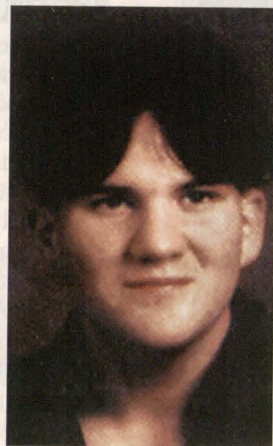


psychologia



zrezygnowało? Gdy autorytarny szef eksperymentu chłodnym głosem nakazywał kontynuację, większość słuchała. Ponad 62 procent badanych doszło do 450 woltów, mimo że „uczeń” dawno już „stracił przytomność” i zamilkł. Oto siła autorytetu!

Ślepe podleganie rozkazom osób, które uważa się za autorytet, nosi nazwę kapitanoz. Przedstawiciele amerykańskiej Federalnej Administracji Lotnictwa w połowie lat 80. ubiegłego wieku badający katastrofy lotnicze zauważyli, że często ewidentne błędy kapita-



JOSEPH M. DARBY, 24 lata. Po obejrzeniu zdjęć, jakie jego koledzy zrobili sobie z torturowanymi Irakijczykami, anonimowo zawiadomił przełożonych o sprawie

Stopa w drzwiach

– W doświadczeniu Milgrama można też zaobserwować inną zasadę psychologiczną, która skłaniała badanych do takiego zachowania – komentuje psycholog społeczny Wojciech Kulesza ze Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej w Warszawie. – To tak zwana stopa w drzwiach.

Nazwa pochodzi od taktyki, jaką stosowali amerykańscy akwizytorzy. Gdy udało się chociaż wsunąć stopę w drzwi potencjalnego klienta, po chwili siedziało się już wygodnie u niego na kanapie, pokazując kolekcję odkurzaczy.

Gdyby na początku eksperymentu powiedziano „nauczycielom”, że mają drażnić niewinnych ludzi 450-woltowym prądem, każdy by odmówił. Zaczęło się więc od niewielkich napięć.

– Myślę, że amerykańscy żołnierze też nie byli od początku namawiani do drastycznych zachowań. Małymi krokami weszli jednak w swoją rolę – mówi Wojciech Kulesza. – Na początku pewnie tylko krzyczeli na więźniów, potem uderzyli, a po pewnym czasie zaczęli przeprowadzać prawdziwe tortury.

W podobny sposób postępowali Chińczycy z Amerykanami podczas wojny koreańskiej. Najpierw jeńców wojennych prosili

o to, by wygłosili jedno antyamerykańskie twierdzenie. Tak jednak drobne, że wydawało się nie mieć żadnej wagi, na przykład: „Stany Zjednoczone nie są doskonałe”. Potem proszono o rozwinięcie tego stwierdzenia i określenie, na czym właściwie owa niedoskonałość polega. Następnie amerykańscy jeńcy mieli sporządzić listę „zauważonych przez siebie wad Ameryki” i podpisać ją. Tego dokumentu Chińczycy używali w antyamerykańskich audycjach radiowych. A sprytnie wykorzystani Amerykanie sami sobie przypinali etykietkę kolaboranta i podawali się tej roli.

Ale dlaczego w to wszystko dały się wciągać kobiety? Wydaje się, że są bardziej empatyczne, wrażliwe, społecznie dostosowane. Otóż to – to właśnie powoduje, że trudniej im się wyłamać.

Na większości zdjęć widać uśmiechniętą Lynndie England. Wy tłumaczenie tego daje kolejny eksperyment Milgrama. Podobny do poprzedniego – tu „uczony prądem” miał być mały puszysty szczeniak. W roli nauczyciela – 13 kobiet i 13 mężczyzn.

Eksperyment prowadził naukowiec sprawiający wrażenie autorytetu. Prąd był dość słaby, o czym biorący udział w eksperymencie nie wiedzieli, mając skalę do 450 woltów. Sądząc, że kobiety wyłamały się wcześniej? Nic bardziej mylnego – każda była ślepo posłuszna, wymierzając wstrząsy o maksymalnym natężeniu. Były wzburzone, niektóre protestowały, nawet płakały, ale żadna nie wypowiedziała posłuszeństwa.

W „sprawie irackiej” być może dodatkowe znaczenie ma fakt, że szeregowiec Lynndie England miała romans z sadystycznym Charlesem Granerem. Dziś jest z nim w ciąży. Być może dlatego była bardziej podatna na jego wpływ.

Mam przywidzenia

– Ludzie robią różne głupie rzeczy, także ze względu na grupę. Zależy nam, by należeć do jakiejś społeczności, by nie zostać odrzuconym – mówi Wojciech Kulesza.

Jak wielki wpływ na nasz konformizm ma otoczenie, przekonał się psycholog Solomon Ash. Doświadczenie było proste: poprosił ośmioosobowe grupy studentów o dopasowywanie do siebie linii jednakowej długości. Nie może być chyba bardziej prostego zadania. Tu nie ma wątpliwości moralnych – każdy widzi

przecież, która linia jest dłuższa. Tymczasem pod wpływem celowo fałszywych opinii części grupy aż 75 procent dokonało błędnego wyboru! Kilku z tych, którzy mimo nacisku grupy poszli pod prąd, było tym wyraźnie zawstydzonych. Konformiści tłumaczyli zaś, że naprawdę uwierzyli, iż to grupa ma rację, a tylko oni mają jakieś „przywidzenia”.

Konformizm wzrasta, gdy sami nie jesteśmy pewni swego osądu. Wtedy na wszelki wypadek zachowujemy się jak większość. Z obserwacji wynika, że w czasie manewrów artylerii połowej wypoczęte oddziały częściej odmawiają ostrzeliwania szpitali czy innych celów cywilnych. Skołowani, po 36 godzinach bez snu wykonują rozkaz posłusznie.

Nic też bardziej nie sprzyja niemoralnym zachowaniom niż grupa dająca poczucie anonimowości. Ubranie ludzi w jednolite stroje zacierające ich indywidualność – na przykład mundury – ułatwia przywódcom skłonienie ich do konformistycznego zachowania – stwierdził to już Adolf Hitler w swojej książce „Mein Kampf”.

Zniszczyć, zamiast zabić

– Walczymy ze światowym terroryzmem! – grzmi prezydent Bush. Takie propagandowe hasło często pomaga zapomnieć o tym, że w istocie walczy się z ludźmi. Dehumanizacja wroga bardzo pomaga w zapomnieniu, że należy z nim postępować jak z człowiekiem.

Wystarczy zmienić etykiety i już można w spokoju sumienia dopuszczać się najgorszych czynów. Podczas wojny wietnamskiej zamiast: „zabić”, mówiono: „zniszczyć”, „wyeliminować” daną osobę.

Studentom łatwiej było kraść książki z uniwersyteckiej księgarni, gdy do swego czynu przykleili etykietę „rujnowania establishmentu”. Czy podobnymi etykietami nie są „walka z terroryzmem” lub „przywracanie demokracji”? Wtedy iraccy więźniowie przestają być tak naprawdę ludźmi. A gdy jeszcze wie się, że inni myślą tak samo – łatwo pozbyć się skrupułów.

Sumienie wciąż gryzie? Pomoże uśmiech: żartowanie ze stresującego wydarzenia jest sposobem na redukowanie napięcia i lęku. Sytuacja wydaje się mniej przytłaczająca.

Uśmiechnięta twarz szeregowca Lynndie England powinna stanowić memento dla nas wszystkich: zbyt łatwo jest obudzić w nas upiory przyduszone wcale nie tak ciężką koldrą moralnych zasad...

OLGA WOŹNIAK

KORZYSTAŁAM Z KSIĄŻEK „PSYCHOLOGIA I ŻYCIE” PHILIPA ZIMBARDO I „PSYCHOLOGIA SPOŁECZNA” POD RED. DOUGLASA KENRICKA, STEVENA NEUBERGA I ROBERTA CIALDINIEGO

zaprasza na

frederic galliano
& african divas
+ niewinni czarodzieje

28.05.2004
 kraków klub prozak
 plac dominikański 6
 29.05.2004
 warszawa

więcej informacji i rezerwacja biletów - (22) 646 34 80
 oraz www.newmusicart.pl

PRZEGŁĄD ŚWIATOWEGO FILMU DOKUMENTALNEGO WARSZAWA 14-26 MAJA 2004 KINOTEKA

Przegląd pod honorowym patronatem Prezydenta m.st. Warszawy Lecha Kaczyńskiego

WYBIERAJ OD 14 MAJA NAJLEPSZY FILM I WYGRAJ TELEFON SIEMENS SK1 Z KAMERĄ www.docreview.pl

SIEMENS mobile

MINI Dealer MINI Auto Fun

PATRONI MEDIAŁNI

gazeta PRZE KROJ FILM KINO gazeta.pl radiostacja CITY FLUID gerhard stuenkel MArt

I Ogólnopolski Festiwal Piosenki Kabaretowej

Poznań 20-23 V 2004

O.B.O.R.A.

Koncert Finałowy – 23 maja, godz. 21.00
 Dziedziniec Różany CK ZAMEK w Poznaniu

Koncert Laureatów – prowadzą: Wojciech Kamiński i Przemysław Żejmo
Koncert Galowy – prowadzą: Marta Lisiewicz i Zenon Laskowik
 Wystąpią: H. Banaszak, K. Groniec, G. Halama, kabarety HRABI i MUMIO, A. Poniedziałki, B. Rybotycka, J. Szafran, I. Krosny.

Informacje: tel. (61) 665 88 02, www.obora.pl

media

organizacja i współpraca

prywatność

1 Producent znakuje towar, przyczepiając do niego chip RFID.

2 Opuszczając fabrykę produkty są automatycznie liczone.

3 Dostawca kontroluje stan magazynu bez potrzeby zaglądania do opakowań i liczenia produktów.

4 Towar dociera do sklepu – jest liczony, wprowadzany do systemu komputerowego i wykładany na półki.

5 Klient zostawia w kasie nie tylko swoje pieniądze, lecz także prywatność.

CHIP CIĘ WIDZI

Czujesz, że w sklepie ktoś cię śledzi? To nie ochrona, tylko automatyczny system RFID

Wielki hipermarket to wielka anonimowość – dziesiątki kas, setki klientów, tysiące towarów. Znikasz w tym tłumie... Ale uważaj – to pozory. Tak naprawdę każdy twój ruch może być śledzony, a zakup – odnotowywany.

Radiowy znak

Choć do kodów paskowych już się przyzwyczailiśmy, nadal z fascynacją przyglądamy się cieniutkim nitkom laserem zliczającym nasze zakupy. Zapamiętajmy je dobrze, bo wkrótce znikną ze sklepów zastąpione – zgodnie z najnowszą modą – technologią bezprzewodową.

Rewolucja ma na imię RFID (Radio Frequency Identification). Znałe wszystkim czarno-białe paski mają być zastąpione małym układem elektronicznym połączonym z anteną. Sam chip jest wielkości ziarenka ryżu – można go przyczepić do każdego produktu – od kartonu mleka, przez koszulę, aż do telewizora. Jednak najważniejszą częścią systemu są czytniki – oczy i uszy śledzące każdy produkt.

Wyobraź sobie, że chcesz kupić koszulę. Ma być szybko i tanio – kupisz ją w hipermarkecie podczas sobotnich zakupów. Twoja koszula powstała w fabryce gdzieś na dalekiej prowincji. Już tam dostała swój identyfikator: maszyna przykleiła do niej małego chipa RFID, w którym zakodowano oznaczenie – ciąg cyfr i liter. Gdy zapakowane koszule opuszczały fabrykę, chip rozpoczął swoją karierę zawodową. Umieszczony nad drzwiami czytnik wysłał specjalny sygnał. Odpowiedziały na niego wszystkie układy RFID w kartonie z koszulami – w ciągu sekundy wiadomo było, że jest tam 50 egzemplarzy w kolorze błękitnym i rozmiarze 42. Podobne systemy śledzą paczkę w drodze przez dostawcę do sklepu – aż na półkę między skarpetkami a kurtkami.

Właśnie teraz wkraczasz ty – klient – wraz ze swoją cenną prywatnością. Zdecydowanym krokiem kierujesz się do działu odzieżowego i sięgasz po upatrzoną koszulę. W tym momencie dyskretnie umieszczony na półce czytnik przesyła do systemu komputerowego informację: towar 21-000269-0A3486 (czyli

twoja koszula) został zabrany z półki. Jesteś więc śledzony. Idziesz do przymierzalni – twój ruch został zanotowany. Po drodze wzięłeś jeszcze ulubione lody bananowe – systemowi nie umknie żadna informacja. Zbliżasz się do kasy – nie musisz nawet wyjmować rzeczy z koszyka, wszystkie chipy RFID przymocowane do produktów zgłaszają swoją obecność, a na ekranie natychmiast pojawia się kwota do zapłaty. Prawda, że wygodne? Podajesz tylko swoją kartę kredytową i... TRACH! Twoja prywatność padła, leży i kwiczy. Wielka maszyna do wyciągania pieniędzy wie już o tobie wszystko. Zna twoje dane osobowe i ulubione produkty. Oczywiście po pierwszej wizycie informacja nie jest pełna, ale po trzeciej czy czwartej – jesteś nagi.

Gdy następnym razem wchodzisz do sklepu, podchodzi do ciebie miła pani i uśmiechając się, mówi: „Panie Tomaszu, chciałabym panu zaproponować pana ulubione lody bananowe w promocyjnej cenie. Mam też nadzieję, że pana nowa koszula dobrze się sprawdzi”.

Po plecach przebiega ci lekki dreszcz – co jeszcze o mnie wiedzą?

Wiemy wszystko

Jak zostałeś namierzony? Metod jest kilka. Najprostsza to zrobienie zdjęcia – w całym sklepie jest mnóstwo kamer. Gdy twój wizerunek zostanie skojarzony z nazwiskiem i preferencjami, identyfikacja przy wejściu do sklepu przestaje być problemem. Można też inaczej – z pewnością wchodząc do sklepu, nie wyłączyłeś komórki. A przecież twój telefon stale ogłasza się wokół, rozsyłając o sobie informacje falami radiowymi. Nie musisz nawet płacić kartą – wystarczy, by sklep miał umowę z operatorem sieci komórkowej. Pamiętasz, jak kupując telefon, podpisywałeś zgodę na przetwarzanie danych osobowych i wykorzystanie ich w celach marketingowych? No właśnie.

Takie opowieści nie należą już do kategorii filmów science fiction. Chipy RFID właśnie wprowadza sieć hipermarketów Wal-Mart (pisaliśmy o niej tydzień temu). Na razie tylko na stu produktach i wyłącznie na zapleczu, ale to etap testów – docelowo każda para majtek i każdy słoik korniszonów będą oznakowane radiowym znacznikiem. Konsumenci zaczynają się bać – gdy jeden z producentów sprzętu do golenia odważył się umieścić w pudełkach chipy RFID, w sieci powstała strona nawołująca do bojkotu jego produktów i ostrzegająca przed szpiegowskimi praktykami firmy.

Czy to paranoja? Na razie tak, ale wraz z rozwojem technologii dyskretnego śledzenia klienta nasza prywatność zaczyna nam coraz szybciej przeciekać przez palce.

PIOTR STANISŁAWSKI

okno
ELITA

NOWOŚĆ!
szyba ELITA-GLAS



JEZIERSKI
markowe okna

tel. 041 / 300 11 75
mail: biuro@jezierski.com.pl

poszukujemy
partnerów
handlowych
kom. 0501 203 589

www.jezierski.com.pl

Salomé de Bahia & dj mo'

22.05.04

Iguana lounge ul. Zajączkowska 11 info i rezerwacja biletów (22) 646 34 80, www.newmusicart.pl
bilety do nabycia w biletariach EMPIK, oraz w klubie

Logos: new music art, Blue Control, Iguana Lounge, yellow productions, GLAMOUR, Brief, FLUID, Radio PIN, NOWA WISZKA, café, CITY, PRZE KROJ, 4

**ZGŁOSZENIA
NA REKLAMY
MODUŁOWE
PRZYJMUJE**

Grażyna Janiak
Tel./faks
(022) 584 21 72
Tel. kom. 0-503 134 293
grazyna.janiak@edipresse.pl

www.poczta kwiatowa.pl
INTERFLORA

26 maja - Dzień Matki



wyślij kwiaty i życzenia

Kwiatolinia: (22) 828 95 95,
www.pocztakwiatowa.pl,
www.poczta prezentowa.pl

PKO Bank Polski SA
Ośrodek Szkoleniowo-Wypoczynkowy
PEGAZ*** w Krynicy Zdroju

HOTEL***
Pegaz

Specjalnie dla Państwa przygotowaliśmy

**Wakacyjne
pobyty relaksacyjne
połączone z profesjonalnym
kursiem tańca
towarzyskiego**



OFERUJEMY PAŃSTWU:

- noclegi w apartamentach oraz pokojach 1 i 2-os. z łazienkami, balkonami oraz widokiem na Jaworzynę
- zabiegi relaksacyjne
- naukę tańca towarzyskiego,
- znakomitą polską kuchnię,
- saunę z hydromasażem
- salę ćwiczeń siłowych
- wypożyczalnię rowerów
- parking monitorowany

Hotel PEGAZ*** w Krynicy Zdroju
ul. Czarny Potok 28, 33-380 Krynica-Zdrój
tel. 18. 477 76 40 do 44, fax 18. 471 53 92
e-mail: pegaz-recepcja@krynica.com.pl

www.pegaz-krynica.pl
www.pegaz.krynica.com.pl



Japończyk na okrągło

Cyfrowy aparat MINOLTA DIMAGE Z2 z imponującym obiektywem GT 38-380 mm z 10-krotnym megazoomem i czteromegową rozdzielczością zadowoli wszystkich fotoamatorów. Lustrzanka błyskawicznie ustawia ostrość dzięki hybrydowemu systemowi RAPID AF. 2399 złotych
www.minolta.pl

Otwarty i oprogramowany

Pierwszy na świecie telefon MOTOROLA MPX z najnowszym systemem Windows Mobile 2003 otwiera się na dwa sposoby – pionowo (rozmowa) i poziomo – jak laptop (SMS-y i MMS-y). Ma pełną klawiaturę, dotykowy ekran i cyfrowy aparat z lampą błyskową. W sprzedaży pod koniec 2004 roku
www.motorola.pl



Od pinczera do bernardyna

Rozkładany namiot dla psa DOG BAG docenią właściciele czworonogów, którzy kochają podróże ze swoimi pupilami. Wodoodporna torba z licznymi wentylatorami zredukuje psi stres i uchroni samochód przed sierścią, śliną i zadrapaniami. Dostępne w czterech rozmiarach. Od 428 do 523 złotych
www.taurus.gf.pl



Z wysokim IQ

Buty do joggingu ADIDAS „1” z magnetycznym czujnikiem zamontowanym pod piętą zadbają o stawy biegaczy, bo podczas biegu same regulują poziom amortyzacji. Silniczek inteligentnego systemu napędzany jest przez baterię wymieniającą po stu godzinach biegania. W sklepach Adidasa od grudnia 2004 roku. Około 1200 złotych
www.adidas.com



Dla pięćdziesięciu

Szosa wyścigówka MASERATI MC12 w zaledwie 3,8 sekundy rozpędza się do pierwszej setki! Bez problemu pojedzie też ponad 300 kilometrów na godzinę. Wykonane z włókien węglowych superszybkie auto jest długie i szerokie niczym limuzyna i niskie jak rasowy bolid wyścigowy. Okrągły błękitny przycisk to starter odpalający jego silnik. Tylko 50 egzemplarzy.
www.maserati.com

[popmoda] Kiosk W ruchu

W filmie „Zdjęcie w godzinę” zły szef wyrzuca pilnego pracownika zakładu fotograficznego (Robin Williams). Biedaczysko przeżywa dramat, bo nie wie, że i tak wcześniej czy później straciłby pracę. Zastąpiłby go kiosk cyfrowy firmy Kodak. Urządzenie wielkości – jak piszą twórcy – „nie dużej komody” dostało w tym roku brytyjską Mobile News Award w kategorii „najbardziej innowacyjna usługa” i zaczęło podbijać świat. Samoobsługowy Kodak Picture Maker pozwala wykonać odbitki zdjęć z cyfrowego aparatu (po włożeniu w szczelinę komórki którejś z popularnych kart pamięci) albo telefonu komórkowego. Jeśli mamy w telefonie port Bluetooth, to wystarczy zbliżyć aparat do kiosku, by zgrać zdjęcia. W Polsce mamy na razie około 40 takich urządzeń, ale jeszcze w tym roku ma być sto, a potem zobaczymy je pewnie w sklepie na rogu i na stacji benzynowej. W USA już można znaleźć tysiące automatów Kodaka, z ceną odbitki między 20 a 40 centów (w Polsce: 1,40–2,40 złotego). A epoka cyfrowych kiosków nadchodzi nie tylko w fotografii.



Kiosk FOTO

wybierasz format, papier, ilość... a zdjęcia robisz choćby telefonem

Weź to wypal

Nie dalej jak miesiąc temu, po koncertach warszawskiego festiwalu Weź To Wylącz, można było od razu dostać płytę z zapisem wizualnym i dźwiękowym imprezy – ale tylko jedną, bo przegrywanie takiego materiału trwa długo. Tymczasem 21 maja pojawi się pierwszy cyfrowy kiosk muzyczny – w rockowym klubie Maxwell w stanie New Jersey. I tu po koncercie ludzie będą mogli natychmiast – za 10 dolarów – kupić sobie cały dźwiękowy zapis imprezy na dysku-breloku. Czysty dysk flash o pojemności 128 MB (wystarczy na dwie godziny muzyki przyzwoitej jakości w formacie MP3) można dokupić na miejscu za 20 dolarów. „To narzędzie pozwoli zabrać do domu muzykę nawet z koncertów w małych klubach, tych z alternatywną muzyką” – chwali się Daniel Stein z firmy Dimensional Associates wprowadzającej nowe standardy. Być może jest to też sposób na kupowanie studyjnych płyt, które na małym dysku łatwiej przetranszować do domu niż kompakt w siatce.



Kiosk MUZYKA

koncert, który skończył się przed chwilą, zgra na przenośny dysk

Kiosk-instytucja

„Moja wizja roku 2004 to wyrastające wszędzie cyfrowe kioski” – napisała Leslie Walker, felietonistka „Washington Post”. Od dawna mówi się o automatach, które będą wypalać na miejscu, w sklepie, dowolną płytę i drukować do niej książeczkę. Amerykańska sieć CompUSA do końca roku umieści we wszystkich swoich placówkach automaty, które pozwolą wybrać, przetestować i wypalić na płycie żądane programy komputerowe i gry. W Polsce mamy zaległości, ale i tu kiosk się przyjmie. Rodzajem cyfrowego kiosku są u nas automaty do ładowania kart miejskich warszawskiego transportu. Kioski tradycyjnych i cyfrowych mają jedną przykrą cechę wspólną: ani jeden (automat do obsługi karty miejskiej), ani drugi (choćby ten w pobliżu redakcji „Przekroju”) nigdy nie mają wydać reszty ze stu złotych.



Kiosk KULTURA

płacisz za bilety na imprezy, koncerty lub wystawy, a kiosk je drukuje



Kiosk JEDZENIE

kupowanie w kiosku-barze jest proste jak produkcja hamburgera

BARTEK CHACIŃSKI



20-letnia modelka
już dwa razy była szachową
mistrzynią Europy. Teraz
ALEKSANDRA KOSTENIUK
ma szansę zostać
mistrzynią świata

Została szachistką, gdyż takie polecenie wydał jej ojciec – major radzieckiego lotnictwa i wykładowca w moskiewskiej Akademii Lotniczej. Aleksandra Kosteniuk miała wtedy pięć lat. – Byłam posłusznym dzieckiem, kazali mi się tym zająć, to się zająłam. Cztery godziny treningu dziennie. Ojciec traktował mnie trochę jak podkomendnego, a nie jak córkę.

Kosteniuk urodziła się w dalekim Permie, u podnóża Uralu. – Zawsze marzyłam o tym, by zostać modelką, wysyłałam swoje fotografie do różnych agencji, na przeróżne konkursy. Pozostawało to niespełnionym marzeniem.

Wreszcie została modelką. Dopiero jednak, gdy zdobyła tytuł arcymistrza szachowego kobiet (w 1998 roku) i mężczyzn (w 2000). Międzynarodowa Federacja Szachowa FIDE wybrała ją do kampanii reklamującej grę w szachy. Niedługo później szwajcarska firma Balmain produkująca luksusowe zegarki zatrudniła ją do reklamowania swoich produktów. Ale Aleksandra od dzieciństwa pracuje na to, by zostać w końcu mistrzynią świata. I stoi dziś przed szansą: w dniach 21 maja – 8 czerwca w gruzińskim Batumi odbędą się szachowe mistrzostwa świata kobiet.

CHĘTNI I WYSTRASZENI

Mistrzynie trenowały... na ulicy. W ZSRR szachy były bardzo popularne, w każdym parku były marmurowe szachownice – zajęte całymi dniami przez zapalonych graczy. – Moimi nauczycielami nie byli wielcy arcymistrzowie, tylko moskiewska ulica – powiedziała po zdobyciu tytułu arcymistrza w 1998 roku. Aleksandra rozkładała szachownicę w pobliskim parku i zapraszała do gry. Na początku rodzice musieli jej pilnować, bo zamiast w szachy grała z chłopcami w piłkę. Po dwóch miesiącach znudziły jej się szachy, bo wygrywała ze wszystkimi, nawet starszymi o pięć-sześć lat. Trochę wystraszeni jej zdolnościami rodzice wysłali ją na wakacje, do babci na wieś. – Tylko dziadek grał w szachy, szybko go ograłam. I zaczęłam beczeć: „Tu jest nudno! Tu nie ma z kim grać w szachy!”.



Fot. CARMELO CONSULO

Po powrocie do Moskwy ojciec zaczął wynajmować korepetytorów. Potem ich wyrzucił, bo Aleksandra z nimi wygrywała. Wreszcie napisał specjalny program komputerowy do nauki gry w szachy. Program wkrótce kupił radziecki arcymistrz szachowy Władimir Kramnik, późniejszy pogromca Garri Kasparowa.

PENIĄDZE NA ULICY

By ułatwić córce karierę, ojciec zwolnił się z armii. Aleksandra musiała wyjeżdżać za granicę, Konstanty musiał jej towarzyszyć. Ale na początku lat 90. oficerów niechętnie już wypuszczano z Rosji, ojciec nawet nie miał paszportu. Po odejściu z armii były major nie mógł znaleźć pracy, zatrudnił się więc do mycia samochodów, potem był śmieciarzem, w końcu dozorcą. A w pobliżu kolejnych miejsc pracy ojca siadywała Aleksandra i grała w szachy z przechodniami.

Zawzięty ojciec i genialna córka szybko doczekali się rezultatów. Już w 1994 roku Kosteniuk została mistrzynią Europy dziewcząt do 10 lat. Rok później wyjechali do Francji na turniej szachowy. Wracając, postanowili zwiedzić Paryż, ale miasto okazało się bardzo drogie. Po jednym dniu skończyły się im pieniądze. O pierwszej w nocy wylądowali na

Placu d'Etoile, skąd odjeżdżały autobusy na podmiejskie lotnisko. Ale na autobus też nie mieli pieniędzy. 11-letnia mistrzyni rozłożyła szachownicę na ławce pod latarnią, włączyła zegar szachowy i zaczęła zapraszać przechodniów do gry na pieniądze. Do piątej rano wygrała prawie tysiąc franków i mogła z ojcem kupić bilety na lotnisko.

– Opowieści o biednych, zapracowanych modelkach trochę mnie śmieszą – mówiła w zeszłym roku, po swojej pierwszej sesji fotograficznej. – One przynajmniej wiedzą, za co pracują. U nas każdy sportowiec zaszuwa znacznie ciężiej, a potem nic nie dostaje.

Do udziału w turnieju potrzeba 50 tysięcy dolarów (na przygotowanie, różne opłaty, bilety lotnicze, hotele). A cały fundusz szachowych mistrzostw świata kobiet wynosi około 500 tysięcy (kilkakrotnie mniej niż mistrzostw mężczyzn). – Ledwo wiązaliśmy koniec z końcem – wspominała szachistka.

ŻADNYCH REMISÓW

Mimo sukcesów urzędnicy z FIDE i rosyjscy biurokraci od szachów długo nie chcieli uznać jej za pełnoprawnego gracza. Traktowali jak maskotkę, kogoś w rodzaju Anny Kurnikowej. W 1998 roku odbywał się turniej szachowy na Węgrzech. Ale Kosteniuk

PIĘKNY UMYSŁ

nie zaproszono. W tym samym roku olimpiada szachowa odbywała się w stolicy Kałmucji, Eliście – u ekscentrycznego władcy republiki Kirsana Ilumżynowa. Kosteniuk znów nie zaproszono do rosyjskiej reprezentacji, ale prezydent milioner postanowił zagrać na nosie „działaczom od szachów” (sam gra w szachy i serdecznie ich nie lubi) i wziął ją do reprezentacji... Kałmucji. Po wygranym turnieju 14-latec przyznano tytuł „kobiecego arcymistrza szachów”.

– Nie lubię grać z kobietami – mówi Aleksandra. – Po pierwsze, to niezbyt interesujące, po drugie, duży stres – wszyscy oczekują, że wygram. Z mężczyznami łatwiej się gra.

Pewnego razu Aleksandra grała z rosyjskim arcymistrzem Aleksandrem Karpowem. Z czterech partii wygrała tylko jedną. Ale ta przegrana skonfundowała mistrza do tego stopnia, że zapomniał podać jej rękę na pożegnanie.

– Sama nie lubię przegrywać – przyznała mistrzyni. – Chociaż jeszcze bardziej nienawidzę remisów. To już lepiej przegrać. Ale w uczciwej walce. Poza tym nie lubię grać z komputerami, to bez sensu. Szachy to nie tylko matematyczne kombinacje, lecz także psychologiczna walka z przeciwnikiem.

ANDRZEJ ŁOMANOWSKI



DO BIEGU, GOTOWI, START!



www.MINI.com.pl



Nałęczowianka, naturalna woda mineralna, została uhonorowana tytułem Marki Godnej Zaufania i zdobyła Srebrne Godło „Trusted Brand 2004”.

W swojej kategorii **Nałęczowianka** otrzymała najwyższe noty za: jakość, silny wizerunek, zaspokojenie potrzeb Klienta, wartość w stosunku do ceny, deklarowany przez konsumentów zamiar kupna.

* Nagroda przyznawana jest corocznie przez czytelników magazynu Reader's Digest markom, które są „Markami Godnymi Zaufania”. Badaniem objęto 14 krajów europejskich.



Nałęczowianka
NATURALNA WODA MINERALNA

Harmonia minerałów. Więcej życia.



Kurorty spa,
wodolecznictwo,
ruch
i zdrowa
dieta.

Kto to
wymyślił?

Prosty,
niepiśmienny
wieśniak
z czeskiego
Śląska.

Jego
nazwisko
napotkamy
w każdej
łazience

OLGA WOŹNIAK

Sanatorium

POD PRIESSNITZEM



Nazywał się Pysznic. Wincenty Pysznic. Jak to się pisze? Priessnitz, Prsnitz, Priesniz? Vinzenz, Vinsenz, Vincenz? Ilu pisarzy, tyle wersji. Zrobię tak: Vinzenz Priessnitz. I tego będę się trzymał. Przyjmuję tę zniemczoną pisownię, bo człowiek, o którym będę opowiadać, był przez całe życie wiernym poddanym cesarza Austrii.

Choć może łatwiej sprawdzić, jak sam się podpisywał? Ot, kłopot. Wygląda na to, że nie umiał pisać. Wszystkie dokumenty i listy, jakie po nim pozostały, pisali jego sekretarze. Żaden z zachowanych podpisów nie wygląda na autentyczny.

Cóż, czemu się dziwić? Vinzenz Priessnitz nie chodził do szkoły nawet przez rok. Po pierwsze, nie było obowiązku, po drugie, w 12. roku życia troska o całe rodzinne gospodarstwo spadła na jego głowę. Nie przeszkodziło mu to jednak zostać jednym z najsłynniejszych ludzi XIX wieku. Ale po kolei...

DOM NA GÓRZE

Gräfenberg to niewielka góra na czeskim Śląsku nieopodal miasteczka Jeseník (20 kilometrów od polskich Głuchołaz). W 1799 roku – bo wtedy zaczyna się ta historia – rozciągało się tu Cesarstwo Austriackie. Ale dla mieszkańców okolicy ważniejsze od przynależności państwowej były z pewnością lasy, łąki oraz górskie strumienie dające im schronienie i pracę.

Na zboczach Gräfenbergu stało 18 domów. W jednym z nich mieszkali Franciszek i Teresa Priessnitzowie. Na podwórzu można było usłyszeć pokrzykiwania pięciorga ich dzieci.

„Co się tyczy kąpania, musimy niestety nadmienić, że istnieją ludzie, którzy się mało, albo wcale nie kąpią.

Przy przyjściu na świat wykapała je matka lub akuszerka codziennie, ale później ustało to prawie zupełnie; ale po temu jest też ich zdrowie. Sta wszelkich dolegliwości wyliczają sąsiadom, a w aptece nie ma prawie proszków, pigułek, lekarstw, którychby już nie spróbowali”

Gdy na świat przyszło szóste – syn, ochrzczono go Vinzenz. Chłopiec dorastał, oddając się zwykłym zajęciom wiejskich dzieci – pasł krowy, nosił wodę, pomagał w obejściu. Wysłano go nawet do szkoły w Jeseníku (wtedy miasteczko nosiło nazwę Freiwald), by poduczył się liter, ale jak tu myśleć o szkole, gdy w gospodarstwie każda para rąk potrzebna?

Gdyby zapytać Teresę Priessnitzową o jej najmłodsze dziecko, nie dostrzegłaby w nim pewnie niczego wyjątkowego – może tylko to, że jak nikt po lesie lubił latać i często się na jakieś zwierzęta czy rośliny zagapiał. A to sarnę przy źródle podszedł, a potem cały wieczór opowiadał, jak to bydlątko skaleczoną nogę w wodzie moczyło i jak mu się w cudowny sposób po tygodniu zagoiła. Kto by tam jednak zwracał uwagę na takie dziecięce paplanie.

METODA WODNA

Najpierw zmarł najstarszy brat Vinzenza Józef, a dwa lata później ojciec stracił wzrok. Chłopak musiał wyrosnąć. Jego drugi brat studiował teologię, więc Vinzenz sam zajął się gospodarstwem i rodzicami.

To była ciężka praca. By jej podołać, 12-latek wstawał o 4 rano. Plan dnia układały zmieniające się pory roku. Vinzenz stał się jedynym żywicielem rodziny. Trudno więc się dziwić, że gdy podczas pracy w polu kopnął go koń, łamiąc mu żebra, na wszystkich padł blady strach.

Wezwany balwierz nie podjął się leczenia. Chirurg z miasteczka oświadczył, że urazy wyglądają na śmiertelne.

„Stłuczenia wyleczamy zimnymi okładami na stłuczone miejsca i otoczenie, często z tego powodu współcierpiące; na przykład jeżeli stłuczony jest palec, owijamy palec i rękę, jeżeli lewa ręka, rękę i część podramienia. Możemy też nacierać miejsca takie spiritusem kamforowym albo nastojem arniki rozrzedzonym wodą”

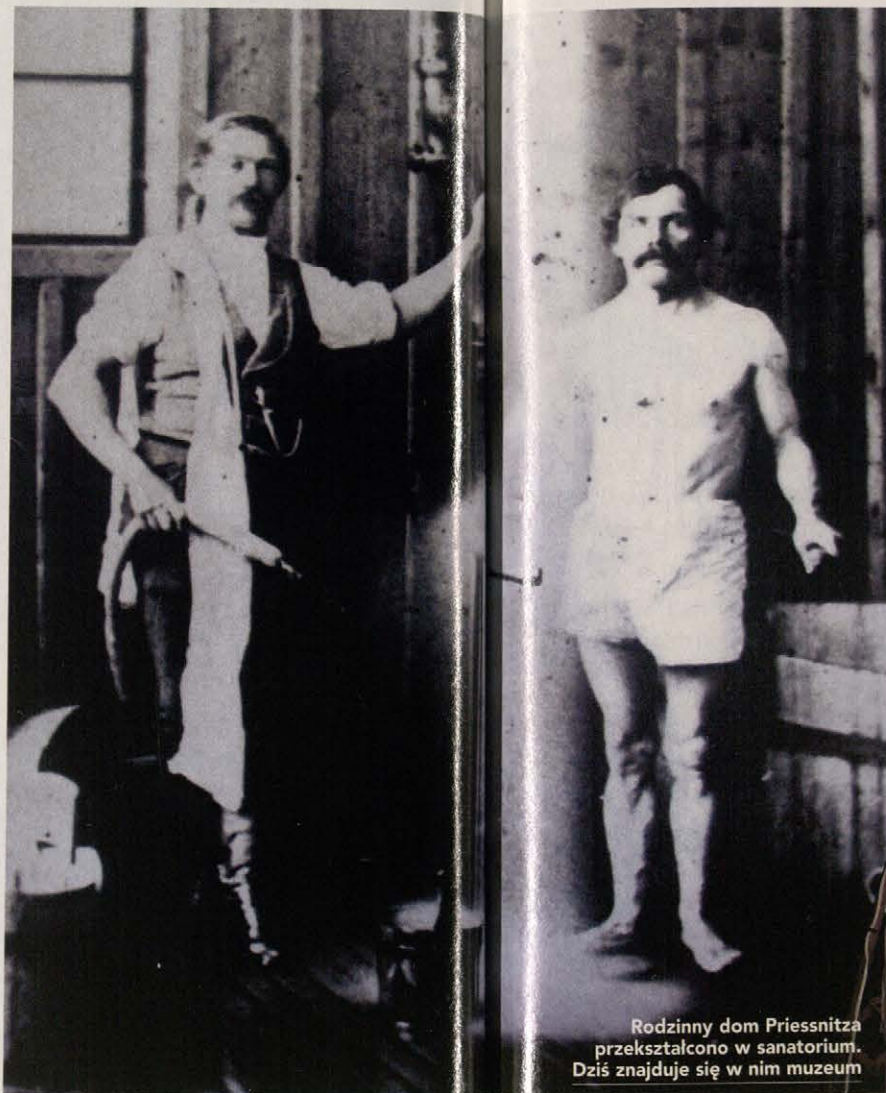
Vinzenz jednak nie zamierzał się poddawać. Pamiętał, jak podglądane przez niego zwierzęta leśne leczyły rany w górskich strumieniach. Sam nastawił sobie żebra, a potem owijał się zimnymi okładami ze studziennej wody. Po krótkim czasie doszedł do siebie. Sąsiedzi uznali to za cud.

Wkrótce cudów było więcej. Vinzenz leczył mokrymi okładami domowe zwierzęta, wykurował też dziewczynę sąsiadów.

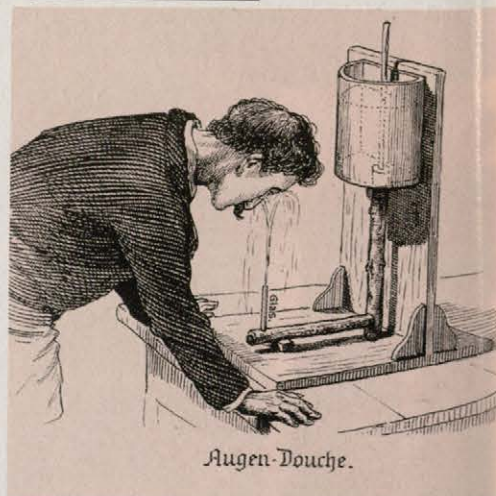
Niedługo zasłynął w okolicy. Do młodego znachora przybywali ludzie z pobliskich wsi.

PIERWSZE SANATORIUM

Metoda Priessnitza nie była skomplikowana: jego zalecenia to kąpiele, polewanie wodą, okłady, słońce i ruch. Efekty – nadszpiewanie dobre. Niedługo w niewielkiej



Poniżej: Wodna kuracja „ocznych cierpień”. Na rycinach obok: Technika wykonywania mokrych okładów na dolegliwości głowy oraz wodnych natrysków



„Posępny umysł. Tu jest zakłóconą wesołość, albo właściwe, prawidłowe życie duchowe (...). Posępny umysł, powstający jak wiadomo wskutek żałoby za umarłym lub za utratą majątku, może przejść, jeśli długo trwa w melancholję i rzeczywistą chorobę umysłową. Przepis leczenia: Codzienna pielęgnacja skóry za pomocą kąpieli w wannie lub kąpieli pełnej na wolnym powietrzu lub wycierania całkowitego (po takiej kąpieli jest się zawsze jakoby nowonarodzonym). Od czasu do czasu zaleca się także owinięcie całkowite albo łaźnie parowe w łóżku (...). Dalej są nakazane dalekie i częste przechadzki na dworze, przebywanie w wesołym towarzystwie. (...) Przedewszystkiem trzeba się starać pozbyć smutnych myśli i sprawić sobie myśli wesołe, nawet je wymusić”



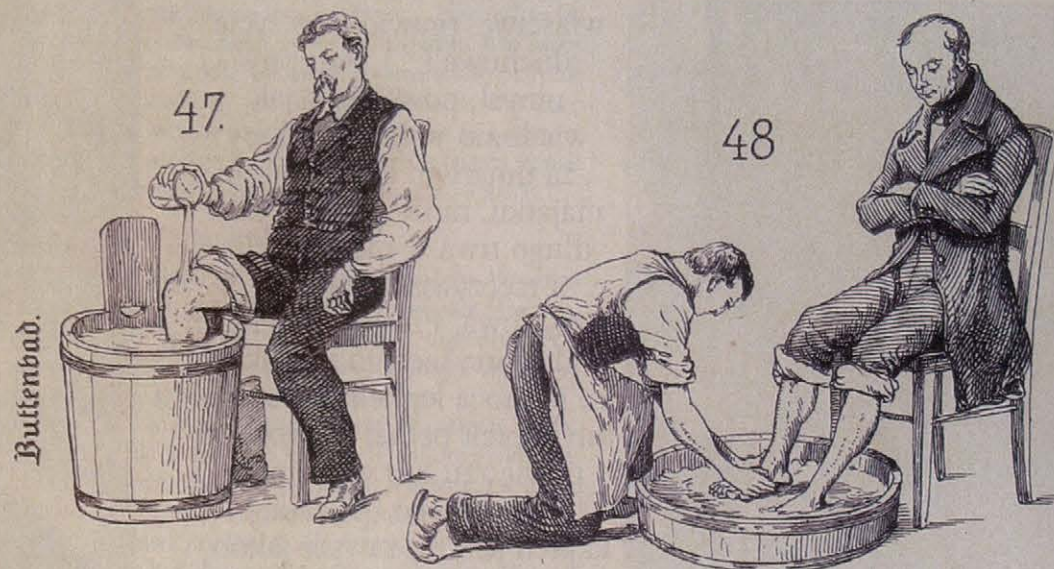
Pod koniec życia Vinzenz Priessnitz zyskał prawdziwie szlachecki wygląd



Cykl zabiegów wodoleczniczych. Polewania i nasiadówki zalecano rozdzielać dokładnym osuszeniem ciała

Na stronie obok: Instrukcja wykonania sauny w łóżku

47-50. Vertliche Bäder.



51-52 Luftbäder.

chacie na zbocz Gräfenbergu przestało starczyć miejsca dla interesantów. Wielu potrzebo-
wało dłuższej kuracji. Vinzenz Priessnitz zaczął
umieszczać swych pacjentów w chałupach są-
siadów. Zalecał prostą dietę i wodne zabiegi,
które przeprowadzał osobiście, indywidualnie
dobierając je dla każdego chorego. Przybywali
do niego ubodzy, ale i majątni, wykształceni lu-
dzie z przewlekłymi ciężkimi schorzeniami.

Gospodarstwo Priessnitzów leżało odło-
giem – większy dochód przynosiło wodolecz-
nictwo. Gdy zmarł ojciec Vinzenza, uzdrowi-
ciel postanowił przekształcić rodzinny dom
w rodzaj sanatorium. Wkrótce dobudował
kolejne budynki – w tym jeden na 600 osób.

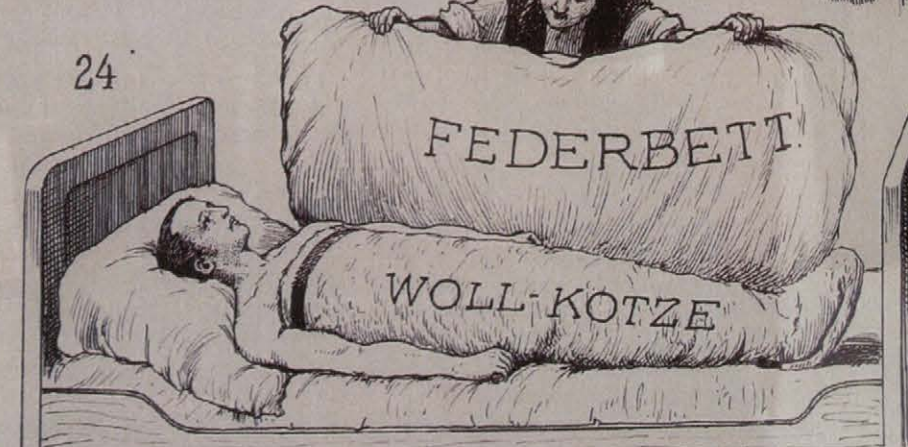
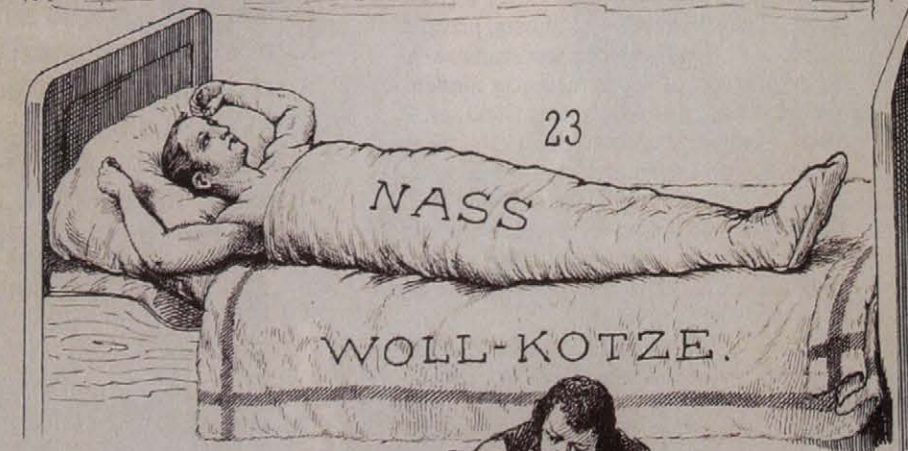
„W lepszych towarzystwach
należy to dzisiaj do dobrego
tonu, że albo cała rodzina,
albo przynajmniej żona
na kilka tygodni do kąpieli
jedzie, aby tamże lato
przyjemnie przepędzić.

Ale nie tylko dla
przyjemności udaje się
wielu do kąpieli, lecz także
wielu chorych, których
tu lekarze posyłają, aby
w nich uleczenie z swych
cierpień znaleźli (...).

Byłoby teraz na czasie, żeby
się obok zwykłych kuracji
pijących i kąpielowych także
zastósowało leczenie
przyrodne, jako to łaźnie
parowe całkowite,
połowiczne i częściowe,
(...) polewania, mięsienie,
szwedzką gimnastykę
leczącą, kąpiele powietrzne
i słoneczne, kąpiele
elektryczne, kąpiele
całkowite, połowiczne,
nasiadowe i oczne, dyetę
itd., jako też każdego
rodzaju środki
do zahartowania”

W 1829 roku uruchomił pierwszy na świe-
cie zakład wodoleczniczy z prawdziwego zda-
rzenia. Leczył urazy, stany zapalne, schorzenia
dróg oddechowych, układu pokarmowego,
reumatyzm i choroby skóry. Potem dołączył
do tego także zaburzenia psychiczne.

21-22. Feuchte Einpackung mit Kopfeinhüllung.



23-24. Die feuchte Dreiviertel-Einpackung.



Do dziś w czeskim Jeseníku działa sanatorium wodolecznicze im. Vinzenza Priessnitz



Fot. SYSTEM POOL

WODNY DOKTOR

Jego sława sięgała już poza granice kraju. I – nie ma co ukrywać – kłula w oczy miejscowych lekarzy. Z dokumentów wynika, że Priessnitz włóczył się po sądach za „szarlatanerię, dyletanctwo i partactwo”. W pewnej chwili musiał się nawet salwować ucieczką do Prus.

Spory zakończyła komisja przysłana z samego Wiednia. W jej skład wchodził między innymi Ludwig Freiherr von Türkheim, wicedyrektor wiedeńskiego studium medycznego. „Priessnitz jest niezwykłym człowiekiem – pisał potem – to muszą przyznać nawet jego wrogowie. Nie jest szarlatanem, ale opanowanym najlepszą chęcią niesienia pomocy tam, gdzie tylko może. Okoliczni lekarze i balwierze z nieżyczliwości piszą na niego skargi. Zakład jego może mieć wady, obojętne, czy wyleczył wiele, czy mało osób, czy choroby po krótszym, czy dłuższym czasie się odnowiły, zawsze pozostaną jego metody kuracji w detalach nowymi zjawiskami w lecznictwie”.

Jakież to były kuracje? „Wodny doktor” – jak go wkrótce zaczęto nazywać – ordynował kompresy na przemian z zimnymi kąpielami (woda miała pięć stopni ciepła!) i natryskami pod gołym niebem bez względu na pogodę i porę roku. Nakazywał też picie wielu litrów wody. Do tego zajęcia terenowe i praca fizyczna. Swoich kuracjuszy budził o 4 rano. Posługacz zawiązywał ich w wełniane koce, by się wypocili. Po godzinie otwierano okno i podawano zimną wodę do picia. Następnie kuracjusz brał kąpiel w wodzie prosto ze źródła. Około 9 podawano śniadanie, które składało się z zimnego mleka i razowego chleba. Potem pacjenci szli pieszo (mniej więcej pół godziny) do natrysków z wodą źródłaną. Były tak zbudowane, że woda spadała na kuracjusza z czterech metrów. Po pieszej wycieczce zjadano obiad – mięsa i potrawy mączne, warzywa serwowano rzadko – głównie na surowo. Po obiedzie znów kuracje napotne i kąpiele oraz niasiadówki

„Najlepszym środkiem [na bezsenność] jest zimna półkąpiel (...), albo zimna kąpiel niasiadowa; wziąć ją trzeba przed pójściem do łóżka albo skoro się chory w nocy przebudzi i zasnąć nie może. U osób zbyt nerwowych nie zaleca się innych całkowitych oblewań (...) zwłaszcza krótko przed udaniem się na spoczynek, ponieważ się chorzy niemi jeszcze więcej rozdrażnią”

w specjalnych beczkach. Niektórym przepisywano zlewanie wodą głowy, innym „kąpiele oczne” za pomocą wypełnionych wodą kieliszków do likieru. Po południu znów natryski lub spacer z pasem Neptuna (mokrym okładem) owiniętym wokół brzucha. O 19 kolacja – razowy chleb i mleko.

Zabraniano picia alkoholu i używania ostrych przypraw. Zabraniano także surowo rozmów na temat chorób. Dla bogatych mieszczan, którzy o ruchu na świeżym powietrzu czytali co najwyżej w „Nowej Heloizie”, mogła to być terapia szokowa.

Uzdrowisko Priessnitz zdobyło taką sławę, że nawet cesarski medyk posyłał po „doktora” dla zasięgnięcia konsultacji.

Priessnitz stał się bogaty. Jeseník odwiedzali możni i szlachta – bywał tam Tolstoj, Gogol, Zygmunt Krasiński, kilka osób z rodu Habsburgów.

„Wodny doktor” był tak sławny, że doszedł do niego list wysłany z Ameryki Południowej zaadresowany jedynie: „Vinzenz Priessnitz Europa”.

W szczytowym sezonie – roku 1839 – w uzdrowisku przebywało 1700 osób, w tym 120 lekarzy z różnych krajów uczących się metod Priessnitz. Podczas całego jego życia przez Jeseník przewinęło się aż 36 tysięcy kuracjuszy.

Wkrótce podobne spa zaczęły wyrastać na świecie niczym grzyby po deszczu.

POWRÓT DO NATURY

Priessnitz trafił ze swymi pomysłami w świetny czas. Wiele umysłów przepajała wówczas filozofia Jana Jakuba Rousseau, który głosił powrót człowieka do natury. Z drugiej strony zachwycono się niezwykłymi wynalazkami: maszyną parową, telegrafem. Ludzie chłonili wiedzę i otwierali się na nowości.

Wkrótce Priessnitz zyskał naśladowców nawet w Stanach Zjednoczonych. Choć sam nie napisał żadnej książki na temat swych metod, pisali o nim inni. Jego pomysłem zafascynował się między innymi Amerykanin John H. Kellogg, który wzbogacił go o zgodną z naturą dietę. Wymyślił na ten użytek płatki kukurydziane – słynne *corn flakes*, które są dziś chyba najpopularniejszym daniem śniadaniowym.

W międzyczasie Priessnitz założył rodzinę. Jego żona Zofia urodziła mu 10 dzieci. Syn był tylko jeden – najmłodszy – w chwili śmierci Vinzenza miał zaledwie cztery lata, nie mógł więc kontynuować jego pracy. Vinzenz Priessnitz zmarł nagle na udar mózgu w roku 1851.

Jego żona Zofia do prowadzenia wielkiego uzdrowiska zaprosiła Józefa Schindlera, lekarza, który podobne spa założył w Górach Izerskich. Majątkiem zarządzał jeden z zięciów Priessnitza, z którym zresztą Vinzenz nigdy zbyt dobrze się nie rozumiał.

Jak to się stało, że do dziś – czasów, w których kurorty spa święcą swój wielki comeback – imię ich twórcy uległo zapomnieniu?

Vinzenz Priessnitz nie zostawił książek, jego naśladowcy w późniejszych latach stawali się często słynniejsi od niego i nie było im w smak uznanie, że ich metody nie są oryginalne. Imię Priessnitza skrzętnie przemilczano.

Wspomnijmy o nim, biorąc prysznic...

OLGA WOŹNIAK

CYTATY POCHODZĄ Z KSIĄŻKI „NOWE LECZNICTWO PRZYRODNE” F.E. BILZA Z 1901 ROKU, AUTOR BYŁ NAUCZycIELEM LECZNICTWA I WŁAŚCICIELEM LECZNICY PRZYRODNEJ BILZA W DREZNIE-RADEBEUL. DZIĘKUJĘ PROF. WŁODZIMIERZOWI KACZOROWSKIEMU Z INSTYTUTU HISTORII UNIwersYTETU OPOLSKIEGO ZA POMOC W DOTARCIU DO MATERIAŁÓW

Przeżyjmy chwilę
czystej przyjemności!



Teraz dzięki Vitalinei i THALGO będziesz mogła poczuć się jeszcze piękniej!

Wystarczy, że wyślesz SMS-em kod znajdujący się pod zakrętką wody niegazowanej Vitalinea pod numer 7160. Każdy nadesłany SMS weźmie udział w losowaniu wspaniałych nagród:

- codziennie 5 zestawów kosmetyków Thalgo
- co tydzień 5 zabiegów kosmetycznych w autoryzowanych salonach Thalgo

Każdy nadesłany SMS weźmie udział w losowaniu nagrody głównej:

3 dwuosobowych wyjazdów do najpiękniejszego SPA na świecie
Le Meridien Limassol na Cyprze.

DANONE VITALINEA. NATURALNIE W DOBREJ FORMIE.



W sprawie „Hyde Parku”

Komentarz Łukasza Sokołowskiego („P” nr 20/3073) do „emerytury politycznej” uczestników Okrągłego Stołu skłonił mnie do kilku przemyśleń. Nie mogę zgodzić się z autorem, że w dzisiejszym świecie trudno „jest odróżnić pięknie opakowany fałsz od pięknie opakowanej prawdy”. Człowiek ciekawy, uważny będzie poszukiwał i zadawał trudne pytania, by pięknego opakowania się pozbyć. Wymaga to wielu poświęceń, a często poniesienia najwyższej ofiary. Dowód. Uważny czytelnik odnajdzie go w rozmowie Marty Grzywacz z Waldemarem Milewiczem. Nieuważny zadowolony się byle czym. I być może byle czym się stanie?! Rację ma pewnie socjolog piszący, iż żyjemy w stuleciu bezmyślnych gapiów. Trzeba działać, a nie narzekać, jak to będzie mi źle bez ludzi, którzy twierdzą, że „swoje już zrobili”.

Przełomowcy – dzieci rewolucji – dokonali czynu, niewątpliwie, wielkiego. Przeprowadzili Polskę przez „morze czerwone” do wolności zwanej demokracją. Musiało być im ciężko, skoro kilka lat po „udanym” przejściu od socjalizmu do kapitalizmu rozpoczęły się między nimi konflikty. Rację ma Kazimierz Obuchowski, który w jednej ze swoich prac pisał: „podczas walki »o« i »przeciw« dobro jest wyraźnie określone i wyraźnie różni się od zła, którym jest stan zwalczany” – dalej pisze: „po wygranej, a zwłaszcza po zmianie pozycji w układzie władzy, przestaje być tak pewne, co jest dobre, a co złe”. Brak przeciwnika sprawił, że coś w naszym kraju zostało zrealizowane nie tak, jak trzeba. Pojawiła się ona. WOLNOŚĆ. Pytanie: co teraz? Przypuszczam, że poczucie wolności sprawiło, iż politycy byli bezradni w kształtowaniu nowego ładu. Budujemy nową jakość! – powinno brzmieć nowe hasło. Jednak stare trzeba było usunąć z fabryk, zakładów pracy. Nie było mowy o budowie. Było dzielenie. Trwające do dziś. TKM. Jak długo jeszcze? Cechą demokracji jest nie tylko pluralizm. Jest nią też aktywność społeczno-polityczna. Gdy mierzono uczestnictwo Polaków w organizacjach NGO, okazało się, że w porównaniu z innymi krajami Europy wypadamy błado. Aktywność powinna stać się cechą charakteryzującą społeczeństwo polskie przełomu wieków. Postawa roszczeniowa

wobec państwa, wobec polityków, wobec innych jest powszechna. Brakuje jednak roszczeń wobec samych siebie. Wymagamy od innych. Z wyjątkiem słów: Nie zgadzam się! Łukasz! Nie gódźmy się na chamstwo i głupotę na naszych ulicach, na uczelni czy w parlamencie. Pokazujemy bezsilność i wady systemu. Pokażmy, że los naszego (k)raju leży nam na sercu. Stwórzmy razem program działania. Program ratowania, a może budowania nowego?! Realnie dla naszego działania istnieje tylko przyszłość – pisał Obuchowski. Przeszłość jest niepowtarzalna. Alienacja elit jest duża. Znowu wraca podział na „nas” i „onych”. Musimy jednak postarać się zmniejszyć dystans między społeczeństwem i władzą. Być może jest tak, że politycy boją się zwykłego człowieka. Głodują we własnym biurze poselskim jak poseł Jerzy Wenderlich w obronie żnińskiej cukrowni. Jak zmienić te niewłaściwe relacje? Może konieczny będzie kolejny Okrągły Stół, chociaż przeszłość jest niepowtarzalna, jak pisałem wcześniej. Trzeba na pewno rozmawiać i wspólnie wypracować modele działania. Wierzę, że przyszłość warta jest ponoszenia przejściowych trudności. To my dokonujemy wyboru i my również wybierzemy życie. Bo kiedyś trzeba przejść na drugą stronę lustra.

MARCIN CENTKOWSKI
III rok politologii na UMK

Czekamy na Państwa listy.

Nasz e-mail: redakcja@przekroj.pl Nasz adres: ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa.



© MAREK RACZKOWSKI

PRZE
KROJ

Założył
w roku 1945
w Krakowie
Redaktor
MARIAN
EILE

ADRES REDAKCJI:
UL. WIEJSKA 12A, V P., 00-490 WARSZAWA,
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 25 25,
FAXS (0-PREFIKS-22) 584 25 21
WWW.PRZKROJ.PL
E-MAIL:
redakcja@przekroj.pl
REDAKTOR NACZELNY – WYDAWCA:
Piotr Najsztub
PIERWSZY ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO
Agnieszka Dajbor
ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
Jacek Kowalczyk
DYREKTORZY ARTYSTYCZNI:
Elżbieta i Bogdan Zochowsy
SEKRETARZE REDAKCJI:
Magda Gędziołowska, Marcin Sendeki,
Maria Świetlik (zastępca)
ASYSTENTKA:
Anna Romotowska
KULTURA:
Bartek Chaciński (szef), Marcel Andino Velez,
Tadeusz Nyczek, Małgorzata Sadowska,
Andrzej Saramonowicz,
Justyna Sobolewska
KRAJ:
Magda Papużyńska (szef), Marcin Fabjański,
Joanna Gorzelińska, Dorota Sajnog, Max Suski,
Paweł Wieczorek, Michał Wojcik
ŚWIAT:
Wawrzyniec Smoczyński (szef), Filip Łobodziński,
Andrzej Łomanowski, Jakub Mielnik, Marek Rybarczyk
NAUKA:
Olga Woźniak (szef), Piotr Stanisławski
ROZRYWKA:
Marcin Pieszczyk
PRACOWNIA GRAFICZNA:
Piotr Gidlewski (szef), Maria Klich, Patrycja Kühn,
Małgorzata Łaska, Agata Loth,
Maciej Morus, Krzysztof Zakrzewski
PAN OD RYSUNKÓW:
Jacek Ziemiński
FOTOEDYCJA:
Tomasz Kniolek (szef), Marcin Kapica,
Bogdan Kręzel (fotograf), Urszula Matusik, Olga Piłśniak,
Marek Szczepański
KOREKTA:
Lucyna Dyczkowska (szef), Tatjana Hardej,
Dariusz Janiszewski
ARCHIWUM:
Wanda Lacrampe (szef), Dominika Bok
PRZYGOTOWALNIA:
Edipresse Polska – Zbigniew Szymański (dyrektor)
REDAKTOR TECHNICZNY:
Alan Jawor
SEKRETARIAT: Iwona Chmielewska

EDIPRESSE
POLSKA

WYDAWCA:
EDIPRESSE POLSKA S.A.,
UL. WIEJSKA 19, 00-480 WARSZAWA,
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 22 00,
FAXS (0-PREFIKS-22) 584 22 01

PREZES WYDAWNICTWA:
Zbigniew Napierała
WICEPREZES-DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY:
Ewa Redel

DYREKTOR FINANSÓW:
Paweł Satkowski

DYREKTOR MARKETINGU:
Izabela Bochenek

DYREKTOR DS. ROZWOJU
I KONTAKTÓW MIĘDZYNARODOWYCH:
Agnieszka Smit

PUBLIC RELATIONS:
Marcin Fedisz

DYREKTOR TYGODNIKA „PRZĘKROJ”:
Iwona Zabielska-Stadnik

DZIAŁ DYSTRYBUCJI I PRODUKCJI:
Grzegorz Barej – dyrektor

DZIAŁ PROMOCJI:
Adriana Olczak, Magda Oledzka
KONKURSY@PRZKROJ.PL

BIURO REKLAMY:
Ewa Kozłowska – dyrektor,
Anna Orlowska – zastępca dyrektora,
Artur Dudek, Jagna Federowicz,
Grażyna Janiak, Małgorzata Skorupa
ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa
tel. (0-prefiks-22) 584 22 95, -297, -311, -584, -594,
faks (0-prefiks-22) 584 22 92

DRUK:
WINKOWSKI SP. Z O.O. – RADZYMIŃ
PAPIER: OKŁADKA – GALERIE FINE 90 GSM,
PRODUKT – M-REAL
SRODEK – GALERIE BRITE 60 G,
PRODUKT – M-REAL

PRENUMERATA: U WYDAWCY
Izabela Mroczek, Agnieszka Bogdańska
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 22 29 LUB 584 22 30
FAXS (0-PREFIKS-22) 584 22 32
PRENUMERATA@PRZKROJ.PL
PRENUMERATA.KONKURSY@EDIPRESSE.PL

PRZES POCZTE
PRZEDPŁATY PRZYJMUJĄ URZĘDY POCZTOWE
NA TERENIE CAŁEGO KRAJU

PRZES RUCH SA
INFORMACJA TEL. (0-PREFIKS-22) 532 87 31,
FAXS (0-PREFIKS-22) 532 87 32

NA CAŁYM ŚWIECIE W INTERNECIE
WWW.EXPORTIM.COM
FAXS/TEL. +48-8-6639 963
ARTYKUŁÓW NIEZAMÓWIONOCH NIE ZWRACAMY.
REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO ZMIAN
I SKRÓTÓW W NADESŁANYCH ARTYKUŁACH I LISTACH.

„Przekrój” wydaje
polecenia
kulturalne

UROKI CIASNEGO SWETRA

Moloko na muzycznej
scenie zaistnieli 10 lat
temu – kiedy wokalistka
Loisin Murphy poderwała
na imprezie producenta
Marka Brydona.
odeszła do niego
zapytała: „Czy podoba ci
się mój obcisły sweter?”.
Po roku sukcesy odnosiła
z ich pierwszą płytą
tytułowaną... „Do You
Like My Tight Sweater?”.
Dwie rzeczy warto
wiedzieć przed koncertem
tej brytyjskiej grupy
w Warszawie. Po pierwsze,
choć błysnęli jako autorzy
złagierów tanecznych
„Sing It Back” i „The
Time Is Now” – są czymś
więcej niż kolejną formacją
klubową. W ich nagraniach
słychać tradycję popowe
i funkowe. Po drugie,
na koncertach skład grupy
rośnie i słyszymy żywe
granie na instrumentach,
a nie dwie osoby
w otoczeniu komputerów.
A fanów muzyki klubowej
mogą uspokoić – Moloko
grywają na żywo również
słynną taneczną wersję
„Sing It Back”.
(BACH)

MOLOKO
– 29.05 WARSZAWA,
PARK SOWIŃSKIEGO

Moloko



EUROPA

TO ENERGIA

Kraftwerk, legenda muzyki elektronicznej, po 23 latach znów zagra w Polsce. „Przekrój” rozmawia z Ralfem Hütterem, liderem grupy

UKASZ LUBIATOWSKI: Do Polski przyjeżdżacie po raz drugi. Poprzednio byliście tu w 1981 roku, w gorącym momencie naszej historii. Co pamiętasz z tamtej wizyty?

RALF HÜTTER: Trudno byłoby zapomnieć tamtą trasę. To były czasy Solidarności i wspominam ją jako ekscytujące przeżycie – szczególnie koncert w Gdańsku, pod gołym niebem. Występowaliśmy u was latem i w dniu występu wybraliśmy się na wycieczkę rowerową po ulicach Gdańska. Nikt nas nie poznawał i zjeździliśmy całe miasto. Graliśmy też w Warszawie, Katowicach i we Wrocławiu. Nie wiedzieliśmy wtedy, czego się spodziewać w Polsce, ale byliśmy pod ogromnym wrażeniem niezwykłej energii, którą czuć było wówczas wszędzie.

Rozmawiamy tuż po przystąpieniu Polski do Unii Europejskiej. Wy już w latach 70. – w takich kawałkach jak „Trans Europa Express” czy „Europa Endloss” – podpisywaliście się pod ideą europejskiej jedności!

– „Trans Europa Express” to była dla nas ważna metafora, fantastyczna wizja

techniki w służbie międzyludzkiej komunikacji. Teraz, nieoczekiwanie, stało się to rzeczywistością. Cieszę się, bo zawsze byłem przekonany, że istnieje wspólna europejska tożsamość, której największą wartością jest pragnienie wymiany idei, współistnienia różnych języków i kultur obok siebie. Ten nieustanny przepływ energii stwarza jedność. Szczególnie teraz widać, że to jest właśnie siła Europy – choćby w porównaniu ze Stanami, gdzie wszystko wydaje się zunifikowane, podporządkowane jednolitemu systemowi.

A gdy burzono mur berliński, nie myśleliście, że kończy się kulturowy, polityczny kontekst, w którym funkcjonował Kraftwerk?

– Wręcz przeciwnie. Co prawda ukształtowały nas realia powojennych Niemiec Zachodnich, dorastaliśmy w poczuciu kulturowej pustki, ale właśnie dlatego tak istotne było dla nas poszukiwanie uniwersalnego języka. Z tego też powodu jako sposób komunikacji wybraliśmy muzykę elektroniczną. Dawny podział polityczny, istnienie muru, były dla nas ograniczeniem.

Większość nazw „Kraftwerk” kojarzy z postaciami ludzi-robotów z waszych

zdjęć i klipów. Gdy zaczynaliście, powszechne były raczej hipisowskie hasła powrotu do natury – skąd u was ta fascynacja technologią, współistnieniem człowieka i maszyny?

– Dostrzeganie technologicznych zmian i oddanie ich w muzyce było wyzwaniem naszych czasów. W latach 70. fascynujące było doświadczenie prędkości na autostradzie. Przejechaliśmy wtedy tysiące kilometrów, więc nagraliśmy kawałek „Autobahn” – „Autostrada”. Podobnie było z innymi płytami. Okazało się, że nasze najzwyklejsze obserwacje wielu uznało za wizjonerskie. Przy okazji „Computer World” („Komputerowy świat”) mieliśmy niezłą intuicję – przecież wtedy w powszechnym obiegu nie było jeszcze komputerów osobistych. A my, skromna grupa z Kling Klang Studio, nawet nie marzyliśmy wtedy o tym, że będziemy tworzyli na komputerach... Gdy występowaliśmy w Warszawie, mieliśmy jeszcze analogowy sprzęt. Cyfrowa rewolucja, era techno-popu, jak ją nazwaliśmy, zaczęła się dopiero kilka lat później.

Nie boicie się, że nieograniczony rozwój technologii, naukowe eksperymenty

sprawią, że wasze z pozoru utopijne idee zamienią się w koszmar?

– Oczywiście, że to stwarza wiele niebezpieczeństw, dlatego my zawsze mówiliśmy o bliskiej współpracy człowieka i maszyny nie o systemie dominacji i opresji. Nasza wizja była u podstaw ekologiczna.

Zrozumiała staje się wasza fascynacja kolarstwem...

– Tak! – kolarstwo to kolejny przykład na to, że taka współpraca jest możliwa. Nas fascynowała symbioza człowieka i prostego mechanizmu, aspekt fizyczny technologii – dynamika ruchu, bicie serca, praca elektrokardiogramu, ale też wymiar etyczny wysiłku, o którym nie można zapominać. To pasowało też do naszego programu zdrowotnego i ekologicznego. Niedługo po powrocie z polskich koncertów pojechaliśmy do Francji na górską wyprawę rowerową i wtedy narodził się temat na singiel „Tour de France”, do którego powróciliśmy na naszym ostatnim albumie.

Wasze zdjęcia upozowanych na manekiny postaci w uniformach czy robotów niezłym z filmów science fiction mogły wydawać się groteskowe. Ile w tym było ironii?

– W naszym ówczesnym mniemaniu to był realizm i choć może niektóre pomysły wtedy wydawały się śmieszne, później zo-

stały docenione. Nie wiem, dlaczego nasze działania niektórym wydają się dziwne. Nie rozumiem też, dlaczego tak wielu artystów, muzyków wciąż spogląda wstecz – istnieje już chyba z 10 milionów piosenek o miłości i pisanie kolejnych wydaje mi się nudne i bezcelowe. My wolimy się koncentrować na nowoczesnej technologii.

Dlaczego jako absolwenci konserwatorium sięgnęliście po syntezatory?

– Pochodzimy z Düsseldorfu, który jest miastem przemysłu i biurokracji, niekoniecznie zaś muzyki i sztuki. Dorastaliśmy w industrialnym otoczeniu i choć nasze korzenie to muzyka klasyczna, to do naszych codziennych doświadczeń bardziej pasowała elektronika. Piosenki pop lubiliśmy zaś za ich motorykę, prostotę ekspresji, szukanie najsukcesowniejzych środków komunikacji. Zawsze podkreślaliśmy swoje pochodzenie, ale też uniwersalny wymiar tego, co robimy. Jesteśmy z Niemiec, ale wydaliśmy brytyjskie wersje naszych albumów, sięgamy po język francuski, a podczas występów w Polsce wykonywaliśmy w waszym języku utwór „Pocket Calculator”. Musiałem wtedy nauczyć się kilku polskich słów. To istota Kraftwerk – głębokie treści wyrażone za pomocą najprostszych środków.



Kraftwerk 20 lat temu – Ralf Hütter pierwszy z prawej

Mieliście kiedyś pomysł, by jednocześnie zagrać w dwóch miejscach – w jednym wy, w drugim wasze klony-roboty.

– Tak było. Teraz, gdy ludzie przywykli do automatycznego odtwarzania muzyki, a każdy może korzystać z samplera, takie próby już nie szokują. Ale wtedy wydawało nam się to interesujące.

Czy możemy mieć pewność, że to wy pojawicie się na warszawskim koncercie?

– Obiecuję, że w Polsce zjawimy się osobiście.

ROZMAWIAŁ ŁUKASZ LUBIATOWSKI

Kraftwerk, 27.05 Warszawa, Sala Kongresowa



www.mini.com.pl



SETKI PREMIER...

...i wydarzeń sportowych czekają!

W maju w CANAL+ megahit **TOŻSAMOŚĆ BOURNE'A** z Mattem Damonem w roli głównej.

Sprawdź, co jeszcze możesz zobaczyć:
0 801 801 999, (22) 541 88 88
www.canalplus.pl

CANAL+

Włącz się

LIGA POLSKA

GRAND PRIX NA ŻUZLU

SMAK ŻYCIA

CO ZA ŻYCIE

WŁADCY OGNI

arcydzieło ●●●●●●●●
 świetne ●●●●●●●●
 dobre ●●●●●●●●
 przeciętne ●●●●●●●●
 słabe ●●●●●●●●
 dno ●●●●●●●●



www.MINI.com.pl



ODWROTNOŚĆ NUDY



Te kobiety na pewno woląby zagrać w lepszym filmie

KOMEDIA PIĘŚCIAKIEM RZEźBIONA

●●●●●●●●
 Uwaga! Recenzent filmowy „Przekroju” zamienia się w komentatora sportowego i ujawnia swoje notatki

„MOJA MATKA WOLI KOBIECY”,
 REŻ. INÉS PARIS
 I DANIELA FEJERMAN,
 Hiszpania 2002,
 Forum Film,
 premiera 21 maja

Drogi Czytelnicy, znamy się od dłuższego czasu, ale niewiele o sobie wiemy. Pewno zatem nie macie pojęcia, że podczas oglądania filmów, które opisuję w „Przekroju”, robię notatki. Jest to czynność ryzykowna, bo mój podświetlany długopis budzi z drzemki pozostałych recenzentów, którzy ponuro spoglądają społem.

Nocami zaś, kiedy Wy śpicie, z notatek tych pracowicie kleć recenzje, starając się, by zdania wielokrotnie złożone sprawiały Wam o poranku frajdę zarówno co do treści, jak i formy. Lecz bywają filmy, wobec których czuję się równie bezradny co komentator piłkarski wobec poczyną chłopców Pawła Janasa. Idąc zatem wypróbowałem sposobem dziennikarstwa sportowego, przytoczę teraz jedynie, minuta po minucie, moje notatki z ciemnej sali kinowej:

6. minuta filmu: Straszne zdjęcia! Może w tej sali projektor jest do niczego? Niemożliwe, żeby ktoś celowo tak nie doświetlał!

10. minuta: nieudolne podrabianie Woody'ego Allena jest ryzykowne;

20. minuta: nieudolne podrabianie Woody'ego Allena nie jest ryzykowne; jest żenujące!

40. minuta: opracowanie muzyczne na poziomie wieców przedwyborczych PSL-u;

45. minuta: aktorka Leonor Watling rzuca się i miota, usiłując naśladować neurotyczne bohaterki filmów Allena, ale tak jej to wychodzi jak Bushowi stabilizacja Iraku;

[słabe mecze piłkarskie są o tyle lepsze od słabych filmów, że po 45 minutach jest kwadrans przerwy – przyp. AS]

47. minuta: oddać samochód do przeglądu, kupić żarówkę do przedpokoju, gdzie na wakacje: Hiszpania czy jak zawsze Maków Mazowiecki u rodziny kuzyna żony?;

65. minuta: napisać podanie do Najwyższego Trybunału o przeniesienie z działu recenzji kinowych do kolportażu;

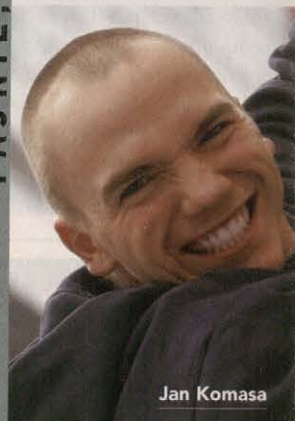
77. minuta: cholemie brzydki jest Madyt w tym filmie! Zatem Maków!!!;

96. minuta: napisy końcowe, uff, to był rzadki przykład filmu zrealizowanego pięścią.

W moich notatkach jest też wiele uwag szczegółowych co do konkretnych scen i rozwiązań, ale ich Wam, Drodzy Czytelnicy, oszczędzę. Z kronikarskiego obowiązku – żeby mi nikt nie wyrzucał, że opisując własne emocje, przemilczałem treść filmu – wspomnę jedynie, że dzieło „Moja matka woli kobiety” opowiada o trzech dorosłych siostrach, które ku swojemu niezadowoleniu dowiadują się, że ich matka woli kobiety.

ANDRZEJ SARAMONOWICZ

FAJNIE, ŻE SA!



Jan Komasa

nie Polskę, lecz Stany Zjednoczone, bo tam powstała jej etiuda. Olga Żurawska skończyła amerykanistykę na UW i studiowała na Wydziale Filmu, Telewizji i Wideo na Uniwersytecie Południowej Kalifornii. Od dwóch lat uczy tam techniki zdjęć, współpracuje też z wytwórnią Miramax. Zwycięzca Cinéfondation ma prawo umieścić swój fabularny debiut w głównym konkursie festiwalu w Cannes. Do tej pory w Cinéfondation triumfował jeden Polak Adam Guziński – ale choć od jego sukcesu minęło już sześć lat, nie zrobił jeszcze pełnometrażowej fabuły. (MAP)

Wprawdzie w konkursie trwającego właśnie festiwalu filmowego w Cannes nie ma polskich produkcji, ale dwoje młodych Polaków zakwalifikowało się do Cinéfondation, konkursu etiud studenckich. 24-letni student III roku PWSFTViT **Jan Komasa** pokazuje w Cannes „Fajnie, że jesteś”, fabulkę o córce i ojcu, którzy nie umieją ze sobą rozmawiać; zaś 32-letnia **Olga Żurawska**, „Nebraskę”, film „o dojrzewaniu i braniu odpowiedzialności za swoją przyszłość”, jak mówi „Przekroju” reżyserka, która w Cannes reprezentuje



Griet (Scarlett Johansson) i Vermeer (Colin Firth)

LEKKIE ZABARWIENIE EROTYCZNE

Dopieszczoną w detalach „Dziewczynę z perłą” ogląda się jak arcydzieło w muzeum ●●●●●●●●

Wznanym obrazie Vermeera „Dziewczyna w turbanie” zobaczyć można szczęście i rozpacz, pożądanie i nieśmiałość, piękno i przeciętność. I tą właśnie wieloznacznością Peter Webber bawi się w dziełem, snując pysznie skrojoną fabułę z niedopowiedzeń, sugestii i aluzji.

Kim była sportretowana przez holenderskiego mistrza dziewczyna – nie wiadomo do dziś. Efektem domysłów jest wydana również w Polsce powieść Tracy Chevalier „Dziewczyna z perłą”. Zainspirowany nią Webber opowiada fikcyjną historię o młodziutkiej Griet (znakomita Scarlett Johansson), służącej w domu Vermeerów. Związek Vermeera (Colin Firth) i pozującej mu Griet jest do końca czysty, a zarazem przepelniony erotyzmem. Niedosłownym, sugerowanym ledwie w spojrzeniach. Vermeer wpuszcza dziewczynę do swojej malarskiej świątyni barw,

pędzli i płócien, uczy mieszania farb, ale wtajemnicza nie tyle w sztukę, ile w namiętność.

Znakomitą, dopieszczoną w detalach przez operatora Eduardo Serę „Dziewczynę z perłą” ogląda się trochę jak arcydzieło w muzeum. Urzekający chłód barw, przejmująca gra światłem, dyskretny erotyzm – wizualna, iście vermeerowska strona filmu zachwyca, lecz także stwarza dystans. Podglądamy świat zamknięty w zbyt ciasnym kostium, w którym najbardziej duszą się bohaterowie. Z pozoru chłodni i opanowani, w rzeczywistości targani są namiętnościami. Nawet sam Vermeer, któremu zatopienie w świecie sztuki zastępuje erotyczne spełnienie.

PAWEŁ T. FELIS

„DZIEWCZYNA Z PERŁĄ”, REŻ. PETER WEBBER
 Wielka Brytania/Luksemburg 2003,
 ITI Cinema, premiera 21 maja

TERAPIA ZABIJANIEM

Wilbur chce żyć jak jasna cholera!

Kiedy mówię znajomym, że widziałem piękny film o optymistycznym przesłaniu, nadstawiają uszu. Kiedy dodaję, że nosi tytuł „Wilbur chce się zabić”, łypią podejrzliwie, chowając przede mną noże i dzieci. Ale nie dajcie się zwieść demonowi podstawowych znaczeń leksykalnych. W istocie tytuł filmu brzmi: „Wilbur chce żyć jak jasna cholera, tylko mu kiepsko idzie!”. Zadziwiająco znajomo, prawda? Wilbur (Jamie Sives) cierpi na typową przypadłość ludzką, jaką jest niezdolność do miłości. By jej nie odczuwać, musi co pewien czas się zabijać, bowiem dopiero w takich momentach



Wilbur (Jamie Sives) wreszcie czuje, że żyje!

czuje, że żyje. Jego starszy brat Harbour (Adrian Rawlins) woli jednak, by Wilbur nie żył, żyjąc, więc regularnie odcina go ze stryczków i sprowadza z dachów. Bo Harbour wdzięczny jest życiu już za jego sensualny poziom – pocałunki, książki, frytki... – i pragnie tego samego dla młodszego brata. Nad oboma mężczyznami ciąży zaś tragiczna przeszłość. I tak to się wszystko kręci na karuzeli depresyjnej nadziei i złudnej wiary w trwanie aż do chwili, kiedy w ich życiu zjawia się Alice. Wraz z nią przychodzi bowiem zagmatwana miłość. Trwają więc razem: depresyjna nadzieja, złudna wiara i zagmatwana miłość...

ANDRZEJ SARAMONOWICZ

„WILBUR CHCE SIĘ ZABIĆ”, REŻ. LONE SCHERFIG,
 Dania/Szwecja/Wlk. Brytania/Francja 2003, Gutek Film, premiera 14 maja

PATIO MARE w sercu Sopotu



- ekskluzywne apartamenty
- wykończenie „pod klucz”
- 5 min. spacerem do morza
- cichobieżne windy
- fitness, sauny
- portiernia, monitoring

INVEST
KOMFORT

Invest Komfort SA
 81-350 Gdynia, Plac Kaszubski 15/3, tel./fax (058) 620 04 50
 info@investkomfort.pl, www.investkomfort.pl

Na krótko przed kinową premierą „Harry'ego Pottera i więźnia Azkabanu” HBO wyemituje dwie pierwsze części filmu

o małym czarodzieju: „Harry Potter i kamień filozoficzny” oraz „Harry Potter i komnata tajemnic”.

Filmy zostaną pokazane 22 maja, początek o 16.00

POLSKI KRÓL HAŁASU

Najbardziej
radikalny
polski
kompozytor
przyjedzie
do nas...
z Japonii

Na festiwal eksperymentalnej elektroniki Musica Genera (21-23 maja) zjadą do Szczecina znakomitości ze świata – Otomo Yoshihide (Japonia), Martin Tetreault (Kanada), John Edwards (Anglia), ErikM (Francja). Ta edycja jest poświęcona konfrontacji improwizacji z kompozycją. Na zakończenie premierowe wykonanie „Standart Deviation” Zbigniewa Karkowskiego. Ten prawie 50-letni Polak tworzący w Japonii uchodzi za jednego z bardziej radykalnych współczesnych kompozytorów. Zobaczmy go również na objazdowym (kolejno: Poznań, Wrocław, Warszawa, Łódź i Kraków) festiwalu ALT+F4, który odbędzie się w dniach 26-30 maja. (JAS)



Fot. RAFAŁ CHOŃSKI

Z TEYA DO O.B.O.R.Y.

.....

Laskowik zalicza kolejny sukces płytowy i otwiera nowy festiwal kabaretu

Przed rokiem, gdy sukcesy odnosił album „Kabaret Tey 1971-1980”, nie wiadomo było jeszcze, czy to Polacy wciąż tak kochają stary poznański kabaret, czy może znudziły im się zwykłe płyty z piosenkami. Dziś wiadomo, bo część druga archiwum Teya „Ciąg dalszy” też trafiła na szczyt list bestsellerów. Laskowika, Rewińskiego, Smoleń, Schuberta, Jaślara i Gołębiowskiego słyszymy tu głównie w skeczach z lat 80., zebranych w programie „Przeboje kabaretu Tey, czyli najlepiej nam było przed wojną”. Rzecz nagrywana była w Elblągu, ale potężny szum pomiędzy dialogami to nie fale morskie, tylko świeże, niepuszkowane śmiechy widzów. Sukces płyt przyczynił się chyba do uaktywnienia Zenona Laskowika – odbywa się właśnie organizowany przez niego festiwal piosenki kabaretowej O.B.O.R.A., który ma wskazać potencjalnych następców Teya. (BACH)

I Ogólnopolski Festiwal Piosenki Kabaretowej O.B.O.R.A. 2004,
koncert laureatów i koncert galowy
– **23.05 Poznań**, CK Zamek

.....
Islandzka
grupa Múm
wynałaza
zupełnie
nową
muzykę folk



MÚM „SUMMER MAKE GOOD”,
Fat Cat

Trasa koncertowa:
21.05 Poznań,
Eskulap,
22.05 Katowice,
Hipnoza,
23.05 Warszawa,
Proxima

LATO MÚM-INKÓW

Fot. SOUND

W Islandii nie ma folku. Czwórka młodych mieszkańców Reykjavíku postanowiła stworzyć go po swojemu. Bliźniaczki Kristin i Gyda grały na skrzypcach i fortepianie, koledzy Gunni i Örvar robili elektronikę na komputerze Amiga. Dzięki referencjom od Björk cztery lata temu świat usłyszał w końcu nowoczesny islandzki folk Múm. Nazwano go „folktronica”. To muzyka, która powstaje z dala od miasta, na pełnym odludziu, w opuszczonych latarniach morskich.

Na nagranie trzeciego albumu „Summer Make Good” muzycy wyjechali najpierw na północny zachód wyspy, do Galtarviti. Po prowiant musieli płynąć kilka godzin łodzią rybacką. „W XVI wieku – mówi Kristin – tylko jednej nocy 150 osób zginęło w tej okolicy w morzu. Rano na brzegu znaleziono 47 ciał. To nie-

bezpieczne miejsce”. Członkowie grupy też o mały włos nie przyplacili nagrywania płyty życiem. Gunni wypłynął łodzią w morze i popsuł mu się silnik. Dryfował całą noc. Kiedy cała grupa wypłynęła do miasta po szefa wytwórni, popsuła się łódź i ściągnęli ich na brzeg rybacy. A w drodze powrotnej zerwał się sztorm i zostali rzućni na mieliznę.

Mimo to woda jest dla Islandczyków przyjaznym żywiołem. Dwa lata temu, kiedy Örvar i Kristin przyjechali na wakacje do Szczecina, wyznali sobie miłość, przechadzając się wzdłuż Bałtyku. Muzycy upodobałi sobie nasz kraj i po raz drugi zagrają w Polsce, gdzie świetnie przyjęto ich przed dwoma laty. Choć jedna z bliźniaczek opuściła zespół, grupa ma pojawić się w większym, sześciuosobowym składzie.

JACEK SKOLIMOWSKI

.....

Fani Marillionu
mogą świętować
najlepszy album
grupy od 15 lat



MARILLION
„MARBLES”,
Intact

KONIEC NIEMOCY

Z jednej strony Polacy żyli w nieco wyolbrzymionym przez radio micie starego Marillionu z lat 80., ale z drugiej – od czasu rozstania tej rockowej legendy ze śpiewającym Szkotem Fishem (15 lat temu) trafiały się wśród jej płyt głównie spektakularne przykłady gniotów. Co do nowej, „Marbles”, wreszcie mam ochotę zająć stanowisko – bo choć to płyta tworzona raczej bez przeświadczenia o epokowości, jest nad wyraz udana. Singiel „You’re Gone” to

jeden z najlepszych, jakie miał Marillion od zamierzonych czasów „Kayleigh”.

Wiele zespołów prześcignęło Marillion przez lata w dziedzinie wyrafinowanych i rozbudowanych rockowych kompozycji – choćby Porcupine Tree. Tu jednak weterani odrobili zaległości. Można się zadumać, westchnąć, a nawet zachwycić – a tego brakowało w muzyce Marillionu od 1989 roku i albumu „Season’s End”.

BARTEK CHACIŃSKI

.....

Nowy Perfect można ściągnąć
z Internetu za 15 złotych...
plus koszty połączenia



Grzegorz Markowski
(Perfect)

Fot. AGA PIOTROWSKAWAG

JESZCZE NIE PERFEKT

Gwiazdy na świecie próbują od dawna internetowej dystrybucji. U nas pierwszy krok stawia grupa Perfect – zamieściła swój najnowszy krążek „Schody” wyłącznie na stronach portalu internetowego Interia.pl. Można ściągnąć zawartość całej płyty (13 utworów) w formacie mp3 za 15 złotych lub pojedyncze utwory po 3 złote. Przy zakupie wszystkich plików otrzymuje się jeszcze okładkę i książeczkę do samodzielnego wydrukowania (sic!). Sama płyta, mniej drażniąca niż dotąd, nie należy z pewnością do najlepszych dokonania Perfectu. Liczy się jednak akcja. Według Grzegorza Markowskiego, lidera Perfectu, ma ona pozwolić na tani dostęp do

muzyki i zmniejszyć sprzedaż pirackich płyt. Pomysł jest godny uznania, ale sprawdza się, niestety, tylko w wypadku dużych miast, blokowisk oraz zamożniejszych ludzi posiadających stałe łącze internetowe. Dla innych koszty wzrastają o połączenie z Siecią za pomocą modemu. A że prędkość przesyłu danych przez modem bywa niska, rośnie cena płyty – nawet do 30 złotych, a to tyle co normalna polska płyta w sklepie. I kwestia estetyki. Nie każdego ucieszy posiadanie ORYGINALNEJ płyty, która jest podpisana ręcznie markerem.

DAWID MUSZYŃSKI

PERFECT
„SCHODY”,
Interia.pl

NIE TYLKO DLA LAIKÓW

Music Maker” napisał o nich parę lat temu, że to „muzyka przyszłości”. I co prawda gazeta niedługo potem padła, jednak grupa Laika gra dalej i ma przed sobą przyszłość. Tym bardziej że milczy większość innych zespołów z fali, która ich wyniosła. Chodzi o falę tak zwanego trip-hopu. Jeszcze 10 lat temu to był najmodniejszy termin. Oznaczał miłą w odbiorze, leniwą muzykę, która rytmicznie czerpała z hip-hopu, choć nosła też przydatny w walce o listy przebojów popowy element. Dziś nie nagrywa Portishead, flagowa grupa gatunku, rzadko robi nagrania Massive Attack, a Tricky wydaje coraz gorsze albumy. Z tego wszystkiego drugoplanowa niegdyś Laika (jeszcze



Fot. SONIA RECORDS

w 1995 roku poprzedzali koncerty Tricky’ego) przeszła na pierwszy plan. Może również dlatego, że jest mniej melancholijna niż reszta triphopowych grup, a może ze względu na urokliwy głos wokalistki Margaret Fiedler. Do Polski ich sława trafiła wraz ze świetnie przyjętą płytą „Good Looking

Blues”, ale na koncertach w naszym kraju promować będą już nową, ubiegłoroczną „Whatever I Am, I Am What Is Missing”.

(BACH)

Laika, 26.05 Sopot, Molo, **27.05 Szczecin**, Zamek Książąt Pomorskich, **28.05 Katowice**, Hipnoza, **29.05 Warszawa**, CDQ

ONA JEST BOGIEM

.....

Tak przynajmniej uważał Kevin Smith, reżyser filmu „Dogma”, który obsadził wokalistkę Alanis Morissette w roli kobiety Boga. Może kierował się tym, że prócz ładnej buzi i mocnego głosu 30-letnia Alanis ma poczucie humoru. Udowodniła to ostatnio, parodiując obnażenie piersi przez Janet Jackson – na wręczeniu kanadyjskich nagród muzycznych



Alanis
Morissette

Morissette rozebrała się, obnażając... kostium przypominający gołe ciało kobiece. W wersji amerykańskiej kazano jej wyciąć słowo „dupek” z tekstu nowej piosenki „Everything”, więc cieszy się, że mieszka na „wolnej od cenzury Północy”. Sukcesy Garou i Céline Dion pokazały, że Polacy mają słabość do kanadyjskiej sceny. Ja z Kanadyjczyków polecałbym raczej Alanis. „So-Called Chaos”, jej czwarty studyjny album (pomijam płyty, które nagrała jako nastolatka), nie zawodzi – solidne poprockowe piosenki, niegłupie teksty i zdrowy dystans do świata, chciałoby się rzec: boski. (BACH)



ALANIS MORISSETTE
„SO-CALLED CHAOS”,
Maverick



KONCERTY • **Festiwal Drzewo Osjan** – Osjan, Voo Voo, Drum Freaks – **22.05 Warszawa**, Fabryka Trzciny

• **Rachid Taha** – największa gwiazda arabskiego popu we Francji – **26.05 Warszawa**, Skarpa, **27.05 Kraków**, Rotunda

Fotoautomat

Zdjęcia do dowodów i legitymacji.

POCHWAŁA
NIEUDACZNIKA

Bohater Kofty swoje porażki, brak pracy, samotność kwituje autoironicznym uśmiechem

Fot. MAREK SZCZEPANSKI

Piotr Kofta jest synem Jonasza, ale dobrą książkę napisał na własny rachunek

„To właśnie jest moja książka” – powiedział Piotr Kofta w barze u Turka, wręczając mi pękniętą teczkę. – No, świetnie, ale jesteś przygotowany, że przed wydaniem na pewno trzeba będzie sporo poprawić? – zapytałam, mając w pamięci inne debiutanckie maszynopisy. – Ale tu nie trzeba wiele poprawiać, to jest gotowe – odparł. „Pewny siebie jak na debiutanta” – pomyślałam.

Jednak Piotr Kofta wiedział, co mówi. Jego zbiór opowiadań „Piękne wieczory” nie sprawia wrażenia pierwszej, niepewnej książki autora, który dopiero szuka swojego języka. Przeciwnie – Kofta z lekkością snuje rozmaite historie i z łatwością porusza się wśród różnych gatunków. Zmieściły się tu i opowiadania z lekką fantastyczną, i sensacyjne, opisy balangi i zbrodni w warszawskiej willi, historia roznosiiciela pizzy czy historia nauczyciela z gimnazjum i kilka miniatur – o snach, samotności i tym podobnych rzeczach. Okazuje się, że Kofta może pisać o wszystkim. Historie niejako opowiadają się same. – Najprzyjemniejsze jest wymyślanie – mówił mi autor, zapalając papierosa marki Mewa.

Oprócz lekkości pióra jeszcze jedna cecha odróżnia go od innych debiutantów. Od pierwszego zdania czujemy, że ten, kto pisze, pozostaje nieustannie w intymnej relacji z literaturą, musi należeć do gatunku „czytacz”. I wcale nie dlatego, że wybiera mądre motta. W jego opowiadaniach delikatnie istnieją w tle inne książki – głównie Czesi, humor „Dobrego wojaka Szwejka” Haška czy Škvoreckiego. Autor ma literaturę we krwi również w sensie dosłownym. Imię

jego ojca to Jonasz. Nie spodziewajmy się jednak łatwego podobieństwa stylu. Zero sentymentu. Jeśli już gdzieś jest mowa o miłości, to w najbardziej prozaiczno-humorystycznym aspekcie. Wszelkie wzniosłości okraszone są ironią, chwila uniesienia w górach kończy się upadkiem w pokrzywy. A jednak jakaś nie wspólna istnieje – obaj Koftowie pisali o pewnym typie człowieka, niedopasowanego, nadwrażliwego, który – mówiąc krótko – nie bardzo potrafi żyć, nie radzi sobie z rzeczami, które inni jakoś sobie układają.

Nieudacznik, życiowa ofera – tak można chyba nazwać ten typ bohatera – autoironicznym śmiechem kwituje swoje porażki, brak pracy, samotność. Wystarczy sobie wyobrazić miliony podobnych typów z podobnymi problemami i już wszelkie nastroje ulatują – zdaje sobie sprawę jeden z bohaterów. Kobiety raczej od takiego typu uciekają, jak w „Nocnej zmianie”: „Nie mogła znieść mojego sarkazmu, rozumiem to doskonale, ponieważ sam ledwo go znoś. Kiedy przychodziła pokazać się w sukience, umiałem powiedzieć tylko: – No cóż, rzeczywiście bywało gorzej”. Te opowiadania można też czytać po prostu dla wciągającej fabuły. Sporo znajdziemy tu współczesnej Warszawy, ale też słowackie góry, rumuńskie zadupie. Kofta jednak odrywa uwagę czytelnika od konkretów i niespodziewanych zwrotów akcji. Puenta zazwyczaj nie dopowiada wszystkiego. Czytelnik może snuć własne domysły. Jak we śnie. I jak w dobrej literaturze.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

ROSJANKI JAK MI, czyli trzy kobiety, które rządzą w rosyjskiej literaturze

DONCOWA,
CZYLI ROSYJSKA
CHMIELEWSKA

A grypina Wasiliewa, czyli Daria Donkowa (nazwisko po mężu, imię to pseudonim), zaczęła pisać kryminały sześć lat temu w szpitalu. Po trzech operacjach nowotworu czekała ją jeszcze chemoterapia. Mąż (trzeci z kolei) namawiał ją, by czymś się zajęła, na przykład pisanie książek. Zaczęła więc pisać: kryminały – gdyż sama najbardziej lubiła taką literaturę, ironiczne – bo z natury jest optymistką. Do dziś napisała ich 50 i jest w piątce najpopularniejszych rosyjskich pisarzy. To sympatyczna „literatura środka”. W dodatku pisana w duchu ogromnie popularnej w Rosji Joanny Chmielewskiej. Detektywistyczne przygody głównej bohaterki pełne są fantastycznego humoru sytuacyjnego, a Donkowa wie, jak wytrawny przewodnik turystyczny przez aleje i zaułki dzisiejszej Moskwy. Bandyckie strzelaniny na bazarach, łapówkarze z sanepidu, zapici dozorca, przymierające głodem pracownicy instytutów naukowych, dumni starcy z podstołecznych wsi, genialni matematycy chodzący w butach nie do pary. Współczesna Moskwa w pełnej paletce barw.

ANDRZEJ ŁOMANOWSKI

DARIA DONCOWA „ZJAWA W ADIDASACH”, PRZEL. WIESŁAWA KARCZEWSKA, Świat Książki, Warszawa 2004
DARIA DONCOWA „NIEŚCIŚLE TAJNE”, PRZEL. JERZY CZECH, Świat Książki, Warszawa 2004

ULICKA, CZYLI KRYMSKI UPAŁ

Wśród zgietku i przekleństw wypełniających współczesną literaturę pojawiła się nagle w Rosji pisarka, której książki wypełniają słońce. Ludmiła Ulicka wydała cztery zbiory opowiadań i trzy powieści, a już dostała francuską nagrodę Médoc i rosyjskiego Bookera. Zdaje się, że w naszej współczesnej literaturze to, co najbardziej wartościowe, jest żeńskie – napisał o Ulickiej jeden z krytyków. Na polski rynek trafia pierwsza jej powieść „Medea i jej dzieci”. Zaskakująca książka, w której jest akcja, a jakby jej nie było. Główną postacią powieści jest Medea, stara kobieta mieszkająca na Krymie, Greczynka z pochodzenia, do której każdego lata zjeżdżają się krewni. Ulicka jest mistrzynią w opowiadaniu biografii wyczułoną na każde poruszenie duszy swoich bohaterów. A wszystko w rozedrganym od upału krymskim powietrzu.

ANDRZEJ ŁOMANOWSKI



LUDMIŁA ULICKA „MEDEA I JEJ DZIECI”, PRZEL. RITA BARTOSIK, Philip Wilson, Warszawa 2004

DIENIEŻKINA,
CZYLI ROSYJSKA CHYLIŃSKA

Już okrzyknięto ją rosyjską Masłowską. Ale jaka z niej Masłowska? To Chylińska, która wrzeszczy „fuck you!”. To również Stendhal w miniówie. Przecież „Daj mi!” to nic innego jak zwierciadło przechadzające się po gościńcu. W tym wypadku po moskiewskich blokowiskach pełnych łysawych dresiarzy. Ci łańcuchami i pasami leją „naszych”, a „nasi” to nawaleni nastoletni muzycy. Opowiadania Dzieńżkowej czyta się jednym tchem, ale nie jest to miód na serce. Czasami można się zastanawiać, po co dziewczyna to pisze. Odpowiedź ukryta jest między wersami. To świadectwo czasów. Coś pękło i się zmieniło. W Rosji już nie zalewa się nastolatek czy żołnierz. Pijany w sztok jest każdy milusiński: każda grzeczna dziewczynka i chłopczyk, który marzy o elektrycznej ciuchci. A ideały i marzenia? To stowa, fura i komóra...

MICHAŁ WÓJCIK



IRINA DIENIEŻKINA „DAJ MI!”, PRZEL. MAŁGORZATA BUCHALIK, Świat Książki, Warszawa 2004



Bez komentarza?

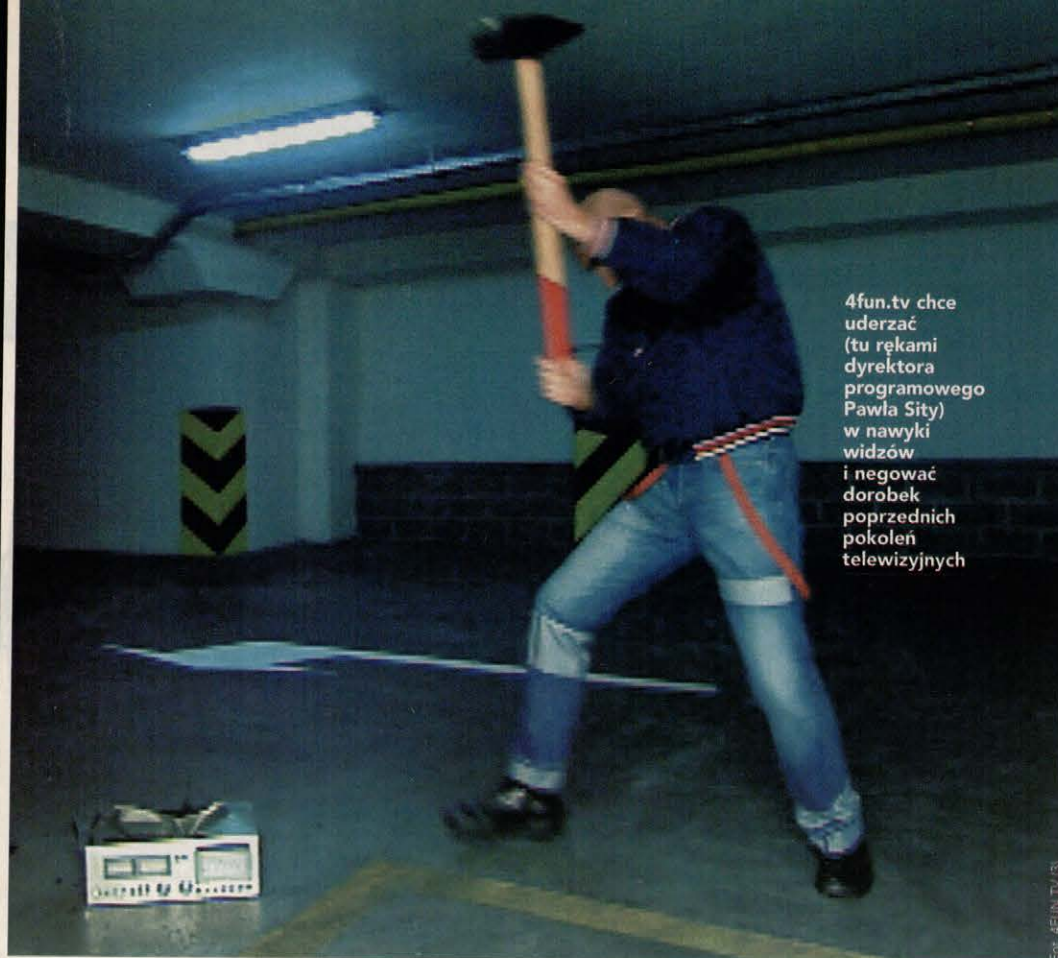
Nie zostawiaj wiadomości bez komentarza. Serwis Wirtualnej Polski umożliwia szybką wymianę poglądów na każdy temat. Wysoki poziom polemiki gwarantują nasi stali felietoniści - Rafał Ziemkiewicz i Daniel Passent. Sprawdź wiadomości, przeczytaj felieton.

...dodaj swój komentarz na
www.wiadomosci.wp.pl

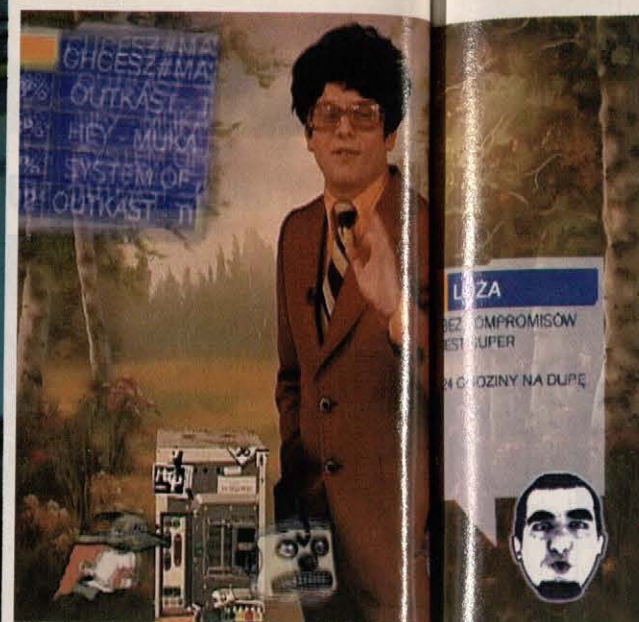


PIOTR KOFTA
„PIĘKNE WIECZORY”,
wyd. Bonobo,
Warszawa 2004





4fun.tv chce uderzać (tu rękami dyrektora programowego Pawła Sito) w nawyki widzów i negować dorobek poprzednich pokoleń telewizyjnych



– Takiej maszyny nie ma nikt poza nami – reklamuje swój system głosowania na klipy 4fun.tv. Takiej tapety też nie...

Nawet „osiedlowa” telewizja potrzebuje gwiazd. Na zdjęciu poniżej: Jedna z nich, Odeta Moro



Łoży Szyderców – ci moderują dyskusję, dorzucają własne komentarze, co ważne: często mocniejsze i bardziej złośliwe niż zwykli widzowie.

– Mamy sygnały, że na oglądanie 4fun.tv ludzie sprasają się jak za dawnych czasów „na telewizję” – chwali się Sito. Nie da się ukryć, że jego obecność muzyczny program 4fun.tv mogą na-

suwać skojarzenia z Radiostacją. „Tu gadająca lysa głowa, a na co dzień dyro programowy stacji. Sito czuwa i nie wciśnie wam tandety. Jego agencje ucho-oko wyhaczy każdy szit” – piszą o Sicie na stronie internetowej telewizji. Język, młodzieżowość, pewien stopień negacji zastanego świata (a przynajmniej jego bagatelizowania – jak w hasle stacji: „Nie bawisz się, nie żyjesz”) – to kojarzy się z latami debiutu Radiostacji. – Paweł Sito przyszedł do nas 1 września, dołączył do już rozpędzonego projektu, którego format i strategia były dopracowane – zaznacza jednak Stokowski. – Chociaż ważne było dla nas jego doświadczenie przy tworzeniu alternatywnego medium.

Plany są ambitne

Czy teraz „alternatywne medium” zagrozi na przykład zasiedziały na rynku stacjom muzycznym? Plany są ambitne. – Pod koniec maja obejmujemy naszym zasięgiem prawie trzy miliony gospodarstw – odpowiada Stokowski, który wśród zalet wyróżniających 4fun.tv jako medium wymienia jeszcze to, że tu największą osobowością stacji może stać

się... widz. Każdy może dostać swoje „5 minut”.

Wersja testowa

Migawkowy program „Njuzy” wychodzi w miasto, by zadawać ludziom najgłupsze pytania. Sam na nich co prawda nie trafiłem, ale gdy moja żona jechała przez centrum Warszawy na jubileuszu 2, „Njuzy” zadały jej kilka pytań o rower. Mogę więc powiedzieć, że przynajmniej poprzez więzy rodzinne otarłem się o swoje 5 minut w 4fun.

Na razie nadają ze słowem „test” przy logotypie w rogu ekranu, bo choć mają koncesję, nie otrzymali jeszcze dokumentów potwierdzających ten fakt na papierze. Ja jednak nie miałbym nic przeciwko temu, żeby znaczek „test” stał się widniał na ekranie. Wskazuje on na organizm w ciągłym ruchu. Radiostacja w swoim czasie też miała jednocześnie pewne cechy profesjonalnego radia i amatorskiej „emisji testowej”. 4fun.tv traktuję dziś jak telewizję osiedlową. A jestem przekonany, że telewizje osiedlowe mają dużą przyszłość.

BARTEK CHACIŃSKI

ANTY.TV

Oto konkurencja dla istniejących telewizji młodzieżowych: **bardzo poważna, bo dość niepoważna**

Zazgrzytałem zębami, gdy moja osiedlowa kablówka wymieniła niemiecką MTV na polską 4fun.tv. Potem zacząłem się przyglądać pomysłowi 4fun na telewizję. Mówią o sobie jako o połączeniu telewizji, komórki i Internetu. Dają wideoklipy przeplatane krótkimi animacjami, sondami ulicznymi, programami o sportach ekstremalnych i grach komputerowych. Można wysłać SMS, by wziąć udział w nieustającym głosowaniu na teledyski albo żeby wejść na „komórkowy” czat i wyświetlić swoją opinię w dymku pojawiającym się u dołu ekranu. W klipach nie brak polskiego rocka i ambitniejszej muzyki klubowej. Istotnie – program trochę inny.

Młotem i ironią

Rzecz, która spotkała się z najgorętszą reakcją widzów, to dzingiel 4fun.tv: „Budka Suflera, Bajm, Céline Dion... [tu kolejne nazwy] Ich u nas nie usłyszycie”. Co

chwila na wizji pojawia się uczesany w stylu afro okularnik na tle fototapety w rodzaju „jeleni na rykowisku”. „Takiej maszyny nie ma nikt poza nami” – tłumaczy zalety komputerowego systemu głosowania na klipy. Nie bez autoironii, bo na moje oko „maszyna” to posklejany taśmą stary pecet.

W drugiej autoreklamówce szef programy stacji Paweł Sito pokazuje maszynę zaprojektowaną do programowania idealnej listy wideoklipów (choć na moje oko „maszyną” jest luksusowy wzmacniacz hi-fi z połowy lat 80.). Informuje, że w 4fun.tv jest niepotrzebna, i demonstracyjnie rozbija ją młotem. W takich chwilach myśli się: „Nonkonformiści”. Ja myślałem też: „Mają poczucie humoru”. I jeszcze: „Szkoda wzmacniacza”.

– Chcemy traktować świat trochę mniej serio niż inne telewizje, z przymrużeniem oka, pozytywnie, stworzyć wizerunek „antytelewizji” – mówi Dariusz Stokowski, prezes 4fun.tv. – W takim znaczeniu, że nie przywiązujemy wagi do przy-

kazań poprzednich pokoleń telewizyjnych twórców.

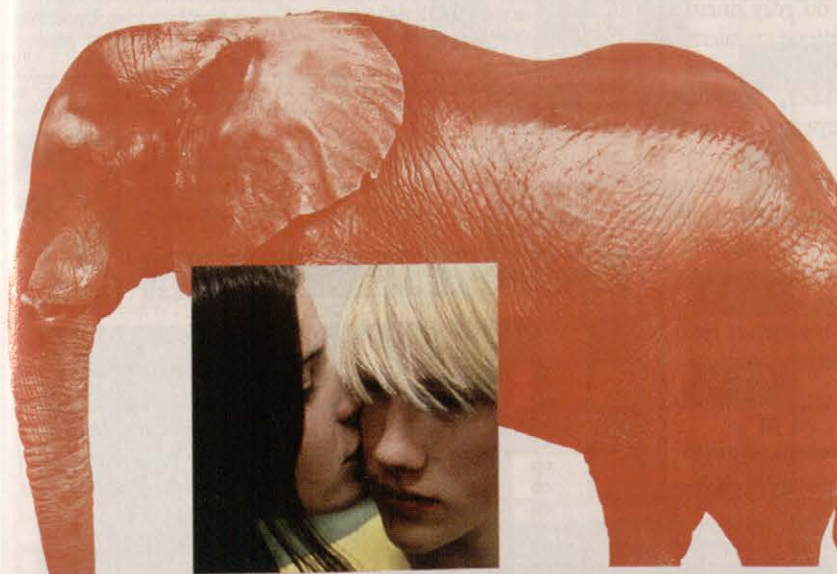
Wysyłam SMS

Pierwszego dnia wydałem na 4fun.tv dwa złote plus VAT. Dwa SMS-y, które wysłałem na wideoklip Marka Bilińskiego, nie wystarczyły. Przegrałem z fanami Britney Spears. Zaraz, zaraz... Britney w 4fun.tv? – Ale ona występuje u nas jako B. Spears – zastrzega Sito. Rzeczywiście, w dodatku wideoklip Britney został przerobiony na miejscu – zmontowany z klipem Püetelsów, co daje efekt dość zabawny i znów „inny”.

4fun.tv jest w dużym stopniu eksperymentem. Zapytany o punkty odniesienia Stokowski mówi o holenderskiej stacji TMF i belgijskiej JIM – obie stosują podobne chwytły interaktywne. Nowość polega na tym, że 4fun.tv umożliwia rozmowę na żywo na ekranie i głosowanie na teledyski przez 24 godziny na dobę. Poza tym dyżurują tu (w miejsce zwykłych prezenterów) członkowie

ZŁOTA PALMA
CANNES 2003

NAJLEPSZY REŻYSER
CANNES 2003



Słoń film w reżyserii
GUSA VAN SANTA

Złota Palmę oraz nagrodę za reżyserię dostał *Słoń*. To bardzo śmiały i szlachetny wybór. Wszak *Słoń* to skromny film o wielkim temacie i niezwyklej formie. Tadeusz Sobolewski, GAZETA WYBORCZA

„Nadzwyczajny, znakomity film.”
NEW YORK TIMES

„Jedyny w swoim rodzaju. Niezapomniany.”
LOS ANGELES TIMES

„Niezwykle przejmujący.”
TV GUIDE

w kinach od 7 maja



ODWROTNOŚĆ NUDY



DO BIEGU, GOTOWI, START!

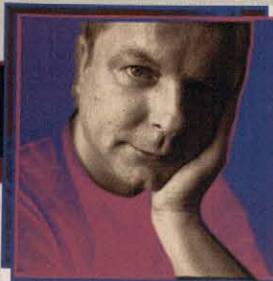


www.MINI.com.pl



KULINARNE PIÓRO POLSKI

Jaja naturalne



TADEUSZ PIÓRO

Jest ich coraz więcej. Nie rzucają się w oczy na wielkich bulwarach czy w coraz potworniejszych centrach handlowych, lecz mnożą dyskretnie, wręcz pokątnie, na zapyziałych bazarach i w butikach spożywczych na obrzeżach utrapionego miasta. W tych ostatnich nie są eksponowane – trzeba porozmawiać ze sprzedawcą, dać się poznać jako poważny klient, zanim poznamy warunki kupna. Rozmowa nie przebiega w atmosferze spiskowej, jaka zapewne towarzyszyć musi negocjacom handlarzy bronią czy narkotykami. Jest raczej radosna i cokolwiek podniosła, jakby kurczak wiejski – bo o nim mowa – był skarbem, a przynajmniej towarem wywyższonym ponad wszystko inne ze względu na swoją wyjątkową dobroć i rzadkość. Po rozmowie wstępnej sprzedawca wyjmie ze skrytki Czerwony Kajet i wpisuje do niego nasze dane personalne oraz treść zamówienia. Na podstawie tych wpisów określa liczbę kurczaków, które raz w tygodniu przywozi mu dostawca. Upłynie zatem jeszcze sporo czasu, nim kurczak wiejski stanie się towarem powszechnie dostępnym – lecz pierwsze kroki już za nami.

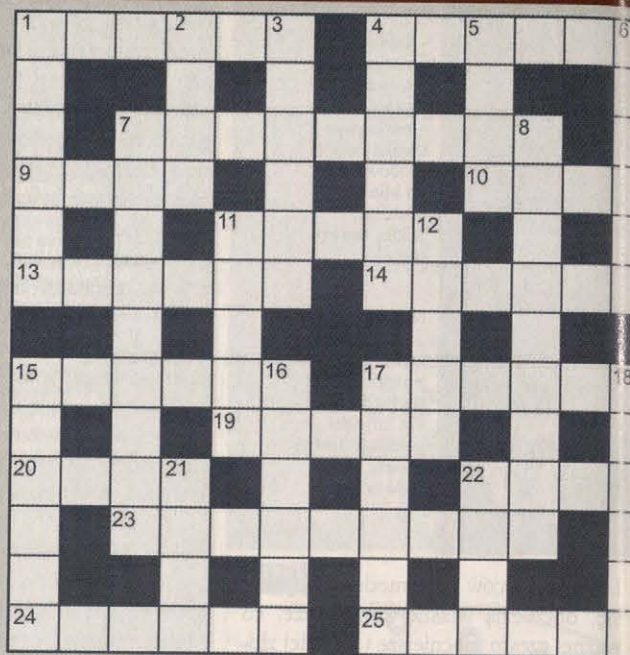
Zdecydowanie lepiej przedstawia się sytuacja na odcinku jaj. Jaja z niewielkich ferm, od kur karmionych roślinnymi paszami, bez zwierzęcej mączki, coraz śmielej wkraczają na półki sklepów. W porównaniu z kurczakami możemy mówić o całkiem sporym wyborze – producentów jest coraz więcej. Slogan reklamowy jednego z nich brzmi: „Pilch – jaja naturalne” i dostarcza przyjemności ze sztuką kulinarną niezwiązanej (choć jaja, oczywiście, pierwsza klasa). Z tych właśnie jaj zrobiłem niedawno lekką wiosenną kolację, w której główną rolę odegrała frit-

tata z cukinią. Frittata to włoska odmiana omletu, w przyrządzaniu której stosuje się jednak zupełnie inną metodę obróbki termicznej. Omlet smażymy na dużym ogniu, jak najszybciej. Frittata nie tyle smażymy, co podgrzewamy, na patelni o grubym dnie i na ogniu najmniejszym z możliwych.

Żeby ustalić stosunek jaj do stołowników, stosunek, ma się rozumieć, ilościowy, należy wyprowadzić funkcję logarymiczną bądź pójść po rozum do głowy. Dwie osoby – cztery jaja, trzy osoby – pięć jaj, cztery osoby – sześć, lecz już przy siódmym jajku trzeba rachubę zacząć od nowa, bo potrzebna będzie druga patelnia. Jaja trzeba skłócić, osolić, popieprzyć, dodać szczyptę utartej skórki cytryny i łyżkę parmezanu na każde dwie sztuki. Cukinię utrzeć na tarce, wrzucić na rozgrzaną oliwę (dobrze sprawdza się tu oliwa truflowa), wymieszać, lekko posolić, dodać posiekany ząbek czosnku, wlać jaja, wyrównać powierzchnię i zmniejszyć płomień gazu do minimum. Po 20 minutach trzeba frittata przewrócić. W tym celu kładziemy na patelnię talerz, do góry dnem, i trzymając go rozpostartą dłoń, zwinnie przewracamy patelnię do góry dnem, po czym zsuwamy frittata z talerza z powrotem na patelnię. Przed wykonaniem tej operacji należy upewnić się, że frittata nie przywarła do dna i boków patelni, i w razie potrzeby uwolnić ją szpatułką. Po kilku minutach frittata będzie gotowa – można posypać ją świeżymi ziołami, pieprzem i parmezanem. Wiejski chleb i pomidory z dziewiczą oliwą oraz rzęskie białe wino to naturalni towarzysze tym sposobem przyrządzonych, naturalnych jaj.

www.przekroj.pl/pioro

KRZYŻÓWKA nr 21



POZIOMO:

- TRZESZCZ
- JEDZIE PO BOMBIE
- POD KRAWATEM I NAD KRESKĄ
- RAZ U SŁONIA RAZY DWA
- ŻART Z KURY
- GORĄCY TRAWNIK
- 5 ZŁ MINUS „PRZEKRÓJ”
- KRZYŻÓWKA
- NIENZAWCA PEREK
- PRZED BELKĄ
- RYBANIE
- PAPIEROWY HAK
- BIĄŁY, CZERWONY LUB NIEBIESKI

23. KWAŚNY DESZCZ

- MROŻONE PIENIĄDZE
- PAMIĄTKA ZE ŚLUBU

PIONOWO:

- WIĘZIENNA WYCIECZKA
- POLITYKA NIETOPERZA
- WPADKA TŁUMU
- DASŁAW DLA PRZYJACIÓŁ
- ZIGNORUJ
- OWOC WIELU ROŚLIN
- CZERWONY CHARAKTER

8. PAN TADEUSZ

- KOŚCIUSZKO
- WYJŚCIE Z BLOKÓW
- SZKODA, ŻE PAŃSTWO TEGO NIE WIDZĄ
- DO DOMICYLOWANIA I DO INDOSOWANIA
- PĘDZI I ZAMYKA
- NIE MIELI OZRO
- SIEDZIBA PAWLAKA
- PRZEDFRANIA DO PRANIA
- ROZMOWA WYDRUKOWANA

Rozwiązanie krzyżówki nr 18:

Poziomo: 1. stukot 8. rodzina 9. dziupla 10. dzień 11. temperatura 15. niszczyciel 19. bigos 20. opalacz 21. posilki 22. kwadra

Pionowo: 2. talizman 3. kompleks 4. trwała 5. szczer 6. śnieg 7. podatek 12. umywała 13. agitator 14. żelazko 16. ironia 17. chomik 18. bilon

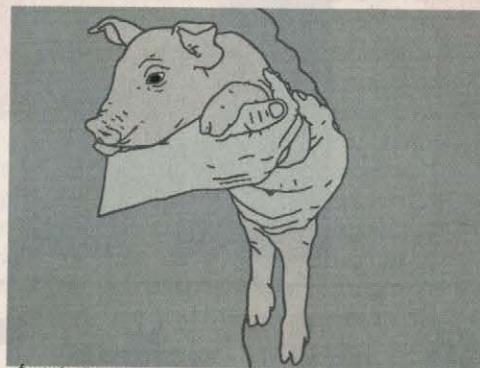
Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 16 nagrody wylosowali: Maria Bardzik, Gdynia; Andrzej Blicharski, Piława Dolna; Krystyna Walter, Gliwice; Katarzyna Albrychiewicz, Bydgoszcz; Euciusz Sornier, Łódź. Gratulujemy!

Pomiędzy czytelników, którzy do niedzieli 30 maja (decyduje data stempla pocztowego) nadesłali poprawne rozwiązanie jolki lub krzyżówki, rozlosujemy 10 egzemplarzy płyty **Marysi Sadowskiej** (Sony Music Polska).

Nasz adres: „Przekrój”, ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa, z dopiskiem Jolka 21 lub Krzyżówka 21



AGATA BOGACKA



„Świnka”

WINNY

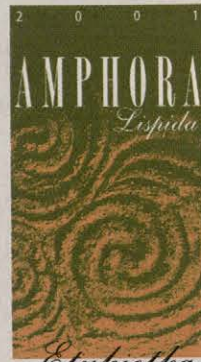
BIEŃCZYK

Cymesy na marginesach

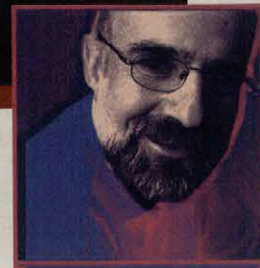
Nie piłem obu tych win, lecz bardzo chciałbym. Jedno z nich jest dziełem słynnego i najbardziej bodaj niekonwencjonalnego winiarza włoskiego Joski Gravnera. Powstaje ze szczepu riholla gialla, który jest stary i jary. Drugie powstaje ze szczepu tocai friulano (niekiedy z dodatkiem ribolli), jest dziełem ucznia Gravnera – Alessandra Sgaravettiego, który był niegdyś neurochirurgiem i latał ludziom mózgi, a od paru lat prowadzi w pobliżu Wenecji posiadłość Castello di Lospida. Wino to zwie się Amphora.

Nie bez kozery, jak mawiają na Grochowie: w istocie wino to, podobnie jak wino Gravnera, dojrzewa w glinianych amforach parę metrów pod ziemią. Wszystko trwa powoli i naturalnie, fermentacja wlece się, ile chce, maceracja ciągnie w nieskończoność, ziemia otula wino grubą pieluszką, spod której wystają jedynie, jak ciekawe światła pisklęta, brązowe szyjki terakoty. Dlaczego terakota? – spytał się neurochirurga Sgaravettiego dziennikarz Kramer: – Winorośl czerpie życie z głębi ziemi – odpowiedział Sgaravetti, który ongiś ludziom nerwy podwijał – kontakt gron z terakotą (czyli, dosłownie, „pieczoną ziemią”) zawraca wino ku jego początkom. Tak jakby rozdziło się po raz drugi.

Użycie amfor jest odwieczną praktyką winiarską, starszą niż niejedna cywilizacja. Jeszcze nie rosły drzewa, z których Słowianie zeszli umyć się w Wiśle, a już w Gruzji i innych krainach upijano się winem dojrzewającym w terakocie. Dzisiaj ten sposób produkcji wina wydać by się mógł rodzajem historycznego folkloru, jak turnieje rycerskie czy śpiewanie pieśni przy wrzecionach wedle toniki średniowiecznej. Mógłby, gdyby nie jeden szkół. Otóż wedle wiarygodnych świadectw moich współczesnych wina te smakują wspaniale. „Było nadzwyczajne – pisze o Amforze Kramer – z mineralno-kamienistym i kwiatowym bukietem, i zdawało mi się, że jego niepospolitość mogę uchwycić palcami”.



Etykiotka
Amphory 2001.
wina starzonego
jak drzewiej bywało



MAREK BIEŃCZYK

„Niepospolitość” jest słowem kłuczem, dla którego dzisiaj niejeden winoman, również niżej podpisany, dałby się pokroić czy nawet zakopać w ziemi. Kiedy mówię i myślę o winach z amfory, nie ich antyczność mnie pociąga, nie ich zamierzchły śpiew łabędzi, lecz zawarta w nich możliwość. W obliczu powszechnej uniformizacji win, ujednolicenia ich smaków, wszystko, co wystaje z szeregu, zachowuje się inaczej, kulturuje jakieś wariactwo, kaprys, odmiennosc, wydaje się zbawcze i cenne. Amfory, starzenie wina w szklanych gąsiorach, przetrzymywa-

nie go w beczkach przez 15 lat, odrzucenie siarki, zbieranie gron w dniu, w którym gwiazdy mówią: „Teraz!”, te i inne zabiegi przynoszą wrażenie, że prawda jest może gdzie indziej, że cymesy leżą na marginesie.

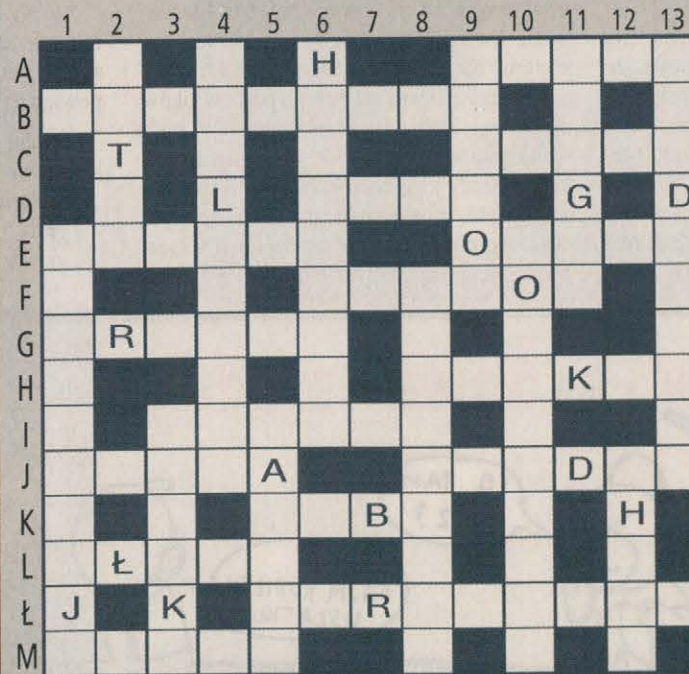
Niekiedy ta prawda nie wygląda aż tak pięknie. Ileż to razy w imię różnicy i niepospolitości zarzucałem przyjaciół winami, no, raczej śmierdzącymi niż pachnącymi; ależ się przy tym unosiłem, ależ się nacmokałem, a oni nic, kiwali głowami, lecz kręcili nosami i rozglądali się za chilijskim cabernetem czy choćby normalnym chianti. Może mieli rację, główny nurt jak zawsze zwycięży. Zresztą najnowszy rocznik Amfory nie jest ponoć tak dobry, a Josko Gravner podobno z amfor już zrezygnował i szuka innych prawd. Kto wie, co wymyśli, może będzie starzył wino normalnie w nowych beczkach, a może w tytanowych tulejach na stacji kosmicznej. Oj, to chciałbym.

www.przekroj.pl/bieńczyk

JOLKA nr 21

OKREŚLENIA PODANO W INNYM SZYKU NIŻ KOLEJNOŚĆ WYRAZÓW W DIAGRAMIE. PO WYPEŁNIENIU DIAGRAMU NALEŻY ROZSZYFROWAĆ NASTĘPUJĄCE HASŁO:

K10 – A10 – A4 / L10 – L6 – E5 / F13 – G8 – A9 – D2 – H4 – B4 / G10 – K8 – G5 / C9 – I10 – E1 – L9 – M1 – B5 – G3 / H13 – C10 – I5 – F1 – I3 – M10 – B11 – G4 – E13 / C4 – F7 – A13 / C13 – A2 – D7 – C6 – H9 – J1 – K6 – L11 – J12 – M8 – L3 – I6 – J10 / E12 – M2 – J2 – D9 – H1 – B1 – F11



WYRAZY 10-LITEROWE:

- życie upływa mu wśród herbaty
- Waza Stambułu
- ulegalka na castingu
- nie najatrakcyjniejsze z ech, ech!

WYRAZY 9-LITEROWE:

- wiatr północny nad formularzem PIT/O
- perłowy biorca
- wirujący kwark zimy
- stalowy albatros

WYRAZY 6-LITEROWE:

- dziewczyna jak Karwowska
- tusz poltergeista
- królowa sobótkowej promocji
- XVIII-wieczna hossa na chińszczyźnie i kalambury
- niskodźwiękowiec w wataże

- obwarzanek z powikłaniami
- mór murów
- bryl cyklopa
- szach lub much
- UAZ-ienska

WYRAZY 5-LITEROWE:

- Greczynka w harfie wsluchana • Illa na łonie natury
- piękności z cennikiem
- herold nietrzeźwości
- wczesne stadium ciała • „za górami, za lasami” Warcrafta lub Quake’a
- podwórkowa wodzirejka
- ziemniaki z nich nie strzelają

WYRAZY 4-LITEROWE:

- jurty, uazy i oazy
- kawalek gamy i... gramy

Rozwiązanie jolki nr 18: NA PRAWO MOST, NA LEWO MOST, A DOŁEM WISKA PĘYNI.

Rzędami: apokryf, rwetes, „Problemy”, wstęga, triumf, igliwie, tors, Anna, koks, talk, gola-bek, airbus, plener, głupstwo, gięcie, Ronsard. Kolumnami: sputnik, ogólnik, prosiątko, osłoni-ca, kilim, fishburger, frywolita, impas, festiwal, inkubator, Lengren, apostoł.

Za poprawne rozwiązanie jolki nr 16 nagrody wylosowali: Wiktor Gilas, Legnica; Janina i Zbigniew Kłosiński, Wolsztyn; Maria Kuczyńska, Gryfice; Anna Pawełska, Gdynia; Helena Zamoyska, Lwówek Śląski. Gratulujemy!

ZALEWAJKA

KAZIMIERZ KUTZ



FOT. BOGDAN KRZEL

Szymon Słupnik SLD

Ostatnio poraziła mnie wiadomość (i obudziła uszpanowaną skłonność do bezsenności), że na jeden fotel do Parlamentu Europejskiego pcha się 35 naszych kandydatów. Wtedy wyobraźnia, ta stara i nieodpowiedzialna przyjaciółka zdeprawowana robieniem filmów, zaczęła mnie męczyć majakami. Zobaczyłem na wielkim pustkowiu 56 zamieszanych foteli, a za nimi kolejki kandydatów na deputowanych: tabuny politycznych emerytów (w rozkroku), sporą grupę zawodowych koniunkturalistów (z wyciągniętymi ramionami), barwne stado wyemancypowanych gości z okolic pegeerów (w paski) i zwarte procesje zbawicieli Europy z kamiennymi chrzcielnicami w dłoniach. No i panów z SLD w ciemnych garniturkach (ze złożonymi dłońmi), gotowych wejść do brukselskiej przechowalni niczym do fińskiej łaźni. Kiedy uchwalali brukselską ordynację wyborczą, mieli pewność, że połowę miejsc mają już w kieszeniach. A tu nic z tego, bo ostatnie rachuby wskazują, że może uda im się zdobyć trzy fotele! Lewicowa dialektyka dziejów okazała się figlami historii.

Rychło zaczęły się namiętne modlitwy do wyborców wedle wypróbowanych wzor-

ców medialnych z poprzednich kampanii: posypią się zewsząd trele-morele, gadu-gadu i ple-ple-ple, które jeszcze bardziej odstręczą ludzi od pójścia do urn, niż gdyby tego całego nudziarstwa nie było. Kto pójdzie ogrzewać te stare sosy? Oczywiście ludzie miast i wsi. Ci wsiowi i parafialni będą mieli motywację podwójnie negatywną – pójdą przeciw Unii Europejskiej, jak dawniej się szło na zdobycie Kijowa, i przeciw miastowemu, liberalnym partiom. Czyli przeciw „złodziejom”. A miastowi odwrotnie – przywdzieją kostiumy obrońców Europy przed nawałnicą lepperowsko-giertychową. Uderzą w jagiellońskie dzwony. Będą to swoiste wyprawy krzyżowe – panów i chamów – o wykluczających się celach. Wyborcze wyścigi do Unii Europejskiej staną się manewrami anarchii w próbnym boju po schedę po rządach Millera.

Zmarginalizowani kandydaci z SLD skazani zostali na postawy heroiczne i łaskawość Stwórcy. I oto Bóg spojrzał łaskawym okiem na posła Jerzego Wenderlicha, i wskazał palcem na strajk pracowników cukrowni Żnin. Poseł pojechał do nich i obiecał, że cukrownia nie zostanie zamknięta. Kiedy jego zobowiązanie nie zostało osiągnięte, postanowił także zaprotestować, ale nie przyłączył się do klasy robotniczej, jeno się z nią zidentyfikował i ogło-

sił swój indywidualny strajk głodowy. We własnym biurze poselskim.

Po krótkiej refleksji intelektualnej odkryłem, że przewodniczący sejmowej komisji kultury inspirował się nie tylko klasą robotniczą, co dla przedstawiciela lewicy jest sprawą oczywistą, lecz jako specjalista od medialności sięgnął głębiej – do jądra kultury europejskiej! – i odwołał się do żywota świętego Szymona Słupnika, który w V wieku dobrowolnie zamieszkał na kamiennym słupie i tkwił na nim prawie 40 lat, czyli do śmierci.

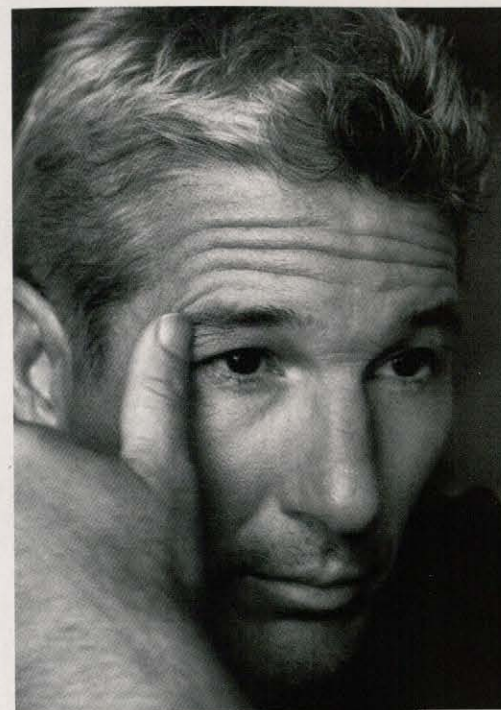
Boże, jaką głowę mieć musi poseł Wenderlich, żeby szybować tak wysoko! I rzeczywiście, asceza i samotność naszego posła odniosły natychmiastowy skutek medialny, rozślały jego szlachetny wyczyn. Dzielnego posła asceta prawdopodobnie zamierzał głodować aż do zwycięskich wyborów, ale pracownicy cukrowni Żnin, nie bacząc na jego medialny heroizm, przybyli pod jego biuro z błaganiami o przerwanie głodówki i pomoc w negocjacjach z Krajową Spółką Cukrową. Wtedy poseł postanowił na głodnego pojechać do Warszawy prosić o wsparcie marszałka Oleksego i orzekł: – Gdy będę miał pewność, że dojdzie do spotkania w kompetentnym gronie, to dopiero wówczas rozważę prośbę o przerwanie głodówki. Potem znów zatrzęsął drzwiami swojego biura, by z ascetycznym świętym z V wieku przepić bruderszaft i ostać się Szymonem Słupnikiem SLD. Piękne działanie!

Nie wiadomo tylko, czy aby ta jego świątobliwa kalkulacja wystarczy na europejską deputację. W tym sęk! Wszak poeta powiedział o świętym Szymonie Słupniku:

Powolał go Pan
Na słup.
Na słupie miał dom
I grób.

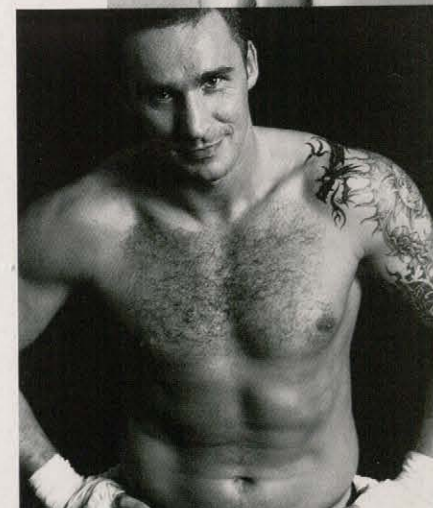
n

www.przekroj.pl/kutz



VIVA!

CAŁY TWÓJ ŚWIAT



LUDZIE • EMOCJE • WYDARZENIA



WILHELM SASNAL

www.viva.pl

